

JOE
HALDEMAN
**WIECZNA
WOJNA**



Joe Haldeman
Wieczna Wojna

Dla Bena i zawsze dla Gay

SZEREGOWIEC MANDELLA

I. – Dzisiaj pokażemy wam osiem sposobów bezgłośnego zabijania ludzi.

Mówiący to mężczyzna był sierżantem, nie wyglądającym nawet na starszego o pięć lat ode mnie. Tak więc jeśli kiedykolwiek zabił człowieka w walce, bezgłośnie czy nie, musiał to

zrobić w kołysce.

Znałem już osiemdziesiąt sposobów zabijania ludzi, ale większość z nich była dość hałaśliwa. Wyprostowałem się na krześle, przywołałem na twarz wyraz uprzejmego zainteresowania i za-

snąłem z otwartymi oczami. Pozostali zrobili to samo. Nauczyl-

śmy się, że na tych wieczornych wykładach nigdy nie mówią niczego ważnego.

Obudził mnie szmer projektora. Pokazali krótki film demonstrujący osiem cichych sposobów zabijania. Niektórzy z aktorów musieli być po praniu mózgu, ponieważ naprawdę ich zabito.

Po filmie dziewczyna siedząca w rzędzie przede mną podniosła rękę. Sierżant skinął na nią, więc wstała i wystąpiła naprzód. Całkiem niezła, tylko o zbyt masywnej szyi i barkach. Każdy tak wygląda po kilku miesiącach noszenia ciężkiego plecaka.

–Sir. – Aż do promocji musieliśmy zwracać się do sierżantów „sir”. – Większość tych sposobów wyglądała, no... dość głupio.

–Na przykład.

–Weźmy zabijanie kogoś ciosem saperki w nerki. Chcę powiedzieć, że chyba nigdy nie jest tak, żeby ktoś był uzbrojony tylko w saperkę, a nie miał pistoletu czy noża. I czy nie lepiej po prostu walnąć go w łeb?

–Może mieć na głowie hełm – odparł rezolutnie.

–Ponadto Taurańczycy pewnie nawet nie mają nerek!

Wzruszył ramionami.

–Zapewne nie mają.

Był rok 1997 i nikt nigdy nie widział Taurańczyka; nie znaleziono choćby kawałka większego od przysmażonego chromosomu.

–Jednak ich fizjologia jest zbliżona do naszej, więc musimy założyć, że są równie skomplikowanymi organizmami jak my. Muszą mieć jakieś słabe punkty, czułe miejsca. Musicie je znaleźć. To ważne – rzekł, wskazując palcem na ekran. – Tych ośmiu skazańców zarznięto dla was, ponieważ musicie dowiedzieć się, jak zabijać Taurańczyków, i umieć to robić zarówno

megawatowym laserem, jak i tarczą szlifierską.

Usiadła z powrotem, niezbyt przekonana.

–Są jakieś pytania?

Nikt nie podniósł ręki.

–Dobra. Baa-czność!

Leniwie podnieśliśmy się z krzeseł, a on spojrzał na nas wyczekująco.

–Pieprz się, sir – ryknął znużony chór.

–Głośniej!

–PIEPRZ SIĘ, SIR!

Jeden z głębszych wojskowych sposobów podbudowywania morale.

–Już lepiej. Nie zapomnijcie, jutro przed świtem macie manewry. Pobudka o 3.30, wymarsz o 4.00. Każdy przyłapany w łóżku o 3.40 straci jedną belkę. Rozejść się.

Zapiąłem uniform i poszedłem po śniegu do kantyny, na filiżankę wywaru z soi i skręta. Zawsze wystarczało mi pięć czy sześć godzin snu i to były jedyne chwile, jakie miałem tylko dla siebie,

przez moment daleko od armii. Przez kilka minut czytałem wiadomości odbierane przez faks. Załatwili kolejny statek, gdzieś w rejonie Aldebarana. To było jakieś cztery lata temu. Szykowali karną ekspedycję, ale przelot do celu zajmie flocie kolejne cztery lata.

Do tej pory Taurańczycy obsadzą wszystkie przejścia planetarne. W kwaterze wszyscy już spali i główne światła były wyłączone. Cała kompania tkwiła tu, od kiedy wróciliśmy z dwutygodniowego szkolenia na Księżycu. Rzuciłem ciuchy do szafki, sprawdziłem grafik i stwierdziłem, że śpię w koi 31. Do licha, tuż pod grzejnikiem.

Najciszej jak umiałem wślizgnąłem się za zasłonę, żeby nie

budzić osoby śpiącej obok. Nie widziałem, kto to, ale nic mnie to nie obchodziło. Wsunąłem się pod koc.

–Spóźniłeś się, Mandella – ziewnął ktoś.

–Przepraszam, że cię zbudziłem – szepnąłem.

–W porządku.

Obróciła się na bok i wtuliła się we mnie. Była ciepła i dość miękka.

Poklepałem ją po biodrze, mając nadzieję, że robię to po bratersku.

–Dobranoc, Rogers.

–Dobranoc, ogierze.

Odpowiedziała takim samym gestem, tylko bardziej sugestywnym.

Dlaczego zawsze trafiasz na zmęczone, kiedy jesteś gotowy, i na chętne, kiedy ty jesteś znużony? Pogodziłem się z nieuniknionym.

2. – Dobra, przyłóżcie się do tego, cholera! Grupa wzdłużnika! Ruszać się, ruszcie swoje przeklęte tyłki!

Około pomocy przyszedł ciepły front i śnieg zmienił się w błoto. Permaplastowy dźwigar ważył pięćset funtów i był piekielnie nieporęczny, nawet jeśli nie był oblodzony. We czwórkę, po dwoje na każdym końcu, nieśliśmy plastikowy dźwigar w zeszywniałych palcach. Moją partnerką była Rogers.

–Uwaga! – wrzasnął facet za mną, co oznaczało, że ciężar wymknął mu się z rąk. Chociaż nie stalowy, wzdłużnik był dostatecznie ciężki, żeby zmiażdżyć stopę.

Wszyscy puścili i odskoczyli. Padając, obryzgał nas błotnistą mazią.

–Do diabła, Petrov – powiedziała Rogers. – Dlaczego nie pójdziesz do Czerwonego Krzyża albo gdziekolwiek? Ta kurewska belka wcale nie jest tak kurewsko ciężka.

Większość dziewcząt wyrażała się oględniej. Rogers miała

niewyparzony jęczor.

–Dobra, ruszać się, kurwa, z tymi wzdłużnikami! Grupa klejarzy! Dalej, dalej!

Nadbiegł nasz dwuosobowy zespół klejarzy, dźwigając wiadra.

–Chodźmy, Mandella. Zaraz odmrozę sobie jaja.

–Ja też – powiedziała dziewczyna z uczuciem, choć bez sensu.

–Raz, dwa, trzy!

Ponownie podnieśliśmy ciężar i chwiejnie poszliśmy w kierunku mostu. Był w trzech czwartych ukończony. Wyglądało na to, że drugi pluton wyprzedzi nas. Nie obchodziłoby mnie to, ale ten pluton, który pierwszy postawi swój most, poleci do domu. Pozostałym zostaną cztery mile błota i ani chwili wypoczynku przed capstrzykiem.

Donieśliśmy dźwigar na miejsce, rzuciliśmy go z łomotem i przymocowaliśmy uchwyty łączące go z podporami. Zanim skończyliśmy mocować, żeńska połowa grupy klejarzy już zaczęła nakładać epoksyd. Jej partner czekał po drugiej stronie dźwigara. Grupa od nawierzchni stała przy moście; każdy trzymał nad głową, jak parasolkę, kawałek lekkiego sprężonego permaplastu. Byli czyści i nie przemoczeni. Głośno zastanowiłem się, czym sobie na to zasłużyli, a Rogers podsunęła kilka ciekawych, choć mało prawdopodobnych możliwości.

Zajęliśmy stanowisko przy następnym dźwigarze, kiedy szef kompanii (nazywał się Dougelstein, ale mówiliśmy na niego Dobra) dmuchnął w gwizdek i ryknął:

–Dobra, chłopcy i dziewczynki, dziesięć minut przerwy.

Kto ma, ten pali.

Sięgnął do kieszeni i wcisnął guzik włączający ogrzewanie naszych skafandrów.

Przysiedliśmy z Rogers na naszym końcu dźwigara i wyjąłem papierośnicę. Miałem mnóstwo skrętów, ale nie wolno ich było palić do capstrzyku. Oprócz tego miałem tylko mniej więcej trzycalowy niedopałek cygara. Przypaliłem je od krawędzi papierośnicy; po kilku pierwszych pociągnięciach nie było już takie złe. Rogers też pociągnęła, dla towarzystwa, ale skrzywiła się i oddała mi niedopałek.

–Byłeś na uczelni, kiedy cię powołano? – zapytała.

–Taak. Właśnie zrobiłem magisterium z fizyki. Chciałem uzyskać uprawnienia do nauczania.

Posępnie skinęła głową.

–Ja studiowałam biologię...

–Tak myślałem – wtrąciłem i uchyliłem się przed pecyną

łota. – Na którym roku?

–Skończyłam sześć, włącznie z magisterium. – Pociągnęła butem po ziemi, tworząc wzgórek o konsystencji zamarzającej brei. – Dlaczego, kurwa, musiało się tak stać?

Wzruszyłem ramionami. Na to pytanie nie było odpowiedzi, a na pewno nie zasługiwało na uwagę wyjaśnienie, jakim karmiono nas w SZ ONZ. Intelktualna i fizyczna elita planety, ruszająca strzec ludzkości przed taurańskim zagrożeniem. Sojowa papka.

Wszystko to było jednym wielkim eksperymentem. Zobaczmy, czy uda się sprowokować Taurańczyków do działań naziemnych.

Dobra dmuchnął w gwizdek o dwie minuty za wcześnie, zgodnie z przewidywaniami, ale Rogers, ja i dwoje pozostałych siedzieliśmy sobie jeszcze przez minutę, czekając, aż zespoły klejarzy i nawierzchniowców skończą pokrywać nasz dźwigar.

Siedząc tak z wyłączonym ogrzewaniem skafandrów, szybko zaczęliśmy marznąć, jednak nie ruszaliśmy się – dla zasady.

Ćwiczenia przy wyłączonym ogrzewaniu nie miały żadnego sensu. Typowo wojskowy idiotyzm. Pewnie, tam, dokąd polecimy, będzie zimno, jednak nie aż tak, by wszędzie zalegał śnieg i lód. Niemal z reguły na planetach przejść przez cały czas temperatura oscylowała w granicach dwóch stopni od zera absolutnego – ponieważ

kolapsary nie świecą – więc jeśli poczujesz, że ci zimno, to będzie znaczyło, że jesteś już trupem.

Dwanaście lat wcześniej, kiedy byłem dziesięcioletkiem, odkryto skok kolapsarowy. Wystarczy z odpowiednią prędkością skierować jakiś przedmiot w kolapsar, aby znalazł się gdzieś w odległej części galaktyki. Nie trwało długo, a znaleziono wzór pozwalający przewidzieć, gdzie się wyłoni: podróżuje po linii prostej (w rozumieniu teorii Einsteina), po jakiej podążałoby, gdyby nie napotkało po drodze kolapsara – dopóki nie natrafi na następne pole kolapsarowe, w którym pojawia się ponownie, podążając z prędkością, jaką rozwijało w momencie wejścia w pierwszy kolapsar. Czas podróży między dwoma kolapsarami równy jest zeru.

Fizycy teoretyczni mieli mnóstwo roboty: musieli ponownie zdefiniować pojęcie równoczesności, a potem rozłożyć na czynniki ogólną teorię względności i stworzyć ją od nowa. Natomiast bardzo szczęśliwi byli politycy, którzy teraz mogli wysłać cały statek kolonistów na Fomalhauta za mniejsze pieniądze, niż kiedyś kosztowało umieszczenie paru ludzi na Księżycu. Było mnóstwo ludzi, których politycy chętnie widzieliby na Fomalhaucie, przeżywających tam wspaniałą przygodę, a nie wzniecających zamieszki na Ziemi.

Statkom zawsze towarzyszyła automatyczna sonda, podążająca kilka mil z tym. Wiedzieliśmy o istnieniu planet przejścia, tych resztek wirujących wokół kolapsarów; zadaniem sondy było wrócić i powiadomić bazę, gdyby statek lecący z prędkością 0,99 prędkości światła rąbnął w jedną z nich.

Do takiej katastrofy nigdy nie doszło, ale pewnego dnia kolejna sonda wróciła uszkodzona – i sama. Przeanalizowano jej dane i okazało się, że jakiś kosmolot ścigał i zniszczył statek kolonistów. Zdarzyło się to opodal Aldebarana, w układzie Taurusa, jednak ponieważ słowo „Aldebarańczycy” jest trochę przydługie, nazwano wrogów „Taurańczykami”.

Od tej pory statki kolonistów ruszały pod eskortą uzbrojonych jednostek. Te uzbrojone okręty często wyruszały same, aż w końcu Grupa Kolonizacyjna przekształciła się w Siły Zbrojne ONZ. Z naciskiem na Siły.

Potem jakiś błyskotliwy członek Zgromadzenia Generalnego zdecydował, że powinniśmy wysłać w pole oddziały piechoty, żeby strzegły planet wokół najbliższych kolapsarów. To doprowadziło do uchwalenia ustawy o powszechnej służbie wojskowej i powstania najbardziej elitarnej armii w historii wojskowości.

I tak znaleźliśmy się tutaj, pięćdziesięciu mężczyzn i pięćdziesiąt kobiet o 10 powyżej 150, niezwykle zdrowych i silnych, brodząc w glinie i błocie środkowego Missouri, zastanawiając się, w jaki sposób umiejętność stawiania mostów może przydać nam się na planetach, na których jedynym płynem jest sporadycznie spotykana kałuża ciekłego helu.

3. Blisko miesiąc później wyruszyliśmy na ostatnie ćwiczenia – manewry na planecie Charon. Chociaż to pobliskie peryhelium, mimo to leży dwa razy dalej od Słońca niż Pluton.

Przewoził nas przerobiony „barakowóz”, przeznaczony dla dwustu kolonistów wraz z ich sadzonkami i inwentarzem. Jednak nie myślcie, że było przestronnie, skoro leciało nas o połowę mniej. Większość wolnej przestrzeni zajmowały dodatkowe zbiorniki paliwa, broń i amunicja.

Cała wycieczka trwała trzy tygodnie: przez połowę drogi przyspieszanie do 2 g, a potem deceleracja. Nasza największa prędkość, z jaką przemknęliśmy obok Plutona, wynosiła w przybliżeniu jedną dwudziestą prędkości światła – za mało, aby dała, o sobie znać teoria względności,

Trzy tygodnie dźwigania dwukrotnie większego ciężaru ciała niż zwykle to nie piknik. Trzy razy dziennie wykonywaliśmy krótką gimnastykę, a pozostały czas staraliśmy się spędzać w pozycji horyzontalnej. Mimo to mieliśmy kilka przypadków złamań i poważnych zwichnięć. Mężczyźni musieli zakładać suspensoria, żeby nie poodpadały im członki. Sen przychodził z trudem; przerywany koszmarami o duszeniu się i zgniataniu, okresowymi zmianami pozycji dla podtrzymania krążenia krwi i zapobiegania odleżynom. Jedna z dziewcząt była tak zmęczona, że ledwie obudziła się, kiedy żebro przebiło jej skórę.

Kilkakrotnie byłem już w kosmosie, więc kiedy wreszcie zakończyliśmy decelację i przeszliśmy w stan nieważkości, poczułem jedynie ulgę. Jednak niektórzy z nas, oprócz krótkiego szkolenia na Księżycu, nigdy nie byli w przestrzeni, więc doznali gwałtownego ataku choroby lokomocyjnej. Posprzątałem po nich, fruując po pomieszczeniach z gąbkami i ssawkami, wsysając kulki częściowo strawionej „skoncentrowanej, wysokobiał-

kowej, wysokokalorycznej pasty mięsnej (z soi)".

Schodząc z orbity, mieliśmy doskonały widok na Charona.

Jednak nie było tam wiele do oglądania. Po prostu mlecznobiała kula z kilkoma smugami. Wylądowaliśmy jakieś dwieście metrów od bazy. Wysunął się z niej hermetyczny rękaw, który połączył się z promem, tak że nie musieliśmy zakładać skafandrów. Ze szczękiem przemaszerowaliśmy do głównego budynku, niekształtnego pudła z szarego plastiku.

Ściany wewnątrz miały tę samą ponurą barwę. Reszta kompanii siedziała za stołami, zabijając czas rozmową. Obok Freelanda było wolne miejsce.

–Czujesz się lepiej, JefT?

Nadal był trochę blady.

–Jeśli bogowie chcieli, żeby człowiek przeżył swobodne spadanie, to powinni go obdarzyć stalowym żołądkiem. – Westchnął ciężko. – Nieco lepiej. Dałbym wszystko za dyma.

–Taak.

–Ty znosisz to całkiem dobrze. Byłeś już w przestrzeni, prawda?

–Praca doktorska ze spawania w próżni. Trzy tygodnie na orbicie okołoziemskiej.

Usiadłem i po raz tysięczny sięgnąłem po papierośnicę. Nadal jej tam nie było. Systemy podtrzymywania życia nie chciały męczyć się z nikotyną i ciałami smolistymi.

–Ćwiczenia były paskudne – narzekał Jeff- ale to gówno...

–Baa-czność!

Staliśmy bez ładu i składu, dwójkami i trójkami. Otworzyły się drzwi i wszedł jakiś major. Lekko zeszywniałem. Był najwyższym rangą oficerem, jakiego widziałem. Na kurtce munduru miał rząd baretek, włącznie z purpurowym paskiem świadczącym o tym, że był ranny podczas walki w szeregach dawnej amerykańskiej armii. Na pewno w Indochinach, ale tamte zarzewia wojny wygasły, zanim przyszedłem na świat. On nie wyglądał tak staro.

–Siadajcie, siadajcie – poparł słowa gestem. Potem oparł ręce na biodrach i z nikłym uśmieszkiem obrzucił nas spojrzeniem. – Witajcie na Charonie. Wybraliście sobie piękny dzień na lądowanie, na zewnątrz mamy letni skwar – temperaturę 8,15 stopnia powyżej zera absolutnego. Oczekujemy niewielkiej zmiany pogody za jakieś sto czy dwieście lat.

Niektórzy zaśmiali się bez przekonania.

–Lepiej cieszcie się tym tropikalnym klimatem tu, w bazie Miami; korzystajcie, póki możecie. Znajdujemy się w centrum słonecznej strony, a większość ćwiczeń odbędzie się po ciemnej

stronie. Tam utrzymuje się niższa temperatura – około 2,08 stopnia. Powinniście traktować wasze dotychczasowe szkolenie na Ziemi i na Księżycu jako ćwiczenia wstępne, umożliwiające wam przetrwanie na Charonie. Tutaj przejdziecie pełne przeszkolenie w zakresie używania broni i narzędzi oraz zajęcia taktyczne. I przekonacie się, że w tych temperaturach narzędzia nie zachowują się tak, jak powinny; broń nie chce strzelać. A ludzie poruszają się bardzo ostrożnie.

Spojrzał na notes, który trzymał w ręku.

–W tej chwili jest was czterdzieści dziewięć kobiet i czterdziestu ośmiu mężczyzn. Dwa zgony na Ziemi, jeden przypadek choroby psychicznej. Zapoznałem się z programem waszych ćwiczeń. Jestem zaskoczony, że tak wielu z was zdołało przez nie przebrnąć. Jednak nie ukrywam, że nie będę rozczarowany, jeśli tylko połowa z was – pięćdziesiąt procent – ukończy ten etap szkolenia. A jedyną alternatywą jest śmierć. Tutaj. Każdy z nas

–włącznie ze mną – może wrócić na Ziemię dopiero po wykonaniu zadania. Przez miesiąc będziecie tu ćwiczyć. Potem

polecicie do kolapsara Stargate, pół roku świetlnego stąd. Zatrzymacie się w bazie Stargate I, na największej planecie przejścia, do czasu przybycia posiłków. Miejmy nadzieję, że nie potrwa to dłużej niż miesiąc; zaraz po waszym odlocie ma przybyć tu następna grupa.

–Kiedy opuścicie Stargate, udacie się do jakiegoś strategicznie ważnego kolapsara, założycie tam bazę i odeprzecie wroga, jeśli zaatakuje. Jeżeli nie, zaczekacie w bazie na dalsze rozkazy.

–Podczas ostatnich dwóch tygodni ćwiczeń będziecie budowali dokładnie taką samą bazę na ciemnej stronie planety. Będziecie całkowicie odcięci od bazy Miami; żadnej łączności, żadnych możliwości ewakuacji, żadnych dostaw żywności. Przed upływem tych dwóch tygodni sprawdzimy wasze umiejętności obrony przed atakiem zdalnie sterowanych pocisków. Będą uzbrojone.

Wydali na nas tyle forsy, żeby pozabijać nas podczas ćwiczeń?

–Cała załoga bazy na Charonie to żołnierze z doświadczeniem bojowym, mający po czterdzieści i pięćdziesiąt lat. Jednak myślę, że dotrzemy do was kroku. Dwóch z nas będzie towarzyszyć wam przez cały czas i poleci z wami przynajmniej na Stargate. To kapitan Sherman Stott, dowódca waszej kompanii, oraz sierżant Octavio Cortez. Panowie...?

Dwaj mężczyźni w pierwszym rzędzie wstali i odwrócili się do nas. Kapitan Stott był odrobinę niższy od majora, ale ulepiony z tej samej gliny; zdecydowane rysy twarzy gładkiej jak porcelana-

na, cyniczny uśmiezek, centymetr precyzyjnie przyciętej brody wokół wydatnej szczęki, wygląd najwyżej trzydziestolatka. Na biodrze nosił wielki, staromodny pistolet na naboje prochowe. Sierżant Cortez to całkiem inna historia – istny horror. Głowę miał ogoloną i zdeformowaną, spłaszczoną z jednej strony, gdzie wyraźnie amputowano spory kawałek czaszki. Bardzo smagłą twarz przecinała sieć zmarszczek i blizn. Brakowało mu połowy lewego ucha, a jego oczy miały tyle wyrazu, co przyciski maszyny. Nosił wąsy i brodę, które wyglądały jak chuda biała gąsienica owinięta wokół ust. U kogokolwiek innego jego chłopięcy uśmiech wyglądałby przyjemnie, tymczasem Cortez był chyba najbrzydszym, najpaskudniejszym stworzeniem, jakie widziałem w życiu. Mimo to, jeśli nie patrzeć na jego głowę, lecz wziąć pod uwagę dolne sześć stóp ciała, mógł pozować do plakatów reklamujących kurorty dla kulturystów. Ani Stott, ani Cortez nie nosili żadnych baretek. Cortez miał pod lewą pachą mały kieszonkowy laser, podwieszony na magnetycznym pierścieniu. Drewniana kolba broni była wyślizgana od częstego używania.

–A teraz, zanim oddam was pod czułą opiekę tych dwóch dżentelmenów, ostrzegam was jeszcze raz. Dwa miesiące temu na tej planecie nie było żywego ducha, tylko trochę sprzętu pozostawionego przez ekspedycję w 1991. Czterdziestu pięciu ludzi trudziło się przez miesiąc, wznosząc tę bazę. Dwadzieścia cztery osoby – przeszło połowa – zginęły w trakcie budowy. To najniebezpieczniejsza planeta, na jakiej kiedykolwiek próbował żyć człowiek, jednak te, na które podążycie, będą równie lub bardziej groźne. Wasi dowódcy spróbują utrzymać was przy życiu przez następny miesiąc. Słuchajcie ich... i bierzcie z nich przykład; oni przetrwali tu znacznie dłużej niż wy. Kapitanie? Kapitan wstał, a major opuścił salę.

–Baa-czność!

Ostatnia sylaba poderwała nas na nogi.

–Powiem to tylko raz, więc lepiej słuchajcie – warknął. – To jest pole bitwy, a na polu bitwy jest tylko jedna kara za nieposłuszeństwo czy niesubordynację.

Wyrwał pistolet z kabury i trzymał go za lufę, jak pałkę.

–To automatyczny pistolet kaliber 0.45 z 1911 roku – broń prymitywna, ale skuteczna. Sierżant i ja mamy rozkaz użyć broni w razie potrzeby. Nie zmuszajcie nas do tego, ponieważ zrobimy to. Zrobimy.

Schował pistolet do kabury. Zatrzask głośno szczęknął w głuchej ciszy.

–Razem z sierżantem Cortezem zabiliśmy więcej ludzi, niż siedzi teraz w tej sali.

Obaj walczyliśmy w Wietnamie po stronie Amerykanów i obaj ponad dziesięć lat temu wstąpiliśmy do

Międzynarodowych Sił ONZ. Dla przywileju dowodzenia tą kompanią czasowo zrezygnowałem ze stopnia majora, a sierżant Cortez ze stopnia kapitana, ponieważ obaj jesteśmy frontowymi żołnierzami, a to jest pierwsze pole bitwy od 1987 roku. Pamiętajcie o tym, co wam powiedziałem. Sierżant Cortez poinstruuje was szczegółowo o waszych obowiązkach. Proszę prowadzić dalej, sierżancie.

Zrobił w tył zwrot i wymaszerował z sali. Podczas całej tej oracji wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet na jotę.

Sierżant poruszał się jak ciężka machina z mnóstwem łożysk kulkowych. Kiedy drzwi zamknęły się z sykiem, powoli odwrócił się do nas i zdumiewająco łagodnym głosem powiedział:

–Spocznij, siadać.

Usiadł na stoliku. Mebel zatrzeszczał, ale wytrzymał.

–Kapitan może budzić strach i ja też, ale obaj chcemy dobrze. Będziecie ze mną w stałym kontakcie, więc lepiej przyzwyczajcie się do wyglądu mojej głowy. Kapitana pewnie już nie zobaczycie, chyba że na manewrach. – Dotknął swojej czaszki.

–A skoro mowa o głowie, nadal mam ją na karku, mimo wysiłków Chińczyków. Wszyscy starzy weterani, którzy zaciągnęli się na służbę ONZ, musieli spełnić te same kryteria, co wy. Tak więc podejrzewam, że wszyscy jesteście mądrzy i twardzi, jednak pamiętajcie, że kapitan i ja jesteśmy mądrzy, twardzi, a w dodatku doświadczeni.

Przekartkował plan zajęć, nie czytając go.

–Tak jak powiedział kapitan, podczas manewrów przewiduje się tylko jeden rodzaj kary. Najsurowszy. Jednak zazwyczaj nie będziemy musieli zabijać was za nieposłuszeństwo; Charon oszczędzi nam kłopotu. Po powrocie do bazy – to całkiem inna historia. Nie obchodzi nas, co robicie na kwaterach. Możecie przez cały dzień uganiać się za dupami i pieprzyć przez całą noc...

Jednak kiedy zakładacie skafandry i wychodzicie na zewnątrz, macie być zdyscyplinowani w stopniu, jaki zawstydziłby centuriona. W pewnych sytuacjach jedna głupia pomyłka może zabić nas wszystkich. Pierwszą rzeczą, jaka was czeka, jest dopasowanie bojowych skafandrów. Zbrojmistrz czeka na kwaterach; zajmie się każdym po kolei. Idziemy.

4. – Wiem, że na Ziemi uczono was, co potrafi bojowy skafander.

Zbrojmistrz był niski, łysawy, w uniformie bez insygniów.

Sierżant Cortez kazał nam zwracać się do niego „sir”, ponieważ

był porucznikiem.

–Jednak chcę zwrócić uwagę na kilka spraw; może dodać pewne rzeczy, o jakich zapomnieli lub nie wiedzieli wasi instruktorzy na Ziemi. Sierżant był tak uprzejmy, że zgodził się być moją pomocą dydaktyczną. Sierżancie?

Cortez zdjął skafander i wszedł na niewielkie podium, gdzie stał kombinezon bojowy, rozpięty jak muszla w kształcie człowieka. Wszedł w nią tyłem i wsunął ramiona w sztywne rękawy. Usłyszeliśmy kliknięcie i ubiór zamknął się z cichym westchnieniem. Miał jasnozieloną barwę, a na hełmie napis drukowanymi literami: CORTEZ.

–Kamuflaż, sierżancie.

Zieleń przeszła w biel, a ta w brudną szarość.

–To barwy maskujące odpowiednie na Charonie i na większości planet przejsz – powiedział Cortez jak z głębokiej studni.

–Jednak można także uzyskać kilka innych kombinacji.

Szarość upstrzyły jaśniejsze, zielone i brązowe plamy.

–W dżungli.

Kolor zmienił się w jaskrawą żółć.

–Pustynia.

Ciemny brąz, ciemniejszy, do atramentowoczarnego.

–Noc lub kosmos.

–Bardzo dobrze, sierżancie. O ile wiem, to jedyna cecha tego skafandra, jaką udoskonalono po waszym szkoleniu. Sterowanie znajduje się wokół waszego lewego nadgarstka i jest naprawdę trudne do opanowania. Kiedy jednak znajdzie się właściwą kombinację, łatwo ją uzyskać. Na Ziemi nie mieliście zbyt wiele godzin ćwiczeń w skafandrach. Nie chcieliśmy, żebyście przyzwyczajali się do nich w przyjaznym otoczeniu. Kombinezon

bojowy jest najbardziej śmiertelnością bronią osobistą, jaką kiedykolwiek wyprodukowano, a pozbawiony uzbrojenia łatwo może zabić nieostrożnego użytkownika. Obróć się, sierżancie.

–Sprawa najważniejsza – rzekł, stukając w duże prostokątne wybrzuszenie między łopatkami. – Radiatory układu chłodzenia. Jak wiecie, skafander próbuje utrzymać optymalną temperaturę ciała niezależnie od pogody na zewnątrz. Materiał kombinezonu jest tak zbliżony do idealnego izolatora, jak pozwalały na to wymagania wytrzymałościowe. Dlatego te żeberka są gorące, szczególnie w porównaniu z temperaturą na zewnątrz – ponieważ oddają ciepło ciała. Wystarczy, że oprzecie się o bryłę zamrożonego gazu – a jest ich tu mnóstwo. Gaz wyparuje szybciej, niż zdoła uciec z chłodnicy, a uciekając rozepchnie otaczający go lód i skruszy go... tak że w jednej setnej sekundy zmieni się w ręczny granat wybuchający wam za plecami. Nawet

nie zdążycie niczego poczuć. W ciągu minionych dwóch miesięcy w podobny sposób zginęło jedenaście osób. A oni po prostu budowali kilka chat. Zakładam, że wiecie, jak łatwo układ wspomagający może zabić was lub waszych towarzyszy. Czy ktoś chce uścisnąć rękę sierżantowi?

Przerwał, podszedł do Corteza i uścisnął mu dłoń w rękawicze.

–On ma duże doświadczenie. Dopóki go nie nabędziecie, bądźcie bardzo ostrożni. Zechcecie podrapać się, a skręcicie sobie kark. Pamiętajcie o semilogarytmicznej reakcji skafandra: nacisk z siłą dwóch funtów daje siłę pięciu funtów, trzy dają dziesięć, cztery to dwadzieścia trzy, a pięć da czterdzieści siedem. Większość z was potrafi ścisnąć z siłą znacznie przekraczającą sto funtów. Przy tym wzmocnieniu teoretycznie możecie złamać na pół stalową belkę. W rzeczywistości zniszczylibyście materiał rękawic i szybko zginęlibyście – przynajmniej tu, na Charonie. Dekompresja ścigałaby się z zamrożeniem. Umarlibyście, bez względu na wynik tego wyścigu.

–Wspomaganie nóg również jest niebezpieczne, chociaż wzmocnienie nie jest tu aż tak duże. Dopóki nie nabierzecie wprawy, nie próbujcie biegać ani skakać. Możecie potknąć się, co oznacza niemal pewną śmierć. Grawitacja Charona wynosi trzy czwarte ciężenia ziemskiego, więc nie jest tu tak źle. Jednak na naprawdę małej planecie, takiej jak Księżyc, możecie podskoczyć i nie opaść na powierzchnię przez dwadzieścia minut, tylko szybować aż za horyzont. I z prędkością osiemdziesięciu metrów na sekundę możecie uderzyć w jakąś górę. Na małym asteroidzie łatwo można osiągnąć prędkość ucieczki i polecieć na małą wycieczkę w przestrzeń międzygwiazdną. To dość powolny sposób podróżowania.

–Od jutra rana zaczniemy uczyć was, jak zostać przy życiu w tej straszliwej maszynie. Przez resztę popołudnia będę wzywał was pojedynczo do przymiarki. To wszystko, sierżancie.

Cortez podszedł do drzwi i pokręcił korbą, wpuszczając powietrze do śluzy. Zapalił się rząd lamp na podczerwień, zapobiegających zamarzaniu powietrza. Kiedy ciśnienia wyrównały się, zakręcił zawór, otworzył drzwi i zamknął je za sobą. Pompa mruczała przez minutę, opróżniając komorę; wtedy wyszedł z niej i zamknął drugie drzwi.

Śluza była bardzo podobna do tych na Księżycu.

–Pierwszego poproszę szeregowego Omara Almizara. Po zostali mogą pójść wybrać sobie prycze. Wezwę was przez głośniki.

–W porządku alfabetycznym, sir?

–Mhm. Około dziesięć minut na każdego. Jeśli ktoś ma nazwisko na Z, równie dobrze może od razu iść do łóżka.

Mówił o Rogers. Ona pewnie marzyła tylko o tym, żeby pójść do łóżka.

5. Słońce było jaskrawobiałym punktem tuż nad głowami. Było o wiele jaśniejsze, niż oczekiwałem; ponieważ znajdowaliśmy się w odległości osiemdziesięciu AU, jego jasność wynosiła zaledwie 1/6400 tej, jaką miało na Ziemi. Pomimo to dawało mniej więcej tyle światła, co silna latarnia uliczna.

–Tutaj jest znacznie jaśniej, niż będzie na planetach przejść zatrzeszczał nam w uszach głos kapitana Stotta. – Cieszcie

się, że będziecie mogli patrzeć pod nogi.

Staliśmy w szeregu na permaplastowym chodniku łączącym kwatery z magazynem sprzętu. Przez całe rano ćwiczyliśmy wchodzenie do środka, w czym nie znaleźliśmy niczego nowego oprócz scenerii. Nawet w tym słabym świetle, wobec braku atmosfery, wszystko było wyraźnie widoczne aż po horyzont. Kilometr od nas, od jednego krańca horyzontu po drugi, ciągnęło się czarne urwisko o zbyt regularnym kształcie, aby mogło być dziełem natury. Grunt był obsydianowo czarny, pocięty pasami białego lub błękitnego lodu. W pobliżu magazynu zaopatrzenia wznosiła się sterta śniegu w beczce z napisem: TLEN.

Skafander był dość wygodny, jednak wywoływał dziwne wrażenie, iż jest się jednocześnie marionetką i lalkarzem. Wyślij impuls ruszający nogą, a skafander odbierze go i poruszy nogą za ciebie.

–Dziś będziemy chodzić tylko wokół naszej bazy i niech nikt się nie oddala.

Kapitan nie zabrał swojej czterdziestki piątki – chyba że nosił ją jak amulet, w skafandrze -jednak miał laser w palcu, tak jak my wszyscy. Tyle że jego pewnie był podłączony.

Zachowując przynajmniej dwumetrowe odstępy, zeszliśmy z permaplastu i poszliśmy za kapitanem po gładkiej skale. Chodziliśmy ostrożnie przez prawie godzinę, zataczając coraz szersze kręgi, aż w końcu stanęliśmy na samym obwodzie.

–Teraz niech wszyscy pilnie uważają. Podejdę do tej bryły niebieskiego lodu – rzekł, wskazując wielki głaz, znajdujący się około dwudziestu metrów dalej – i pokażę wam coś, o czym powinniście wiedzieć, jeżeli chcecie pozostać przy życiu.

Pewnym krokiem podszedł do głazu.

–Najpierw muszę ogrzać skałę – filtry w dół.

Nacisnąłem przycisk pod pachą i filtr przysłonił wizjer mojego hełmu. Kapitan wycelował palcem w czarny kamień wielkości piłki i puścił krótką serię. Rozbłysk rzucił ku nam długi cień kapitana. Głaz rozsypał się na drobne kawałki.

–One szybko ostygną- powiedział, schylając się i podno-

sząc jeden odłamek. – Ten zapewne ma temperaturę dwudziestu do dwudziestu pięciu stopni. Patrzcie.

Rzucił „ciepły” kamyk na bryłę lodu. Kamień przez moment tańczył na jej powierzchni, po czym spadł. Następny rzucony odłamek zachował się tak samo.

–Jak wicie, nie jesteście idealnie izolowani. Te kamyki mają temperaturę zbliżoną do temperatury podeszew waszych butów. Jeśli spróbujecie stanąć na bloku lodu, to samo przydarzy się wam. Tyle że kamienie już są martwe. Przyczyną takiego zachowania jest fakt, że między kamykiem a lodem wytwarza się śliska warstewka płynnego wodoru, unosząca cząsteczki nad płynem na poduszce gazu. W ten sposób przy zetknięciu kamienia lub waszych butów z lodem nie występuje tarcie, a bez tarcia nie można ustać na nogach. Po miesiącu lub dwóch noszenia skafandrów powinniście przeżyć taki upadek, ale teraz jeszcze za mało wicie. Patrzcie.

Kapitan sprężył się i wskoczył na głaz. Stracił równowagę, ale obrócił się w powietrzu i wylądował na czworakach. Ześlizgnął się i stanął na ziemi.

–Chodzi o to, żeby nie dotknąć chłodnicą zamrożonego gazu. W porównaniu z lodem chłodnica jest gorąca jak piec hutniczy i wystarczy ledwie muśnięcie, aby nastąpił wybuch. Po pokazie maszerowaliśmy jeszcze przez godzinę, po czym wróciliśmy na kwatery. Przeszedłszy przez śluzę, musieliśmy poczekać jeszcze chwilę, pozwalając kombinezonom osiągnąć w przybliżeniu pokojową temperaturę. Ktoś podszedł do mnie i stuknął swoim hełmem w mój.

–William?

Nad wizjerem miała napis: McCoy.

–Cześć, Sean. O co chodzi?

–Po prostu zastanawiałam się, czy masz dziś z kim spać.

Racja – zapomniałem. Tutaj nie było żadnego grafiku. Każdy sam wybierał sobie partnera.

–Pewnie... chciałem powiedzieć, że nie... jeszcze nikogo nie prosiłem. Pewnie, jeśli chcesz...

–Dzięki, Williamie. Na razie.

Patrzyłem, jak odchodzi, i pomyślałem, że jeśli ktoś mógłby sprawić, żeby skafander bojowy wyglądał sexy, to tylko Sean. Jednak nawet jej się to nie udało.

Cortez zdecydował, że ogrzaliśmy się wystarczająco i zaprowadził nas do szatni, gdzie odstawiliśmy skafandry na miejsce i podłączyliśmy je do zasilaczy. (Każdy skafander miał wstawioną płytkę plutonu wystarczającą na kilka lat, ale kazano nam jak

najczęściej korzystać z akumulatorów.) Po dłuższym zamieszaniu wszyscy w końcu podłączyli się i otrzymaliśmy pozwolenie na zdjęcie kombinezonów – dziewięćdziesiąt siedem nagich kurcząt wykluwających się z jasnozielonych jaj. Wszystko było zimne – podłoga, powietrze, a szczególnie skafandry – więc rzuciliśmy się tłumnie do szafek.

Włożyłem koszulę, spodnie i sandały, ale nadal było mi zimno. Wziąłem kubek i stanąłem w kolejce po soję. Wszyscy podskakiwali dla rozgrzewki.

–Z-zimno, n-no nie, M-Mandella? – wykrztusiła McCoy.

–Nawet-nie-chcę-o-tym-myśleć – wycedziłem. Przestałem podskakiwać i zacząłem tłuc się jedną ręką po żebrach, w drugiej trzymając kubek z soją. – Co najmniej tak zimno jak w Missouri.

–Mhm... chciałabym, żeby trochę, kurwa, ogrzali to miejsce. Małe kobiety zawsze odczuwają to najdotkliwiej. McCoy była najmniejsza w kompanii, zgrabna laleczka mająca zaledwie pięć stóp wzrostu.

–Włączyli klimatyzację. Niedługo zrobi się ciepłej.

–Chciałabym-być-takim-wielkim-chłopem-jak ty.

Cieszyłem się, że nim nie była.

6. Pierwszy wypadek nastąpił trzeciego dnia, podczas ćwiczeń w kopaniu rowów.

Przy tak wielkich zasobach energii zmagazynowanej w uzbrojeniu żołnierza byłoby niepraktyczne kazać mu ryć zamrożony grunt tradycyjną łopatą i kilofem. Mimo to mogłeś przez cały dzień rzucać granaty i uzyskać zaledwie płytkie wgłębienie – dlatego powszechnie przyjętą metodą było wiercenie dziury w gruncie promieniem ręcznego lasera, po jej ostygnięciu wrzucenie ładunku z zapalnikiem czasowym i – najlepiej – zasypanie otworu. Oczywiście na Charonie nie ma zbyt wiele luźnych kamieni, chyba że już wywalono jakiś lej w pobliżu.

Jedyną trudną częścią tej operacji jest szybkie znalezienie bezpiecznej kryjówki. W tym celu – powiedziano nam – należy albo schować się za czymś, albo odejść co najmniej sto metrów. Po założeniu ładunku ma się na to prawie trzy minuty, ale nie można po prostu odbiec jak najdalej. Nie tu, nie na Charonie. Do wypadku doszło, kiedy robiliśmy naprawdę głęboki otwór, z rodzaju tych, jakie są potrzebne pod duży podziemny bunkier. W tym celu musieliśmy wywalić lej, potem zejść na dno krateru i powtarzać tę czynność tak długo, aż otwór będzie dostatecznie głęboki. W kraterze używaliśmy ładunków z pięciominutowym opóźnieniem, które i tak wydawało się zbyt krótkie – trzeba było

ić naprawdę powoli, wyszukując drogę przez krawędź leja. Prawie wszyscy wywalili już podwójne otwory; wszyscy oprócz mnie i trojga innych. Chyba tylko my zauważyliśmy, że Bovanovitch ma kłopoty. Wszyscy staliśmy dobre dwieście metrów od niej. Przez wizjer ustawiony na czterdzieści procent mocy patrzyłem, jak znika za krawędzią krateru. Później tylko słyszałem jej rozmowę z Cortezem.

–Jestem na dnie, sierżancie.

Podczas takich ćwiczeń zawieszano zwykłą procedurę połączeń radiowych; tylko Cortez i żołnierz wykonujący ćwiczenie mogli rozmawiać ze sobą.

–W porządku, przejdź na środek i usuń gruz. Nie spiesz się. Nie ma pośpiechu, dopóki nie wyciągniesz zawlecзки.

–Jasne, sierżancie.

Słyszeliśmy cichy stukot kamieni, dźwięk przechodzący przez podeszwy jej butów. Przez kilka minut nic nie mówiła.

–Znalazłam dno – oznajmiła lekko zdyszonym głosem.

Lód czy skała?

–Och, to skała, sierżancie. Zielonkawa.

–A zatem strzelaj słabym promieniem. Jeden przecinek dwa, rozrzut cztery.

–Do licha, sierżancie, to potrwa wieki.

–Tak, ale jeśli w skale są uwodnione kryształy, zbyt gwałtowne ogrzanie spowoduje pęknięcie. A wtedy będziemy musieli zostawić cię tam, dziewczyno. Martwą i zakrwawioną.

–W porządku, jeden przecinek dwa, de cztery.

Wewnętrzna krawędź krateru zamigotała czerwono odbitym błyskiem lasera.

–Kiedy wejdiesz na około pół metra, podwyższysz na de dwa.

–Roger.

Zajęło jej to dokładnie siedemnaście minut, z czego trzy przy dyspersji dwa. Mogłem sobie wyobrazić, jak boli ją ręka.

–Teraz odpocznij kilka minut. Kiedy dno otworu ostygnie, uzbroisz ładunek i wrzucisz go do otworu. Potem odejdziesz – powoli – rozumiesz? Będziesz miała mnóstwo czasu.

–Rozumiem, sierżancie. Odejdę.

Była lekko podenerwowana. No cóż, nieczęsto odchodzi się spacerkiem od dwudziestomikrotonowej bomby tachionowej. Przez kilka minut słuchaliśmy jej oddechu.

–Już.

Cichy szmer bomby ześlizgującej się w otwór.

–Teraz powoli i spokojnie. Masz pięć minut.

–Taak. Pięć,

Usłyszeliśmy stąpanie, z początku wolne i miarowe. Potem, kiedy zaczęła piąć się po zboczu, kroki stały się nieregularne, może nawet odrobinę nie skoordynowane. A mając cztery minuty czasu...

–Szlag!

–Co się dzieje, żołnierzu?

–Och, szlag!

Cisza.

–Szlag!

–Szeregowy, jeśli nie chcecie, żebym was zastrzelił, macie powiedzieć mi, co się dzieje!

–Ja... szlag, utknęłam. Pieprzone kamienie... szlag... Zróbcie coś! Nie mogę się ruszyć, cholera, nie mogę się ruszyć, cholera...

–Zamknij się! Jak głęboko jesteś?

–Nie mogę ruszyć, cholera, moimi pieprzonymi nogami.

Pomóżcie...

–Do licha, użyj rąk – pchaj! Każdą ręką możesz podnieść tonę. Trzy minuty.

Przestała kląć i zaczęła cicho mamrotać coś, chyba po rosyjsku. Dyszała i słychać było grzechot spadających kamieni.

–Uwolniłam się.

Dwie minuty.

–Idź najszybciej, jak możesz.

Głos Corteza był równy i bezbarwny.

Po trzydziestu sekundach pojawiła się i wygramoliła z krateru.

–Biegnij, dziewczyno... Lepiej biegnij.

Przebiegła pięć czy sześć kroków i upadła, przejechała z rozpędu kilka metrów i znów wstała; pobiegła, znowu upadła i wstała...

Wydawało się, że biegnie bardzo szybko, ale zdążyła pokonać zaledwie trzydzieści metrów, kiedy Cortez powiedział:

–W porządku, Bovanovitch, połóż się na brzuchu i leż spokojnie.

Dziesięć sekund, ale ona nie słyszała, albo po prostu chciała odbiec jeszcze kawałek, więc biegła dalej, długimi susami, aż w trakcie kolejnego skoku błysnęło i zagrzmiało, coś uderzyło ją w kark i jej bezgłowe ciało przekoziółkowało w powietrzu, ciągnąc czerwono-czarną spiralę błyskawicznie zamarznętej krwi, która wdzięcznie opadła na ziemię jako ścieżka kryształowego proszku, którą później wszyscy omijali, zbierając kamienie do przykrycia tego, co leżało na jej końcu.

Tego wieczoru Cortez nie zrobił nam wykładu, nawet nie pokazał się przed capstrzykiem. Wszyscy byliśmy dla siebie

bardzo uprzejmi i nikt nie bał się mówić o tym wypadku. Poszedłem do łóżka z Rogers – wszyscy spali tej nocy z dobrymi przyjaciółmi – która chciała sobie tylko popłakać i płakała tak długo, że i ja w końcu nie mogłem powstrzymać łez.

7. – Pluton A, naprzód!

Całą dwunastką ruszyliśmy nierównym szeregiem w kierunku pozorowanego bunkra. Znajdował się może kilometr dalej, za starannie przygotowanym torem przeszkód. Mogliśmy poruszać się bardzo szybko, gdyż z pola usunięto lód, jednak nawet po dziesięciu dniach ćwiczeń nie byliśmy w stanie zdobyć się na coś więcej niż trucht.

Niosłem granatnik załadowany dziesięciomikrotonowymi granatami ćwiczebnymi. Wszyscy mieli ręczne lasery nastawione na zero przecinek osiem de jeden, co w praktyce równało się światłu latarki. To był symulowany atak – bunkier i jego robot-obrońca kosztowali zbyt dużo, aby wykorzystać ich tylko jeden raz.

–Pluton B, za nimi. Dowódcy plutonów, przejąć dowodzenie.

Dotarliśmy do sterty głazów mniej więcej w połowie drogi i Potter, dowodząca moją drużyną, powiedziała:

–Stanąc i ukryć się.

Przyczailiśmy się za skałami i czekaliśmy na drużynę B.

Tuzin mężczyzn i kobiet, ledwie widocznych w zaczemionych skafandrach, cicho szepcząc, przemknął obok nas. Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, odbiegli w lewo, usuwając się z linii strzału.

–Ognia!

W odległości pół klika, gdzie w mroku majaczył bunkier, zatańczyły czerwone kręgi światła. Pięćset metrów to górna granica zasięgu granatów ćwiczebnych, jednak mogło dopisać mi szczęście, więc wycelowałem granatnik w kierunku bunkra, przytrzymałem broń pod kątem czterdziestu pięciu stopni i posłałem serię trzech pocisków.

Bunkier odpowiedział ogniem, zanim moje granaty zdążyły upaść. Jego automatyczne lasery nie były silniejsze od tych, jakich my używaliśmy, ale bezpośrednie trafienie deaktywowało wizjer hełmu, oślepiając ofiarę. Robot prowadził ostrzał na chybił trafił, nawet nie zahaczając o głazy służące nam za osłonę.

Trzy jasne błyski pojawiły się jednocześnie, jakieś trzydzieści metrów od bunkra.

–Mandella! Myślałam, że umiesz z tego strzelać!

–Do licha, Potter, to ma zasięg zaledwie pół klika. Jak podejmiemy bliżej, właduję wszystkie w cel – co do jednego.

–Tak, na pewno.

Nic nie odpowiedziałem. Nie zawsze będzie dowódcą pluto-

nu. Ponadto wcale nie była z niej taka zła dziewczyna, dopóki władza nie uderzyła jej do głowy.

Ponieważ grenadier jest zastępcą dwódcy plutonu, byłem podłączony do nadajnika Potter i słyszałem jej rozmowę z plutonem B.

–Potter, tu Freeman. Straty?

–Tu Potter. Żadnych, wygląda na to, że skupili się na tobie.

–Taak, straciliśmy trzech. Teraz jesteśmy w zagłębieniu, jakieś osiemdziesiąt, sto metrów od ciebie. Możemy was osłonić, kiedy będziecie gotowi.

–Dobra, zaczynamy.

Cichy szcęk.

–Pluton, za mną.

Wysunęła się zza głązu i włączyła słabe różowe światełko na swoim plecaku. Ja włączyłem swoje, po czym zająłem miejsce obok niej, a reszta oddziału rozeszła się wachlarzowato, tworząc klin. Nikt nie strzelał, kiedy pluton A osłaniał nas ogniem.

Słyszałem tylko oddech Potter i ciche chrup, chrup moich butów. Niewiele widziałem, więc zwiększyłem intensywność wizjera o dwa stopnie. Obraz był trochę nieostry, ale dostatecznie jasny. Wyglądało na to, że bunkier przycisnął do ziemi pluton B; zdrowo dawał im popalić. Odpowiadali tylko ogniem laserów.

Musieli stracić grenadiera.

–Potter, tu Mandella. Czy nie powinniśmy trochę odciążyć pluton B?

–Jak tylko znajdę dla nas jakąś osłonę. Czy to wam wystarczy? Szeregowy?

Na czas ćwiczeń została mianowana kapralem.

Skręciliśmy w prawo i położyliśmy się za dużym gładem.

Większość pozostałych również znalazła osłonę, ale kilku musiało przycisnąć się do ziemi.

–Freeman, tu Potter.

–Potter, tu Smithy. Freeman wyłączony; Samuels też. Zostało nam tylko pięciu ludzi. Daj nam osłonę, żebyśmy mogli...

–Roger, Smithy.

Klik.

–Pluton A, otworzyć ogień. Ci z B zdrowo obrywają.

Wyjrzałem zza głązu. Dalmierz podawał, że bunkier znajduje się trzysta pięćdziesiąt metrów stąd – wciąż dość daleko. Uniosłem lufę i wystrzeliłem trzy razy, potem opuściłem ją i posłałem kolejne trzy. Pierwsza seria przestrzeliła o prawie dwadzieścia metrów; druga salwa rozbłysła tuż przed bunkrem. Usiłując zachować kąt podniesienia lufy, oddałem piętnaście strzałów – opróżniając magazynek – w tym samym kierunku.

Powiniennem schować się za głaz, żeby załadować broń, ale chciałem zobaczyć, gdzie padnie piętnasty granat, więc nie spuszczając bunkra z oczu, sięgnąłem po następny magazynek... Kiedy promień lasera trafił w mój wizjer, czerwony błysk był tak intensywny, że zdawał się przeszywać mi oczy i wychodzić tyłem głowy. Moment między trafieniem a automatycznym wyłączeniem się wizjera nie mógł trwać dłużej niż kilka milisekund, lecz jaskrawozielona łuna stała mi przed oczami przez kilka minut. Ponieważ oficjalnie byłem „martwy”, moje radio samoczynnie wyłączyło się i musiałem pozostać tam, gdzie byłem, aż skończą się manewry. Pozbawiony wszelkich bodźców czuciowych oprócz tych, jakie przekazywała mi skóra (podrażniona w miejscu oświetlonym przez wizjer), i dzwonienia w uszach, miałem wrażenie, że trwa to strasznie długo. W końcu czyjś hełm brzęknął o mój.

–Nic ci nie jest, Mandella?

Głos Potter.

–Przykro mi, umarłem z nudów dwadzieścia minut temu.

–Wstań i złap mnie za rękę.

Zrobiłem tak i razem powlekliśmy się na kwaterę. Szliśmy chyba z godzinę. Przez całą drogę nie odezwała się słowem – przedziwny sposób porozumiewania się – ale kiedy przeszliśmy przez służbę powietrzną i ogrzaliśmy się, pomogła mi zdjąć skafander. Przygotowałem się na lekki ochrzan, ale kiedy mój skafander otworzył się i zanim jeszcze moje oczy przywykły do światła, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała w usta.

–Dobry strzał, Mandella.

–Hę?

–Nie widziałeś? Oczywiście... Ta ostatnia seria, zanim cię trafili – cztery bezpośrednie trafienia. Bunkier uznał, że został zniszczony, i resztę drogi przeszliśmy spacerkiem.

–Wspaniale.

Podrapałem się pod okiem, zrywając płat suchej skóry. Potter zachichotała.

–Powinieneś się zobaczyć. Wyglądasz jak...

–Cały personel, zbiórka w auli.

To był głos kapitana. Zwykle zapowiadał złe wieści.

Podawała mi kurtkę i sandały.

–Chodźmy.

Aula znajdowała się na końcu korytarza. Przy drzwiach był rząd przycisków; nacisnąłem ten obok plakietki z moim nazwiskiem. Cztery tabliczki były zaklejone czarną taśmą. Dobrze – tylko cztery. Nie straciliśmy nikogo podczas dzisiejszych manewrów.

Kapitan siedział na podium, co oznaczało, że przynajmniej oszczędzi nam cyrku ze stawaniem na baczność. Sala wypełniła się, w niecałą minutę; cichy brzęk oznajmił, że jesteśmy w komplecie. Kapitan Stott nie wstał.

–Spisaliście się dziś dość dobrze. Nikt nie został zabity, chociaż spodziewałem się kilku trupów. Pod tym względem przekroczyliście moje oczekiwania, ale pod wszelkimi innymi względami zawiedliście je.

–Cieszę się, że umiecie zadbać o siebie, ponieważ każde z was to inwestycja rzędu miliona dolarów i jedna czwarta ludzkiego życia. Jednak w tej symulowanej bitwie z bardzo głupim robotem trzydziestu siedmiu 2 was zdołało wleźć w ogień lasera i polec symulowaną śmiercią, a ponieważ martwi nie jedzą, im też nie potrzeba żywności przez następne tezy dni. Każdy, kto został zabity w tej bitwie, otrzyma dziennie tylko dwa litry wody i porcję witamin. Wiedzieliśmy, że lepiej nie narzekać, ale na kilku twarzach pojawił się grymas niesmaku, szczególnie na tych, które miały spalone brwi i różowy kwadrat oparzenia wokół oczu.

–Mandella.

–Tak, sir?

–Jesteś najciężej poszkodowanym. Czy twój wizjer był ustawiony na normalną intensywność?

O cholera!

–Nie, sir. Na dwa stopnie.

–Rozumiem. Kto był dowódcą twojego plutonu podczas ćwiczeń?

–Kapral Potter, sir.

–Szeregowy Potter, czy kazałaś mu zwiększyć intensywność obrazu?

–Sir, ja... nie pamiętam.

–Nie pamiętasz. No cóż, dla poprawienia pamięci dołączysz do zabitych. Jesteś zadowolona?

–Tak jest, sir.

–Dobrze. Zabici zjedzą ostami posiłek dziś wieczór, a od jutra rana obejdą się bez racji żywnościowych. Czy są jakieś pytania?

». Chyba żartował.

–W porządku. Rozejść się.

Wybrałem danie wyglądające na najbardziej kaloryczne, postawiłem na tacy i przysiadłem się do Potter.

–To była czysta donkiszoteria z twojej strony. Jednak dziękuję.

–Nie ma za co. I tak chciałam zrzucić kilka funtów.

Nie miałem pojęcia, gdzie miała ich za dużo.

–Znam dobre ćwiczenie – powiedziałem. Uśmiechnęła się, nie podnosząc oczu znad talerza. – Masz kogoś na dzisiejszą noc?

–Myślałam, że poproszę Jeffa...

–No to lepiej pospiesz się. On ma ochotę na Maejimą.

Właściwie mówiłem prawdę. Każdy miał ochotę na Maejimą.

–Sama nie wiem. Może powinniśmy oszczędzać siły. Na trzeci dzień...

–Daj spokój.

Lekko przesunąłem palcem wskazującym po grzbiecie jej dłoni.

–Nie spaliśmy ze sobą od czasów Missouri. Może nauczyłem się czegoś nowego.

–Może.

Przechyliła głowę i spojrzała mi w oczy, lekko zawstydzona.

–Dobrze.

Tymczasem to ona pokazała mi coś nowego. Nazywała to francuskim korkociągiem. Nie powiedziała mi, kto ją tego nauczył. Chętnie uściskałbym mu rękę. Kiedy odzyskam siły.

8. Dwa tygodnie ćwiczeń wokół bazy Miami kosztowały nas w sumie jedenastu zabitych. Dwunastu, jeśli policzyć Dahlquista. Sądzę, że perspektywa spędzenia reszty życia na Charonie bez dłoni i obu nóg właściwie równa się śmierci.

Foster zginął w lawinie, a Freeman miał awarię skafandra i zamarznął na kość, zanim wnieśliśmy go do środka. Większości pozostałych prawie nie znałem. Jednak żałowałem wszystkich. Te wypadki bardziej nas wystraszyły, niż nauczyły ostrożności.

A teraz po ciemnej stronie. Latacz przewiózł nas w dwudziestoosobowych grupach i wysadził przy stercie materiałów budowlanych, przemyślnie umieszczonych w jeziorze płynnego helu II.

Zarzucając kotwiczki, wyciągnęliśmy graty z jeziora. Lepiej było doń nie wchodzić, ponieważ to świństwo rozpełza się po całym skafandrze i nie wiadomo, co kryje się na dnie; możesz natrafić na kawał wodoru i cześć pieśni.

Zaproponowałem, żeby spróbować odparować jezioro promieniami laserów, ale dziesięć minut ciągłego ognia nie obniżyło znacząco poziomu cieczy. Hel II nie paruje – to superciecz, która musi być równomiernie ogrzana, na całej powierzchni. Brak punktów przegrzania, brak bąbelków.

Nie pozwolono nam używać świateł, żeby uniknąć wykrycia.

Przy wizjerze nastawionym na trzy czy cztery stopnie światło gwiazd zupełnie wystarczało, ale każdy stopień zwiększenia oznaczał utratę szczegółów. Przy czwartym stopniu krajobraz wyglądał jak toporny, czarno-biały rysunek, a nazwisk na hełmach nie dawało się odczytać, o ile ktoś nie stał tuż przed tobą.

Ten krajobraz i tak wcale nie był interesujący. Pół tuzina I średniej wielkości kraterów po meteorytach (każdy w tym samym [stopniu wypełniony helem II) i ślad niewielkich pagórków na horyzoncie. Nierówny grunt miał konsystencję zamrożonej pajęczyny; przy każdym kroku z przeraźliwym zgrzytem zapadałeś się o pół cala. To działało na nerwy.

Wyciągnięcie wszystkiego z jeziora zabrało nam pół dnia.

Drzemaliśmy na zmianę, na stojąco, siedząc albo leżąc na brzuchu.

Nie było mi wygodnie w żadnej z tych pozycji, więc chciałem, żeby bunkier jak najszybciej został postawiony i zhermetyzowany.

Nie mogliśmy zbudować go pod ziemią – zaraz wypełniłby się helem – więc najpierw musieliśmy postawić platformę izolującą, permaplastowo-próżniowy przekładaniec z trzech warstw.

Na czas akcji otrzymałem stopień kaprala i dziesięciu żołnierzy.

Przenosiliśmy permaplastowe płyty na plac budowy – dwóch ludzi bez trudu mogło unieść jedną – kiedy jeden z „moich” żołnierzy poślizgnął się i upadł na plecy.

–Psiakrew, Singer, uważaj, jak chodzisz.

W ten sposób zginęło już kilku naszych.

–Przepraszam, kapralu. Nic mi nie jest. Po prostu poplątały mi się nogi.

–Tak, ale uważaj.

Podniósł się bez niczyjej pomocy i razem z partnerem położyli płytę, po czym wrócili po następną.

Nie spuszczałem Singera z oczu. Po kilku minutach zaczął zataczać się, co nie jest łatwe w takiej cybernetycznej zbroi.

–Singer! Jak położysz tę płytę, chcę cię tu widzieć.

–Dobrze.

Wykonał zadanie i przyczłapał do mnie.

–Sprawdzę wskazania.

Otworzyłem klapkę na jego piersi, aby sprawdzić odczyt monitoringu. Temperatura za wysoka o dwa stopnie; ciśnienie i tętno również podwyższone. Jednak nie do czerwonej linii.

–Jesteś chory?

–Do diabła, Mandella, nic mi nie jest, to tylko zmęczenie.

Po upadku kręci mi się w głowie.

Połączyłem się z medykiem.

–Doktorze, tu Mandella. Nie zechciałby pan przyjść tu na moment?

–Jasne, gdzie jesteście?

Pomachałem mu ręką i przyszedł znad jeziora.

–O co chodzi?

Pokazałem mu odczyt Singera.

Wiedział wszystko o pozostałych tarczach i wskaźnikach, ale zabrało mu to chwilę.

–Mogę tylko powiedzieć, że jest mu gorąco.

–Do diabła, tyle to i ja mogłem powiedzieć – złościł się Singer.

–Może zbrojmistrz powinien obejrzeć jego skafander.

Mieliśmy dwóch ludzi po skróconym kursie naprawy skafandrów; byli naszymi zbrojmistrzami.

Wywołałem Sancheza i poprosiłem, żeby przyszedł ze swoimi narzędziami.

–Będę za parę minut, kapralu. Niosę płytę.

–No to odłóż ją i chodź tu natychmiast.

Miałem złe przeczucia. Czekając na Sancheza, razem z lekarzem obejrzeliliśmy skafander Singera.

–Oho – powiedział dr Jones. – Spójrz na to.

Obszedłem Singera i popatrzyłem na jego plecy. Dwa żeberka chłodnicy były wygięte.

–Co się stało? – spytał Singer

–Upadłeś na chłodnicę, tak?

–Jasne, kapralu, tak było. Pewnie teraz nie działa za dobrze.

–Sądzę, że wcale nie działa – powiedział lekarz.

Przyszedł Sanchez ze swoimi narzędziami. Powiedzieliśmy mu, co się stało.

Popatrzył na wymiennik ciepła, podłączył do zestawu diagnostycznego i odczytał cyfry na małym wyświetlaczu. Nie wiedziałem, co mierzył, ale otrzymał zero przecinek osiem dziesiątych.

Usłyszałem ciche kliknięcie. To Sanchez przełączył się na moją prywatną częstotliwość.

–Kapralu, ten facet jest załatwiony.

–Co takiego? Nie możesz naprawić tego cholerstwa?

–Może mógłbym... gdybym rozebrał to na części. Jednak nie mogę...

–Hej! Sanchez! – Singer nadawał na ogólnym paśmie. – Znalazłeś przyczynę? Klik.

–Trzymaj się, człowieku, pracujemy nad tym.

Klik.

–Nie wytrzyma do czasu, aż zhermetyzujemy bunkier. A nie mogę naprawić układu chłodzącego, nie zdejmując z niego skafandra.

–Masz zapasowy, no nie?

–Nawet dwa, uniwersalne. Jednak nie ma gdzie... chyba...

–Właśnie. Ogrzej jeden z nich.

Przeszedłem na ogólne pasmo.

–Słuchaj, Singer, musimy wydostać cię z tego. Sanchez ma uniwersalny kombinezon, ale żeby cię przebrać, musimy wybudować wokół ciebie osłonę.

Rozumiesz?

–Ehm.

–Słuchaj, postawimy wokół ciebie skrzynię i podłączymy ją do zestawu wspomagania. W ten sposób będziesz mógł oddychać podczas zmiany skafandrów.

–To wydaje się bardzo żako... sko... skomplikowane.

–Słuchaj, rób, co mówię, a...

–Nic mi nie będzie, człowieku, tylko daj mi odpocząć...

Złapałem go za rękę i zaprowadziłem nad jezioro. Chwiał się na nogach. Docchwycił go za drugie ramię i razem nie daliśmy mu upaść.

–Kapralu Ho, tu kapral Mandella.

Ho obsługiwała zestaw wspomagania.

–Odczep się, Mandella, jestem zajęta.

–Będziesz jeszcze bardziej.

Pospiesznie wyjaśniłem jej, o co chodzi. Podczas gdy jej

ludzie szybko przygotowywali zestaw wspomagania – potrzebowaliśmy tylko węża tlenowego i grzejnika – kazałem moim ludziom przynieść sześć płyt permoplastowych, żeby wybudować osłonę wokół Singera i zapasowego skafandra. Konstrukcja wyglądała jak duża trumna – szeroka i wysoka na metr, a długa na sześć metrów.

Postawiliśmy zapasowy kombinezon na płycie, która miała być dnem tej trumny.

–Dobra, Singer, wchodź.

Brak odpowiedzi.

–Singer, wchodź.

Milczenie.

–Singer!

Stał nieruchomo. Jones sprawdził odczyt.

–Człowieku, on stracił przytomność.

Myśli galopowały mi po głowie. W pudle było dość miejsca na drugą osobę.

–Pomóż mi.

Wziąłem Singera za rękę, a Jones chwycił go za nogi i ostrożnie położyliśmy go przy pustym skafandrze.

Potem sam ułożyłem się obok.

–Dobra, zamykajcie.

–Słuchaj, Mandella, jeśli ktoś ma to zrobić, to na pewno ja.

–Pieprz się, doktorze. Mój człowiek, moja robota.

To nie brzmiało jak należy. William Mandella, mały bohater.

Przy krawędzi pudła postawili zestaw wspomagania – miał dwa otwory, ssania i nadmuchu – po czym promieniami laserów przyspawali go do dolnej płyty. Na Ziemi po prostu użylibyśmy kleju, ale tutaj jedynym płynem był hel, mający wiele interesujących właściwości, ale na pewno nie klejący niczego.

Po około dziesięciu minutach byliśmy zamknięci w pudle.

Wyczuwałem basowy pomruk zestawu. Włączyłem oświetlenie skafandra – po raz pierwszy od czasu lądowania po ciemnej stronie Charona – i przed oczami zamigotały mi purpurowe plamy.

–Mandella, tu Ho. Zostań w skafandrze co najmniej dwie minuty. Tłoczmy gorące powietrze, ale idzie nam powoli.

Przez chwilę czekałem, aż czerwone plamki znikną.

–W porządku, nadal jest zimno, ale może ci się udać.

Rozpiąłem skafander. Nie otworzył się do końca, ale powinienem wyjść z niego bez trudu. Nadal był tak zimny, że wychodząc zeń, straciłem trochę skóry z palców i tyłka.

Musiałem przeczołgać się nogami do przodu, żeby dotrzeć do Singera. W miarę jak odsuwałem się od mojego skafandra, było coraz ciemniej. Kiedy rozpiąłem kombinezon Singera, buchnął na mnie gorący smród. W słabym świetle twarz nieprzytomnego była usiana ciemnoczerwonymi plamami. Oddech miał płytki i czułem, jak łomocze mu serce.

Najpierw odpiąłem rurki drenów – nieprzyjemne zajęcie – a potem biosensory; następnie zacząłem wyciągać jego ręce z rękawów.

Samemu robi się to bardzo łatwo. Wystarczy obrócić się, przekręcić i ramię wychodzi. Zrobić to komuś nie jest tak łatwo. Musiałem wykręcić mu rękę, potem sięgnąć pod spód i ściągnąć rękaw – a trzeba siły, żeby poruszyć skafander z zewnątrz.

Kiedy ściągnąłem jeden rękaw, reszta poszła łatwo; po prostu poczołgałem się, opierając stopy o ramiona pancerza, i pociągnąłem Singera za sobą. Wyślizgnął się ze skafandra jak ostryga ze skorupy.

Otworzyłem zapasowy kombinezon i po dłuższym popychaniu i szarpaniu udało mi się wepchnąć do środka nogi Singera. Podłączyłem biosensory i przedni dren. Drugi będzie musiał wepchnąć sobie sam; to zbyt skomplikowane. Po raz n-ty dziękowałem losowi za to, że nie urodziłem się kobietą; one musiały mieć z przodu dwie takie cholerne rurki zamiast jednej.

Nie wkładałem mu rąk do rękawów. Skafander i tak nie nadawał się do pracy; układy wspomagania wymagają indywidualnego dostrojenia.

Zamrugnął oczami.

–Man... delia... Gdzie... kurwa...

Wyjaśniłem mu powoli i chyba częściowo zrozumiał.

–Teraz zamknę twój skafander i wejdę do mojego. Każę ludziom przeciąć ściankę i wyciągnąć cię. Kapujesz?

Kiwnął głową. Dziwny widok – kiedy skiniesz głową albo wzruszysz ramionami w skafandrze, ten gest nie ma swego zwy-

kłego znaczenia.

Wlaziłem w mój kombinezon, podłączyłem wszystko i włączyłem ogólne pasmo.

–Doktorze, myślę, że nic mu nie będzie. Wyciągnijcie nas stąd.

–Zaraz.

To głos Ho. Buczenie zestawu przeszło w szcęk, potem w pomruk. Wyłączali go, żeby zapobiec eksplozji.

Jeden brzeg pudła zrobił się czerwony, potem biały, aż wreszcie szkarłatny promień wpadł do środka, o stopę od mojej głowy.

Cofnąłem się najdalej, jak mogłem. Promień prześlizgnął się po spawie i wokół trzech naroży, wracając do miejsca startu. Koniec skrzyni powoli odpadł, ciągnąc włókna stygnącego plastiku.

–Poczekaj, aż zastygnie, Mandella.

–Sanchez, nie jestem idiotą.

–No, już.

Ktoś rzucił mi linę. Tak będzie łatwiej, niż gdybym miał go sam wywlekać. Przeciągnąłem mu pętlę pod pachami i zawiązałem na plecach. Potem wygramoliłem się, żeby im pomóc, zupełnie niepotrzebnie – i tak z tuzin ludzi ciągnęło linę.

Singer był cały i zdrowy, a nawet usiadł, kiedy dr Jones sprawdzał odczyt. Ludzie zadawali mi pytania i gratulowali, gdy nagle Ho powiedziała: „Patrzcie!” i wskazała przed siebie. To był czarny statek, nadlatujący z dużą prędkością. Zdażyłem

pomyśleć tylko, że to nie w porządku, że nie powinni nas atakować wcześniej jak za kilka dni, a w następnej chwili statek był tuż nad nami.

9. Wszyscy instynktownie padliśmy na ziemię, ale statek nie atakował. Błysnął dyszami hamowania i opadł, lądując na wspornikach. Potem obrócił się i znieruchomiał opodal miejsca budowy. Wszyscy zorientowali się w sytuacji i stali z głupimi minami, kiedy z wjazdu wyszły dwie postacie w skafandrach. Znajomy głos zatrzeszczał na ogólnym paśmie.

–Wszyscy widzieliście nas i nikt nie otworzył ognia z lasera. To i tak nic by nie dało, ale przynajmniej wykazałoby bojowego ducha. Macie tydzień lub mniej, zanim nastąpi prawdziwy atak, a ponieważ będziemy tu z sierżantem, nalegam, żebyście okazali większą chęć do życia. Sierżant Potter!

–Jestem, sir.

–Wyznaczcie dwunastu żołnierzy do rozładunku. Przywieźliśmy setkę małych rakiet, które posłużą wam do ćwiczeń w strzelaniu, żebyście mieli choć cień szansy, kiedy pojawi się prawdziwy cel. Teraz naprzód. Mamy tylko pół godziny, zanim statek wróci do Miami.

Sprawdziłem. W rzeczywistości było to czterdzieści minut. Obecność kapitana i sierżanta nie robiła większej różnicy. Nadal byliśmy zdani na siebie; oni tylko obserwowali. Kiedy już położyliśmy podłogę, ukończenie bunkra zajęło nam zaledwie jeden dzień. Był szarą, podłużną bryłą, z pęcherzem śluzy i czterema oknami. Na wierzchołku zamontowano gigawatowy laser na obrotowej podstawie. Jego operator – trudno nazwać go działomistrzem – siedział w fotelu, trzymając w obu rękach dźwignie. Laser nie strzeli, dopóki trzyma choć jedną z nich. Jeśli je puści, automatycznie wyceluje w każdy poruszający się obiekt i otworzy ogień. Wczesne wykrywanie i celowanie zapewniała wysoka na kilometr antena zamontowana obok bunkra. Tylko to urządzenie mogło ewentualnie zadziałać wobec tak bliskiej linii horyzontu i zawodności ludzkich zmysłów. Nie można było użyć w pełni zautomatyzowanego systemu obronnego, gdyż – przynajmniej w teorii – mogły nadlecieć również nasze statki.

Komputerowy system celowniczy umiał wybrać jeden cel z dwunastu pojawiających się jednocześnie – przy czym strzelał do najbliższego. Wszystkie dwanaście mógł zniszczyć w powietrzu w ciągu pół sekundy.

Instalacja była dość skutecznie chroniona przed nieprzyjacielskim ogniem grubą warstwą refleksyjną, pokrywającą wszystko oprócz operatora. Jednak laser uruchamiał się w razie jego śmierci. Jeden człowiek na dachu strzegł osiemdziesięciu w środku. Wojsko umie robić takie kalkulacje.

Kiedy skończyliśmy bunkier, połowa oddziału przebywała stale wewnątrz – czując się jak żywe cele – na zmianę pilnując lasera, podczas gdy pozostali ćwiczyli dalej.

Około cztery kliki od bazy było wielkie „jezioro” zamrożonego wodoru; jedno z najważniejszych ćwiczeń polegało na omijaniu tego zdradliwego miejsca.

To nie było zbyt trudne. Nie można było na tym ustać, więc kładłeś się na brzuchu i ślizgałeś.

Jeśli ktoś mógł cię zepchnąć z brzegu, nie było problemu ze startem. W przeciwnym razie musiałeś przebierać rękami i nogami, szukając jakiegoś oparcia, aż zaczęłeś posuwać się małymi skokami. Kiedy już ruszyłeś, sunąłeś, aż skończył się lód. Mogłeś trochę sterować, trąc ręką lub nogą, jednak nie mogłeś zatrzymać się. Dlatego lepiej było nie rozpędzać się za bardzo i przybrać taką pozycję, żeby nie uderzyć w coś hełmem.

Ćwiczyliśmy to samo, co w bazie Miami: strzelanie, wysadzanie, atak. W nieregularnych odstępach czasu wypuszczaliśmy

rakiety w kierunku bunkra. W ten sposób, dziesięć do piętnastu razy dziennie, operatorzy lasera musieli zademonstrować umiejętność puszczenia dźwigni w momencie, gdy zabłyśły lampki systemu ostrzegania.

Jak wszyscy, ja również spędziłem cztery godziny na tym stanowisku. Byłem zdenerwowany do pierwszego „ataku”, kiedy przekonałem się, jak niewiele jest do roboty. Świeciło się, puściłem dźwignie, broń naprowadziła się na cel i kiedy rakietę wyskoczyła z horyzontu – bzyk! Ładny rozbłysk barw, stopiony metal pryskający w powietrzu. Poza tym nic ciekawego. Dlatego też nikt z nas nie przejmował się nadchodzącym „sprawdzianem”, sądząc, iż będzie to mniej więcej to samo. Baza Miami zaatakowała nas trzynastego dnia, dwoma rakietami, które jednocześnie wyskoczyły z przeciwnych stron, lecąc z prędkością około czterdziestu kilometrów na sekundę. Laser bez trudu zniszczył pierwszą, ale druga doleciała na osiem klików od bunkra, zanim została trafiona.

Wracaliśmy z ćwiczeń i byliśmy jeden klik od bunkra. Nie zauważyłbym, co zaszło, gdybym w momencie ataku nie patrzył na bunkier.

Grad płonących resztek drugiej rakiety poleciał w kierunku bunkra. Jedenaście odłamków trafiło, powodując – co później odtworzyliśmy – następujące skutki:

Pierwszą ofiarą w bunkrze była Maejima, tak kochana Maejima, która zginęła na miejscu, trafiona w plecy i w głowę. W wyniku dekompresji zestaw utrzymujący ciśnienie włączył pełną moc. Friedman stał przed wylotem powietrza i został tak mocno rzucony o przeciwległą ścianę, że stracił przytomność; udusił się, zanim inni wepchnęli go do skafandra.

Wszyscy pozostali zdołali przedrzeć się przez huraganowy podmuch i wejść do skafandrów. Jednak kombinezon Garcii został przedziurawiony, co nie wyszło właścicielowi na dobre. Zanim dotarliśmy na miejsce, wyłączyli już układ napowietrzania i zaspawali dziury w ścianach. Jeden żołnierz usiłował zeskrobać ze ścian to coś, co było kiedyś Maejima. Słyszałem, jak szlocha i wymiotuje. Garcie i Friedmana już wyniesiono na zewnątrz. Potter złożyła kapitanowi raport o uszkodzeniach. Sierżant Cortez odprowadził płaczącego żołnierza na bok i sam zaczął zbierać resztki Maejimy. Nie chciał niczyjej pomocy i nikt mu jej nie proponował.

10. Po ostatnim sprawdzianie bezceremonialnie załadowano nas na statek „Nadzieja Ziemi”, ten sam, na jakim przylecieliśmy na Charona, i z prędkością nieco większą od 1 g ruszy-

liśmy na Stargate.

Podróż dłużyła się niemiłosiernie, prawie sześć miesięcy czasu pokładowego, jednak nie była aż tak nudna jak lot na Charona. Kapitan Stott nakazał codzienne zajęcia teoretyczne połączone z tak intensywną zaprawą fizyczną, że wszyscy byliśmy wykończeni.

Stargate I była podobna do ciemnej strony Charona, tylko gorsza. Tamtejsza baza była mniejsza od Miami – zaledwie trochę większa od tej, którą zbudowaliśmy tam podczas ćwiczeń – a musieliśmy w niej spędzić tydzień, pomagając przy rozbudowie. Załoga była uszczęśliwiona naszym przybyciem, szczególnie jedyne dwie kobiety, które wyglądały na trochę zmęczone.

Wszyscy stłoczyliśmy się w małej jadalni, gdzie dowodzący Stargate I major Williamson przekazał nam niepokojące wieści.

–Ulokujcie się wygodnie. Zejdźcie ze stołów, jest miejsce na podłodze. Mam pewne pojęcie o tym, przez co przeszliście, trenując na Charonie. Nie powiem, że to było daremne. Jednak tam, dokąd polecicie, będzie zupełnie inaczej. Ciepłej.

Urwał, pozwalając nam to przetrwać. Aleph Woźnicy, pierwszy odkryty kolapsar, krąży po dwudziestosiedmioletniej orbicie wokół zwykłej gwiazdy Epsilon Woźnicy. Nieprzyjaciel ma bazę operacyjną nie na planecie przejścia, lecz na jednej z planet Epsilon. Niewiele wiemy o tej planecie, tylko tyle, że okrąża Epsilon co 745 dni, ma trzy czwarte wielkości Ziemi i albedo około 0,8, co oznacza, iż zapewne otaczają ją chmury. Nie możemy podać jej dokładnej temperatury, ale sądząc po odległości od Epsilon, będzie tam zdecydowanie cieplej niż na Ziemi. Oczywiście nie wiemy, czy będziecie działać... walczyć po jasnej czy ciemnej stronie

planety, na równiku czy na biegunie. Jest mało

prawdopodobne, żeby atmosfera nadawała się do oddychania – w każdym razie i tak pozostaniecie w skafandrach. Teraz wiecie dokładnie tyle samo, co ja. Są jakieś pytania?

–Sir – zaciągnął po teksańsku Stein – wiemy już, dokąd lecimy... a czy ktoś wie, co mamy tam robić?

Williamson wzruszył ramionami.

–To zależy od waszego kapitana i od waszego sierżanta, a także od kapitana statku i komputera pokładowego. Po prostu nie mamy dość danych, żeby wyznaczyć wam jakieś zadania.

Może to być długa i krwawa bitwa; a może spacer i zbieranie resztek. Może Taurańczycy zechcą zaproponować rokowania pokojowe. – Przy tych słowach Cortez prychnął. – W takim

wypadku będziecie środkiem nacisku, elementem przetargu. Zmierzył Corteza spokojnym spojrzeniem.

–Tego nikt nie wie na pewno.

Tej nocy urządziliśmy wspaniałą orgię, co jednak przypominało próbę spania na hałaśliwym przyjęciu. Jedynym pomieszczeniem, w którym mogliśmy zmieścić się wszyscy, była jadalnia; tu i ówdzie porozwieszano prześcieradła, tworząc zaciszne kącki, a potem osiemnastu wyposzczonych seksualnie mężczyzn ze Stargate rzuciło się na nasze kobiety, chętne i swawolne zgodnie z wojskowymi obyczajami (i prawem), jednak niczego nie pragnące tak bardzo, jak tego, aby zasnąć na stałym gruncie. Tych osiemnastu działało tak, jakby czuli się zobowiązani wypróbować wszelkie możliwe pozycje. Dali naprawdę imponujący pokaz (wyłącznie pod względem ilościowym). Ci z nas, którym chciało się liczyć, dopingowali co bardziej utalentowanych członków spektaklu. Myślę, że „członek” to w tym wypadku odpowiednie określenie.

Następnego ranka – i każdego kolejnego na Stargate I – zwlekliśmy się z łóżek i wciągnęliśmy skafandry, żeby wyjść na zewnątrz i zająć się „nowym skrzydłem”. W końcu Stargate miało być taktycznym i logistycznym punktem dowodzenia, z tysiącami stałej załogi, strzeżonym przez pół tuzina ciężkich krążowników klasy „Nadziei”. Kiedy zaczęliśmy, były tam dwa baraki i dwadzieścia osób obsługi; kiedy odlatywaliśmy, zostawialiśmy cztery baraki i dwudziestoosobowy personel. W porównaniu do ciemnej strony Charona praca tutaj była bajecznie łatwa, gdyż mieliśmy mnóstwo światła i po każdej ośmiogodzinnej zmianie spędzaliśmy szesnaście godzin w bazie. I żadnych rakiet atakujących w ramach końcowego egzaminu.

Kiedy znów weszliśmy na pokład „Nadziei”, nikt nie cieszył się z tego, że odlatujemy (choć kilka bardziej popularnych kobiet stwierdziło, że przyda im się trochę odpoczynku). Misja na Stargate była ostatnim łatwym, bezpiecznym zadaniem przed zbrojnym startem z Taurańczykami. I -jak to pierwszego dnia oznajmił Williamson – nikt nie mógł przewidzieć, jak ono się skończy.

Większość z nas nie pałała również entuzjazmem do skoku kolapsarowego. Zapewniano nas, że nic nie poczujemy – tylko wrażenie swobodnego spadania.

Nie byłem tego pewny. Jako student fizyki miałem wykłady z teorii względności i ciężenia. Mieliśmy wtedy jedynie ogólne dane – Stargate odkryto, kiedy kończyłem magisterium -jednak matematyczny model nie budził wątpliwości.

Kolapsar Stargate był idealną kulą o promieniu około trzech kilometrów. Trwał w stanie wiecznego kolapsu grawitacyjnego, co powinno oznaczać, że jego powierzchnia opadała ku centrum z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Teoria względności

utrzymywała ją na miejscu, a przynajmniej dawała takie złudzenie... w sposób, w jaki wszelka rzeczywistość staje się iluzoryczna i zależna, gdy ktoś zajmuje się teorią względności. Albo buddyżmem. Albo kiedy powołają go do wojska.

W każdym razie, istnieje taki punkt czasoprzestrzeni, w którym jeden koniec naszego statku znajduje się tuż przy powierzchni kolapsara, a drugi kilometr dalej (według naszego punktu odniesienia). W każdym normalnym Wszechświecie powinno to wywołać potworne naprężenia i rozerwać statek, zmieniając nas w kolejny milion kilogramów antimaterii na teoretycznej powierzchni, do końca świata pędzący na oślep w nicłość lub w jednej bilionowej sekundzie spadający do jądra kolapsara. Obstawiasz

i wybierasz swój punkt widzenia.

Jednak mieli rację. Wystartowaliśmy ze Stargate I, dokonaliśmy kilku korekt kursu, a potem po prostu spadaliśmy przez prawie godzinę.

Później zadzwonił dzwonek i zapadliśmy w fotele, wciśnięci przez 2 g deceleracji. Byliśmy na terytorium wroga.

11. Już prawie od dwóch dni wytracaliśmy prędkość, kiedy zaczęła się bitwa. Wyciągnięci na kojach i wymęczeni stałym przeciążeniem 2 g, poczuliśmy tylko dwa łagodne wstrząsy odpalanych rakiet. Jakies osiem godzin później zatrzeszczały głośniki.

–Uwaga, cała załoga. Mówi kapitan.

Ouinsana, pilot, był tylko porucznikiem, jednak mógł tytułować się kapitanem na pokładzie okrętu, gdzie przewyższał rangą każdego z nas, nawet kapitana Stotta.

–Wieprze w ładowni też mają słuchać. Nieprzyjaciel usiłuje przechwycić nas od 179 godzin czasu pokładowego. W chwili nawiązania kontaktu wróg poruszał się z prędkością nieznacznie przekraczającą połowę świetlnej Alepha i znajdował się zaledwie trzydzieści AU od „Nadziei Ziemi”. W stosunku do nas miał prędkość 0,47 c, tak więc padlibyśmy ofiarami zderzenia...

Staranowani!

–...za niecałe dziesięć godzin. O 7.19 czasu pokładowego wystrzelono rakiety i zniszczono wroga o 15.40 – obie bomby tachionowe eksplodowały w odległości tysiąca kilometrów od nieprzyjacielskiej jednostki.

Oba pociski należały do tego typu rakiet, których system napędowy sam w sobie był kontrolowaną bombą tachionową. Przyspieszały ze stałym przeciążeniem 100 g i w chwili, gdy wybuchły pod wpływem bliskości masy nieprzyjacielskiego statku, pędziły z relatywistyczną prędkością.

–Nie oczekujemy następnych ataków wroga. Za pięć godzin nasza prędkość względem Alepha wyniesie zero; wtedy ruszymy w powrotną drogę. Podróż zajmie nam dwadzieścia siedem dni.

Chóralne jęki i stłumione przekleństwa. Oczywiście wszyscy o tym wiedzieli, ale nie chcieli, żeby im o tym przypominać.

I tak po kolejnym miesiącu wytężonego aerobiku i musztry przy stałym przeciążeniu 2 g po raz pierwszy ujrzeliśmy planetę, którą mieliśmy zaatakować. Najeżdżcy z kosmosu to my, sir.

Była oślepiająco białym półksiężycem, czekającym na nas dwie AU od Epsilon. Kapitan z odległości 50 AU zlokalizował położenie wrogiej bazy i podeszliśmy szerokim łukiem, wykorzystując planetę jako osłonę. To wcale nie oznaczało, że podkradaliśmy się do nich – wprost przeciwnie; odparliśmy już trzy słabe ataki – jednak w ten sposób zajmowaliśmy silniejszą pozycję.

Oczywiście do czasu lądowania na powierzchni. Wtedy bezpieczny będzie tylko statek i jego załoga Gwiezdnej Floty.

Ponieważ planeta obracała się bardzo wolno – raz na dziesięć i pół dnia – „stacjonarna” orbita statku miała promień równy 150 000 klików. Załoga statku, oddzielona od wroga 6 000 mil skały i 90 000 mil przestrzeni, czuła się całkiem bezpieczna.

Jednak oznaczało to również j ednosekundowe opóźnienie komunikacji między oddziałem desantowym a komputerem pokładowym statku. Zanim neutrinowy impuls przebiegnie tam i z powrotem, możesz już być martwy.

Ogólnikowe rozkazy nakazywały zaatakować i opanować bazę wroga przy minimalnych zniszczeniach wyposażenia. Mieliśmy wziąć przynajmniej jednego jeńca. W żadnym wypadku nie mogliśmy wpaść żywi w ich ręce. Decyzja w tej sprawie nie należała do nas; jeden neutrinowy impuls bojowego komputera i ta odrobina plutonu w twoim reaktorze przereaguje z całą swoją 0,01% wydajnością, zmieniając cię w obłok bardzo gorącej plazmy.

Upchali nas w sześciu stateczkach zwiadowczych – po jednym dwunastoosobowym plutonie w każdym – i z przyspieszeniem 8 g

oderwaliśmy się od „Nadziei Ziemi”. Każdy stateczek miał podążać własnym, starannie opracowanym kursem do rejonu zgrupowania, 108 klików od bazy. Jednocześnie odpalono czternaście samosterujących pocisków dla zmylenia systemów przeciwrakietowych nieprzyjaciela.

Lądowanie wykonano niemal idealnie. Jeden stateczek doznał drobnych uszkodzeń, kiedy bliska eksplozja częściowo zdarła mu osłonę termiczną na burcie, jednak nadal mógł wystartować i wrócić, ograniczając szybkość przy przejściu przez atmosferę.

Zygzakując, dotarliśmy jako pierwszy statek na miejsce zbiórki. Był tylko jeden problem. Punkt zborny wyznaczono cztery kilometry pod wodą.

Niemal słyszałem, jak 90 000 mil wyżej kręcą się trybiki maszyny przyswajającej te nowe dane. Postępowaliśmy jak przy lądowaniu na stałym gruncie: rakiety hamujące, opadanie, stateczniki, uderzenie o wodę, podskok, ponowne uderzenie o wodę, podskok, uderzenie o wodę, zejście pod powierzchnię.

Zgodnie z instrukcjami powinniśmy opaść na dno – w końcu stateczek miał opływowe kształty, a woda to po prostu skroplony gaz – jednak kadłub nie był dostatecznie mocny, żeby wytrzymać nacisk czterokilometrowego słupa wody. Sierżant Cortez leciał w naszym stateczku.

–Sierżancie, niech pan zrobi coś z tym komputerem! Zaraz...

–Och, zamknij się, Mandella! Ufaj opatrności.

W wydaniu Corteza „opatrność” była zdecydowanie ż małej litery.

Usłyszeliśmy głośny bulgot, potem następny i lekki nacisk na plecy uświadomił nam, że statek idzie w górę.

–Zbiorniki powietrza?

Cortez nie raczył odpowiedzieć albo nie wiedział.

Rzeczywiście. Wznieśliśmy się na dziesięć czy piętnaście metrów pod powierzchnię i stanęliśmy, zawieszeni pod wodą. Przez luk widziałem tafłę wody, lśniącajak lustro z kutego srebra. Zastanawiałem się, jak to jest być rybą i mieć dach nad całym swoim światem.

Patrzyłem, jak drugi statek plasnął w wodę. Wzbił wielki gejzer piany, po czym zapadał w toń – lekko przechylony na rufę –aż napełniły się worki powietrzne pod każdym deltowatym skrzydłem. Wtedy uniósł się trochę i stanął na tej samej głębokości, co my.

–Mówi kapitan Stott. Słuchajcie uważnie. Jakies dwadzieścia osiem klików od waszej obecnej pozycji znajduje się plaża. Skierujecie tam wasze statki i stamtąd przeprowadzicie atak na taurańskie pozycje.

To już lepiej; mieliśmy przejść tylko osiemdziesiąt klików.

Opróżniliśmy zbiorniki powietrza, wyskoczyliśmy na powierzchnię i w równym szyku poleciliśmy ku plaży. Trwało to kilka minut. Kiedy statek wylądował ze szczękiem, usłyszałem pomruk pomp wyrównujących ciśnienie w kabinie z ciśnieniem na zewnątrz. Zanim ich dźwięk ucichł, odsunęły się drzwi wлізу przy mojej koi. Przetoczyłem się po skrzydle i zeskoczyłem na ziemię. Dziesięć sekund na znalezienie osłony – przebiegłem po sypkim

żwirze do linii „drzew” – kępy poskręcanych, wysokich, niebieskawozielonych zarośli. Dałem nura w ten gąszcz i odwróciłem się, żeby popatrzeć na odlot stateczków. Pociski samosterujące powoli uniosły się na wysokość stu metrów, a potem z przenikliwym świstem rozleciały się na wszystkie strony świata. Prawdziwe stateczki powoli zapadły z powrotem w wodę. Może to dobry pomysł.

Ten świat nie był szczególnie atrakcyjny, ale na pewno znośniejszy od kriogenicznego koszmaru, na jaki nas przygotowywano. Jednocześnie ciemnosrebrzysta poświata nieba stapała się tak dokładnie z mgłą nad oceanem, że nie sposób było powiedzieć, gdzie kończyła się woda, a zaczynało powietrze. Małe fale lizwały zwirowaty brzeg, o wiele za wolno i wdzięcznie w tej jednej trzeciej normalnego ziemskiego ciężenia. Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów słyszałem grzechot miliardów toczących się kamieni.

Temperatura powietrza wynosiła 79 stopni Celsjusza; nie dość gorąco, aby morze wrzało, mimo iż ciśnienie było tu stosunkowo niskie w porównaniu do ziemskiego. Smugi pary dryfowały z wiatrem wzdłuż linii zetknięcia wody z lądem. Zastanawiałem się, jakie szansę przeżycia ma tu człowiek bez skafandra. Co zabije go najpierw: temperatura czy niski poziom tlenu (ciśnienie równe jednej ósmej normalnego ciśnienia na Ziemi)? A może uprzedzi je jakiś śmiercionośny organizm...?

–Mówi Cortez. Wszyscy wysiadają i zbierają się wokół mnie.

Stał na plaży trochę na lewo ode mnie, machając ręką nad głową. Podeszedłem do niego przez chaszczę. Były kruche, łamliwe, paradoksalnie wyschnięte w tej parnej atmosferze. Nie mogły zapewnić dostatecznej osłony.

–Skierujemy się 0,05 radiana na północny wschód. Pierwszy pluton idzie przodem. Drugi i trzeci za nim, na prawym i lewym skrzydle. Siódmy – pluton dowodzenia – idzie w środku, dwadzieścia metrów za drugim i trzecim. Piąty i szósty zamykają pochód ciasnym półkolem. Wszystko jasne? – Pewnie, ten szyk moglibyśmy sformować nawet we śnie. – Dobra, ruszamy.

Byłem w plutonie siódmym – w „grupie dowodzenia”. Kapitan Stott przydzielił mnie tam nie po to, żebym wydawał jakieś rozkazy, lecz ze względu na mój dyplom z fizyki.

Grupa dowodzenia teoretycznie była najbezpieczniejszym miejscem, chronionym przez sześć plutonów; przydzielano do niej ludzi, którzy ze względów taktycznych powinni przeżyć trochę dłużej od innych. Cortez miał wydawać rozkazy. Sanchez miał

naprawiać skafandry. Był tu starszy lekarz, dr Wilson (jedyne, który naprawdę miał dyplom lekarza medycyny), i Theodopolis, radioelektronik zapewniający nam łączność z kapitanem, który wolał pozostać na orbicie.

Pozostałych przydzielono do grupy dowodzenia ze względu na jakieś specjalne przeszkolenia albo zdolności, jakich normalnie nie uznano by za „taktyczne”. W obliczu nieznanego wroga trudno było powiedzieć, co może okazać się ważne. Ja znalazłem się tam jako najlepszy fizyk w oddziale. Rogers jako biolog. Tatę miał być chemikiem. Za każdym razem uzyskiwał największą ilość punktów w teście Rhine'a na sprawność percepcji. Bohrs był poliglotą władającym płynnie i idiomatycznie dwudziestoma językami. Petrova włączono dlatego, że badania nie wykazały w jego psychice najmniejszego śladu ksenofobii. Keating był świetnym akrobatą. Debby Hollister – Szczęściara Hollister – wykazywała niesamowite umiejętności robienia pieniędzy, a także stale zdobywała wysoką ilość punktów w teście Rhine'a.

12. Wyruszając, nastawiliśmy skafandry na maskujące kolory „dżungli”. Jednak to, co w tym anemicznym tropiku uchodziło za dżunglę, było zbyt rzadkie; wyglądaliśmy jak banda podejrzanych ariekinów włóczących się po lesie. Cortez kazał nam zmienić barwę na czarną, co było równie złe, gdyż promienie Epsilon padały prostopadle do ziemi i wokół nie było żadnych cieni oprócz nas. W końcu wybraliśmy kamuflaż pustynny. Okolica powoli zmieniała się, w miarę jak podążaliśmy na północ, coraz dalej od morza. Cierniste łodygi – sądzę, że nazwalibyście je drzewami – stały się rzadsze, ale grubsze i mniej łamliwe; u ich podstawy rósł gęszcz pędów w tym samym sinzielonym odcieniu, rozpościerających się stożkowato w promieniu dziesięciu metrów. W pobliżu wierzchołka każdego drzewa wyrastał delikatny zielony kwiat wielkości ludzkiej głowy. Trawa pojawiła się jakieś pięć kilometrów od morza. Zdawała się respektować „prawo własności” drzew, pozostawiając wokół każdego stożka szeroki pas nagiej ziemi. Na skrajach takich polanek rosła jako skąpa niebieskozielona szczecina, a im dalej od drzewa, tym stawała się gęściej sza i wyższa, aż w niektórych miejscach, gdzie drzewa stały bardzo daleko od siebie, sięgała nam po ramiona. Jej źdźbła były jaśniejsze i zieleńsze od drzew i pnączy. Zmieniliśmy barwę naszych skafandrów na jaskrawozieloną, jakiej używaliśmy na Charonie, aby maksymalnie odróżnić się od otoczenia. Tutaj, w najgęściejszej trawie, byliśmy prawie niewidoczni.

Każdego dnia pokonywaliśmy dwadzieścia klików, zadowoleni po dwóch

miesiącach spędzonych przy ciąży 2 g. Przez

półtora dnia jedynym zauważonym przez nas przedstawicielem fauny był rodzaj czarnego robaka wielkości palca, o setkach nitkowatych nóżek wyglądających jak szczoteczka. Rogers stwierdziła, że z pewnością są tu jakieś większe zwierzęta, inaczej drzewa nie miałyby kolców. Tak więc podwoiliśmy czujność, oczekując kłopotów ze strony Taurańczyków. Jak również jakichś nie zidentyfikowanych „dużych stworzeń”.

Drugi pluton szedł przodem pod dowództwem Potter, której przypadło najgorsze zadanie, jako że jej oddział miał największe szansę napotkania przeciwnika.

–Sierżancie, tu Potter – usłyszeliśmy. – Zauważono ruch.

–No to padnijcie na ziemię!

–Już to zrobiliśmy. Nie sądzę, żeby nas zauważyli.

–Pierwszy pluton, podejść na prawo od szpicy. Kryć się.

Czwarty zachodzi z lewego skrzydła. Zawiadomcie mnie, kiedy zajmiecie pozycję. Szósty pluton zostaje i pilnuje tyłów. Piąty i trzeci dołączy do grupy dowodzenia.

Dwa tuziny żołnierzy wyszły z trawy i przyłączyły się do nas, Cortez musiał dostać wiadomości od czwartego plutonu.

–Dobra. Co z wami, pierwszy? W porządku, doskonale. Ilu ich jest?

–Zauważono ośmiu – to głos Potter.

–Dobrze. Kiedy dam znak, otworzyć ogień. Strzelać tak, żeby zabić.

–Sierżancie... to tylko zwierzęta.

–Potter, skoro przez cały czas wiedziałaś, jak wygląda Taurańczyk, powinnaś nam powiedzieć. Strzelać tak, żeby zabić.

–Przecież potrzebujemy...

–Potrzebujemy jeńca, ale nie potrzebujemy go taszczyć przez czterdzieści klików do jego bazy i pilnować podczas walki. Jasne?

–Tak jest, sierżancie.

–Siódmy, wy mózgowcy i dziwacy, podejdziecie i będziecie obserwować. Piąty i trzeci ubezpieczają.

Poczołgaliśmy się przez wysoką na metr trawę do miejsca, gdzie leżeli żołnierze drugiego plutonu.

–Nic nie widzę – przyznał Cortez.

–Przed nami, trochę na lewo. Ciemnozielone.

Były tylko trochę ciemniejsze od trawy. Jednak dostrzegłszy jednego, widziało się wszystkie, powoli idące jakieś trzydzieści metrów przed nami.

–Ognia!

Cortez strzelił pierwszy; potem trysnęło dwanaście szkarłatnych promieni i trawa poczerniała, zniknęła, a stworzenia wiły się w agonii i ginęły, daremnie usiłując uciec.

–Wstrzymać ogień, wstrzymać! – Cortez wstał. – Chcemy, żeby coś z nich zostało. Drugi pluton – za mną!

Podszedł do dymiących trupów, trzymając wyciągnięty palec z laserem, jakby przyciągany niezrozumiałą siłą do pobojuwiska. Czuję ściskanie w gardle i wiedziałem, że wszystkie te nudne taśmy instruktażowe, wszystkie śmiertelne wypadki podczas ćwiczeń nie przygotowały mnie na taką rzeczywistość... że będę miał magiczną różdżkę, którą mogę skinąć na jakieś stworzenie i zmienić je w dymiący kawał na pół surowego mięsa; nie byłem żołnierzem, nie chciałem nim być i nigdy nie będę chciał...

–Dobra, siódmy, powstań.

Kiedy podchodziliśmy, jedno ze stworzeń poruszyło się, za ledwie drgnęło, a Cortez niemal niedbałym gestem przeszył je strzałem z lasera. Promień pozostawił głębokie na dłoń rozcięcie w tułowi stworzenia. Umarło, tak jak inne, nie wydając żadnego dźwięku.

Były prawie tak wysokie jak człowiek, ale mocniej zbudowane. Pokrywało je ciemnozielone, niemal czarne futro – zmienione w białe kędziory tam, gdzie trafił je laser. Wydawały się mieć trzy nogi i jedno ramię. Jedynym otworem w ich kudłatych głowach był otwór gębowy – mokra czarna dziura pełna płaskich, czarnych zębów. Były po prostu odrażające, jednak najgorsze były nie różnice, lecz podobieństwo do ludzi. Z rozciętych laserowym ogniem ciał wylewały się mlecznobiałe, lśniące, pocięte siatką żył kule i zwoje jelit, a ich krew była gęsta i ciemnoczerwona.

–Rogers, popatrz. To Taurańczycy czy nie?

Rogers klęknęła przy jednym z wypatroszonych ciał i otworzyła płaską plastikową skrzynkę pełną lśniących narzędzi chirurgicznych. Wyjęła skalpel.

–Może uda się to stwierdzić.

Doktor Wilson zaglądał jej przez ramię, gdy metodycznie rozcinała błonę pokrywającą kilka organów.

–Jest.

W dwóch palcach trzymała ciemną, włóknistą masę – przesadna ostrożność, zważywszy na pancerz skafandra.

–Co to takiego?

–Trawa, sierżancie. Jeśli Taurańczycy jedzą trawę i oddychają powietrzem, to na pewno znaleźli tu planetę bardzo podobną do rodzinnej. – Odrzuciła resztki. – To zwierzęta, sierżancie,

tylko pieprzone zwierzęta.

–No, nie wiem – rzekł doktor Wilson. – Tylko dlatego, że chodzą na czterech czy trzech łapach i jedzą trawę...

–Cóż, sprawdźmy mózg. – Znalazła jedno trafione w głowę i zeskrobała warstwę spalenizny z rany. – Spójrzcie na to. Zobaczyliśmy twardą kość. Rozgarnęła kłaki na głowie innego stworzenia.

–Gdzie, do licha, to ma narządy zmysłów? Nie ma oczu, uszu ani...

Wyprostowała się.

–Na tym pieprzonym łbie nie ma nic oprócz ust i czaszki grubej na dziesięć centymetrów. Która niczego, kurwa, nie osłania.

–Wzruszyłbym ramionami, gdybym mógł – powiedział lekarz. – To niczego nie dowodzi, mózg wcale nie musi wyglądać jak gąbczasty włoski orzech i nie musi znajdować się w głowie. Może ta czaszka to nie kość, tylko mózg, jakiś krystaliczny twór...

–Tak, jednak ten pieprzony żołądek jest na swoim miejscu, a jeżeli to nie są wnętrzności, to zjem swoją...

–Słuchajcie – przerwał Cortez – to bardzo interesujące, ale my chcemy tylko dowiedzieć się, czy ten stwór jest niebezpieczny, i ruszamy dalej; nie mamy...

–Nie są niebezpieczne-zaczęła Rogers.-One nie...

–Lekarza! Doktorze!

Ktoś z tyłu gwałtownie wymachiwał rękami. Wilson pobiegł tam, a reszta nim.

–Co się stało?

W biegu wyjął swój zestaw medyczny i odpiął zatrask.

–To Ho. Jest nieprzytomna.

Lekarz otworzył drzwiczki monitora biomedycznego w skafandrze Ho. Nie musiał długo sprawdzać,

–Nie żyje.

–Nie żyje? – dopadł go Cortez. – Co, do cholery...

–Chwileczkę. – Wilson wetknął wtyczkę do gniazda układu monitorującego i kręcił tarczami swojego zestawu. – Wszystkie dane biomedyczne są przechowywane przez dwadzieścia cztery godziny. Przejrzę ostatnie zapisy, powinienem coś... jest!

–Co?

–Cztery i pół minuty temu – pewnie wtedy, kiedy otworzyliście ogień – Jezu!

–No?

–Silny wylew. Nic... – mamrotał, patrząc na wskazania.

–Nic... żadnego ostrzeżenia, żadnych odstępstw od normy: ciśnienie podwyższone, tętno też, ale to normalne w tych okoli-

cznościach... nic... nie wskazuje...

Położył rękę na jej skafandrze i rozpiął go. Ładne orientalne rysy dziewczyny wykrzywił okropny grymas odsłaniający dziąsła. Spod zaciśniętych powiek sączył się lepki płyn, a z uszu wciąż płynęły strużki krwi. Wilson zamknął skafander.

–Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Tak jakby bomba eksplodowała jej w głowie.

–O kurwa! – powiedziała Rogers. – Ona była Rhine-pozytywna, prawda?

–Zgadza się – rzekł powoli Cortez. – W porządku, wszyscy

słuchajcie. Dowódcy plutonów, sprawdź, czy nikogo nie brakuje i czy nikt nie jest ranny. Czy pozostałym z siódmego nic się nie stało?

–Ja... Okropnie boli mnie głowa, sierżancie – powiedziała Szczęściara.

Czworo innych również miało bóle głowy. Jeden z nich potwierdził, że jest Rhine-pozytywny. Pozostali nie wiedzieli.

–Cortez, myślę, że to oczywiste – stwierdził Wilson. –

Powinniśmy obchodzić te... potwory z daleka, a szczególnie nie powinniśmy robić im krzywdy. Na pewno nie, skoro mamy jeszcze pięciu wrażliwych na to, co najwidoczniej zabiło Ho.

–Oczywiście, niech to szlag, nie musisz mi tego mówić.

Lepiej ruszajmy. Już powiadomiłem o wszystkim kapitana; on też uważa, że powinniśmy odejść stąd jak najdalej, zanim zatrzymamy się na nocleg. Z powrotem do szeregu i naprzód, w tym samym kierunku. Piąty pluton obejmie prowadzenie; drugi przejdzie na tył. Pozostali tak jak poprzednio.

–A co z Ho? – zapytała Szczęściara.

–Zajmą się nią. Ze statku.

Kiedy odeszliśmy pół klika, błysnęło i zagrzmiało. Tam, gdzie została Ho, uniosła się jaskrawo świecąca chmura w kształcie grzyba i zaraz zniknęła na tle szarego nieba.

13. Zatrzymaliśmy się na „noc” – w rzeczywistości słońce

miało zajść dopiero za siedemdziesiąt dwie godziny – na szczycie niewielkiego wzniesienia, około dziesięć klików od

miejsca, gdzie zabiliśmy obcych. Jednak nie oni byli obcy, mówiłem sobie w duchu – lecz my.

Dwa plutony otoczyły kręgiem pozostałych i wyczerpani zwaliliśmy się na ziemię. Wszystkich nas czekały cztery godziny snu i dwie godziny warty.

Potter podeszła i siadła obok mnie. Wybrałem jej częstotliwość.

–Cześć, Marygay.

–Och, Williamie -jej głos brzmiał ochryple i niepewnie.

–Boże, to takie okropne.

–Już po wszystkim.

–Zabiłam jednego, za pierwszym strzałem, trafiłam go prosto w... w...

Położyłem dłoń na jej kolanie. Plastik kliknął przy dotknięciu, więc szybko cofnąłem rękę; przed oczami przemknęły mi wizje pieszczących się, kopulujących maszyn.

–Nie zrobiłaś tego sama, Marygay; jeżeli już, to... winni jesteśmy wszyscy po trosze... jednak najbardziej Cór...

–Szeregowi, przestańcie kłapać dziobami i prześpijcie się trochę. Oboje za dwie godziny macie wartę.

–Tak jest, sierżancie.

Głos miała tak smutny i znużony, że nie mogłem tego znieść. Czulem, że gdybym tylko jej dotknął, mógłbym uwolnić ją od smutku, jak drut uziemiający odprowadza napięcie, ale każde z nas było uwięzione we własnym plastikowym świecie...

–Dobranoc, Williamie.

–Dobranoc.

Niemal niemożliwe jest podniecić się seksualnie w skafandrze, z tymi wszystkimi powpychanymi w ciebie rurkami i czujnikami, a jednak tak zareagował mój organizm na emocjonalną impotencję; może pamiętając przyjemniejsze noce z Marygay, może czując, że wśród tylu śmierci jego własna śmierć jest bliska i podrywając mechanizm prokreacji do ostatniej próby... co za cudowne myśli. Zasnąłem i śniłem, że jestem maszyną imitującą czynności życiowe, ze szczękiem i zgrzytaniem idącą przez świat, wśród ludzi zbyt uprzejmych, aby coś powiedzieć, ale chichoczących za moimi plecami, a człowieczek siedzący w mojej głowie, przekładający dźwignie, naciskający guziki i pilnujący wskaźników był kompletnym szaleńcem i szykował bolesne...

–Mandella, obudź się, do cholery, twoja kolej!

Powlokłem się na swoje miejsce na linii wart, aby wypatrywać nie wiadomo czego... jednak byłem tak zmęczony, że nie mogłem powstrzymać opadających powiek. W końcu włożyłem pod język tabletkę psychostymulanta, wiedząc, że później za to zapłacę.

Przez przeszło godzinę siedziałem tam, przeczesując wzrokiem sektor z lewej, z prawej, blisko i daleko, lecz sceneria wcale nie

zmieniała się – nawet najłżejszy podmuch nie poruszył trawą.

Nagle trawa rozchyliła się i stanęło przede mną jedno z trzynogich stworzeń. Uniosłem rękę, ale nie nacisnąłem spustu.

–Kontakt!

–Kontakt!

–Jezu Chry... Jeden jest po prawej!

–Nie strzelać! Nie strzelać, psiakrew!

–Kontakt.

–Kontakt.

Spojrzałem na prawo i lewo; jak daleko mogłem sięgnąć okiem, przed każdym wartownikiem stało jedno z tych ślepych i głuchych stworzeń.

Może narkotyk, który zażyłem, żeby nie zasnąć, uczynił mnie bardziej wrażliwym na to, co robiły. Ciarki chodziły mi po plecach, aw umyśle formowało się bezkształtne coś, uczucie, jakiego doznajesz, kiedy ktoś coś powie, a ty nie dosłyszysz, chcesz odpowiedzieć, ale nie masz już okazji poprosić o powtórzenie ostatnich słów.

Stworzenie przykucnęło, opierając się na przedniej nodze. Wielki zielony niedźwiedź bez przedniej łapy. Jego moc przenikała mój umysł jak pajęczyna, jak echo nocnych koszmarów, próbując porozumieć się, może usiłując mnie zniszczyć – nie wiem.

–W porządku, wszyscy wartownicy, cofnąć się, powoli. Nie róbcie żadnych gwałtownych ruchów. Czy kogoś boli głowa albo coś innego?

–Sierżancie, tu Hollister.

Szczęściara.

–Usiłują coś powiedzieć... Mogę prawie... Nie, to tylko...

Rozumiem tylko to, że one uważają... uważają, że jesteśmy...

hmm... zabawni. Nie boją się.

–Chcesz powiedzieć, że ten przed tobą nie jest...

–Nie, to uczucie płynie od nich wszystkich – wszystkie myślą tak samo. Nie pytaj mnie, skąd wiem, po prostu wiem.

–Może uważali za zabawne to, co zrobili Ho.

–Może. Nie czuję, żeby były groźne. Po prostu budzimy w nich ciekawość.

–Sierżancie, tu Bohrs.

–Taa?

–Taurańczycy są tu co najmniej od roku. Może nauczyli się komunikować z tymi... przerośniętymi pluszowymi misiami. One mogą nas szpiegować i przesyłać...

–Nie sądzę, żeby w takim przypadku pokazywały się nam

–powiedziała Szczęściara. – Najwyraźniej potrafią stać się niewidzialne, jeśli zechcą.

–A zresztą – dodał Cortez – jeśli nas szpiegują, to już zrobiły swoje. Nie uważam, aby podejmowanie jakichś działań przeciwko nim było rozsądne. Wiem, że wszyscy chcielibyście je pozabijać za to, co zrobiły Ho -ja też -jednak lepiej zachować ostrożność.

Nie chciałem ich pozabijać – nie chciałem ich w ogóle widzieć. Powoli cofałem się do obozu. Stworzenie nie okazywało chęci ścigania mnie. Może wiedziało, że jesteśmy otoczeni. Zrywało trawę i żuło ją.

–Dowódcy plutonów, zbudzić wszystkich i sprawdzić stan. Dajcie mi znać, czy ktoś został ranny. Powiedzcie ludziom, że za minutę wymarsz.

Nie wiem, czego oczekiwał Cortez, lecz one, oczywiście, ruszyły za nami. Nie otaczały nas kręgiem; po prostu bezustannie towarzyszyło nam dwadzieścia czy trzydzieści stworzeń. I nie były to wciąż te same osobniki. Co jakiś czas któryś oddalał się, a jego miejsce zajmował inny. Nie ulegało wątpliwości, że one nigdy się nie zmęczą.

Każdy z nas dostał tabletkę psychostymulanta. Bez niej nikt nie zdołałby maszerować przez godzinę. Kiedy przestawała działać, chętnie zażyłoby się drugą, jednak z prostych obliczeń wynikało, że lepiej tego nie robić: do bazy wroga pozostało jeszcze trzydzieści klików, co oznaczało co najmniej piętnaście godzin marszu. I chociaż dzięki tabletkom mogłeś zostać rzeński i zdrowy przez sto godzin, po zażyciu drugiej występowały zaburzenia oceny i percepcji, a

w ekstremalnych przypadkach występowały niesamowite halucynacje, tak że człowiek godzinami zastanawiał się, czy zjeść śniadanie.

Pozostająca pod wpływem środków stymulujących kompania energicznie maszerowała przez sześć godzin, w siódmej zaczęła zwalniać, aż po dziewięciu godzinach i dziewiętnastu klikach zatrzymała się na przymusowy postój. Misie przez cały czas nie traciły nas z oczu i – według Szczęściary – nie przestały „nadawać”. Cortez zarządził siedmiogodzinny odpoczynek, podczas którego każdy pluton przez godzinę będzie trzymał wartę wokół obozu. Jeszcze nigdy nie cieszyłem się tak z tego, że jestem w siódmym plutonie; przypadła nam ostatnia zmiana, więc mogliśmy spać przez sześć godzin bez przerwy.

W tej krótkiej chwili przed zaśnięciem przyszło mi do głowy, że kiedy następnym razem będę zamykał oczy, równie dobrze może to być po raz ostatni. I częściowo w wyniku kaca po narkotyku, ale bardziej po okropnościach minionego dnia, poczułem, że naprawdę gównu mnie to obchodzi.

14. Do pierwszego kontaktu z Taurańczykami doszło podczas mojej warty.

Misie nadal tam były, kiedy zbudziłem się i poszedłem zmienić Jonesa. Otaczały nas tak jak poprzednio, jeden przed każdym z naszych wartowników. Ten, który czekał na mnie, wydawał się

trochę większy od innych, ale poza tym niczym się nie wyróżniał. W miejscu, gdzie siedział, wygryzł całą trawę, więc od czasu do czasu odchodził w prawo lub w lewo. Jednak zawsze wracał i siadał przede mną; gdyby miał czym patrzeć, można by powiedzieć, że gapił się na mnie.

Spoglądaliśmy na siebie od prawie kwadransa, gdy nagle usłyszałem krzyk Corteza.

–Wszyscy wstawać i krzyć się!

Posłuchałem głosu instynktu, upadłem na ziemię i przeturlałem się w kępę wysokich traw.

–Nad nami nieprzyjacielski statek – stwierdził lakonicznie sierżant.

Ściśle biorąc, nie dokładnie nad nami, ale trochę na wschód od naszego obozu. Poruszał się wolno, może sto klików na godzinę, i wyglądał jak miotła otoczona brudną mydlaną bańką. Lecące na nim stworzenie było bardziej podobne do człowieka niż misie, jednak nic poza tym. Czterdziestokrotnie zwiększyłem skalę wizerka, żeby dokładnie je obejrzeć.

Miał dwie ręce i dwie nogi, a talię tak wąską, że można by ją objąć dłońmi. Poniżej talii były wydatne, podkowiaste biodra blisko metrowej szerokości, od których odchodziły dwie długie, chude nogi bez stawów kolanowych. Nad talią tułów również rozdymał się, przechodząc w tors nie mniejszy od ogromnych bioder. Jego ręce były zadziwiająco ludzkie, tyle że za długie i słabiej umięśnione. Dłonie o większej ilości palców. Brak barów i karku. Koszmarnie wielka głowa stercząca jak wole z potężnej piersi. Dwoje oczu podobnych do kupek rybichjaj, pędzłowatywrostekzamiastnosai rozwarty otwór mogący być ustami w miejscu, gdzie powinno znajdować się jabłko Adama.

Widocznie mydlana bańka zapewniała odpowiednie środowisko, gdyż obcy nie miał na sobie nic oprócz gołej skóry, wyglądającej jakby zbyt długo moczo ją we wrzątku, a potem ufarbowano na bladopomarańczowo. Nie dostrzeegliśmy genitaliów, ale też ani śladu czegoś, co mogłoby uchodzić za piersi. Tak więc uznaliśmy, że – zgodnie z definicją – obcy jest rodzaju męskiego.

Wyraźnie nie zauważył nas albo uznał za część stada niedźwiadków. Nie oglądając się, leciał w tym samym kierunku, w jakim podążaliśmy – 0,05 radiana na północny wschód.

–Równie dobrze możecie znów położyć się spać, jeżeli zdołacie zasnąć po czymś takim. Ruszamy o 4.35.

Czterdzieści minut.

Przez mleczną warstwę chmur otaczających planetę z kosmosu nie można było stwierdzić, jak duża jest nieprzyjacielska baza i jak wygląda. Zналиśmy tylko jej położenie, tak samo jak położenie miejsca, gdzie miały wylądować nasze stateczki. Tak więc ta baza równie dobrze mogła znajdować się pod wodą lub pod ziemią.

Jednak niektóre z samosterujących pocisków miały nie tylko zmylić przeciwnika, ale służyły również jako stateczki zwiadowcze; podczas pozorowanych ataków na bazę jeden z nich zdołał podlecieć dostatecznie blisko, żeby zrobić zdjęcia. Kapitan Stott przesłał je Cortezowi -jedyńemu, którego skafander miał odpowiedni odbiornik – kiedy znaleźliśmy się pięć klików od celu. Zatrzymaliśmy się i Cortez wezwał do siebie wszystkich dowódców plutonów. Dwa niedźwiadki również podeszły. Próbowaliśmy je ignorować.

–Kapitan przysłał kilka zdjęć celu. Zamierzam narysować mapę; dowódcy plutonów odrysują ją.

Z kieszeni na nogawkach wyjęli notesy i pisaki, a Cortez rozwinął dużą plastikową mapę. Potrząsnął nią, żeby rozładować ewentualne ładunki, i włączył pisak.

–Teraz tak: my idziemy w tym kierunku – powiedział, kreśląc strzałkę na spodzie mapy. – Najpierw musimy uderzyć na rząd chat, zapewne kwater lub bunkrów, chociaż kto to wie... Naszym najważniejszym zadaniem jest zniszczenie tych budynków – cała baza stoi na płaskim terenie; w żaden sposób nie zdołamy tam podejść niepostrzeżenie.

–Tu Potter. Dlaczego nie możemy tam zeskoczyć?

–Pewnie możemy, tyle że zostalibyśmy okrążeni i wystrzelani jak kaczki. Mamy zdobyć te baraki. Później... mogę tylko powiedzieć, że będziecie musieli szybko myśleć. Na podstawie danych rozpoznania powietrznego jesteśmy w stanie określić przeznaczenie tylko niektórych budynków, a to mi śmierdzi. Możemy stracić masę czasu na rozwalanie czegoś w rodzaju kantyny, a zostawić w spokoju wielki komputer bojowy tylko dlatego, że wygląda jak... śmietnik albo coś w tym rodzaju.

–Tu Mandella – powiedziałem. – Czy nie ma tam jakiegoś kosmoportu? Wydaje mi się, że...

–Zaraz do tego dojdę, cholera. Te budynki stoją kręgiem wokół całego obozu, a musimy przedrzeć się do środka. Tędy będzie najbliżej i zmniejszymy ryzyko, że wykryją naszą obecność, zanim zaatakujemy. Nigdzie tam nie widać niczego, co przypominałoby broń. Jednak to o niczym nie świadczy; w każdej z tych chat można ukryć gigawatowy laser. Tutaj, około pięćset metrów od chat, dojdziemy do tej kielichowatej budowli.

Cortez narysował duży symetryczny kształt podobny do kwiatu o siedmiu płatkach.

–Tak samo jak wy, nie mam zielonego pojęcia, co to może być. Nie ma drugiego takiego urządzenia, więc starajcie się nie uszkodzić go bardziej, niż to będzie konieczne. Co oznacza, że... rozwalicie je w drobny mak, jeśli uznacie, że jest niebezpieczne.

A teraz, co do twojego kosmoportu, Mandella – nie ma tam żadnego. Nic. Ten krążownik, który załatwiła „Nadzieja”, zapewne pozostawili na orbicie, tak samo jak my. Jeśli dysponują jakimiś statkami zwiadowczymi lub pociskami, to albo nie trzymają ich tutaj, albo dobrze je ukryli.

–Tu Bohrs. To czym nas zaatakowali, kiedy schodziliśmy z orbity?

–Sam chciałbym wiedzieć, szeregowy. Nie mamy sposobu, żeby określić ich liczebność choćby w przybliżeniu. Na zdjęciach lotniczych terenu bazy nie widać ani jednego Taurańczyka. To nie ma żadnego znaczenia, gdyż znajdujemy się w obcym środowisku. Jednak pośrednio... możemy policzyć ilość mioteł – tych latających maszyn. Jest pięćdziesiąt jeden chat, przy większości co najmniej jedna miotła. Przy czterech nie stoi żadna, ale w innych miejscach obozu zlokalizowaliśmy trzy. To może wskazywać, że jest tam pięćdziesięciu jeden Taurańczyków, z których jeden znajdował się poza bazą w momencie wykonania zdjęcia.

–Tu Keating. Albo pięćdziesięciu jeden oficerów.

–Słusznie – równie dobrze w jednym z tych budynków może kryć się pięćdziesięciotysięczna armia. Tego nikt nie wie. A może jest tam dziesięciu Taurańczyków, z których każdy używa pięciu mioteł, zależnie od upodobań. Mamy przewagę pod jednym względem, a mianowicie w łączności. Oni najwidoczniej używają modulowanych megahercowych częstotliwości fal elektromagnetycznych.

–Radio!

–Masz rację, kimkolwiek jesteś. Przedstaw się, kiedy mówisz. Tak więc całkiem możliwe, że oni nie potrafią wykryć naszych transmisji wykorzystujących neutrino. Ponadto tuż przed

atakami „Nadzieja” rzuci tam śliczną bombkę atomową; zdetonuje ją w atmosferze, tuż nad bazą. To na jakiś czas dezorganizuje ich łączność; trzask wyładowań wszystko zagłuszy.

–Dlaczego... Tu Tate. Dlaczego po prostu nie zrzucą na nich bomby. Oszczędziliby nam masę...

–To pytanie nawet nie zasługuje na odpowiedź, szeregowy. Jednak odpowiem wam: moglibyśmy tak zrobić. I lepiej módlcie się, żeby tak się nie stało. Jeśli zniszczą bazę, to tylko dla zapewnienia bezpieczeństwa „Nadziei”. Jeśli obcy zaatakują nas i zapewne zanim odejdziemy na bezpieczną odległość. Nie dopuścimy do tego, wykonując zadanie. Musimy zniszczyć bazę w stopniu uniemożliwiającym dalsze jej działanie, a jednocześnie mamy zostawić ją jak najmniej uszkodzoną. I wziąć jednego jeńca.

–Tu Potter. Chcepan powiedziec, przynajmniej jednego jeńca.

–Chcę powiedziec dokładnie to, co powiedziałem. Tylko

jednego. Potter... jesteś zwolniona z dowodzenia plutonem. Przyślij tu Chaveza.

–Tak jest, sierżancie – powiedziała. W jej głosie wyraźnie słyszałem ulgę.

Cortez dalej zaznajamiał nas z mapami oraz instrukcjami. Był tylko jeden budynek, którego przeznaczenie było oczywiste; na dachu miał duży, ruchomy talerz anteny. Mieliśmy zniszczyć go, jak tylko znajdzie się w zasięgu granatników.

Plan ataku był bardzo ogólnikowy. Sygnałem rozpoczęcia będzie błysk bomby atomowej. Jednocześnie na bazę spadnie kilka pocisków i przekonamy się, czy mają jakąś obronę powietrzną. Spróbujemy ograniczyć skuteczność tej broni, nie niszcząc jej całkowicie.

Po uderzeniu powietrznym grenadierzy zniszczą rząd siedmiu chat. Przez wybity otwór piechota wtargnie do środka, a co będzie potem, tego nikt nie wie.

W najlepszym razie przeczeszemy bazę od końca do końca, niszcząc żywe cele, załatwiając wszystkich Taurańczyków oprócz jednego. Jednak to bardzo mało prawdopodobne, gdyż zakłada, że wróg stawi znikomy opór.

Z drugiej strony, jeśli Taurańczycy od początku zdobędą wyraźną przewagę, Cortez wyda rozkaz, żeby rozproszyć się. Każdy otrzymał własną trasę odwrotu – odskoczymy na wszystkie strony, a ci, którzy przeżyją, zbiorą się w dolinie, czterdzieści klików na wschód od bazy. Potem pomyślimy nad uderzeniem odwetowym, kiedy „Nadzieja” trochę zmiękczy wroga.

–Jeszcze jedno – chrypiał Cortez. – Może niektórzy z was są takiego samego zdania jak Potter, może uważają tak wasi ludzie... że powinniśmy postępować łagodniej, nie sprawiać im krwawej łaźni. Litość to luksus, słabość, jakiej nie możemy okazać w tej fazie wojny. Jedyne, co wiemy o wrogach, to że zabili siedmiuset dziewięćdziesięciu ośmiu ludzi. Nie okazali żadnych skrupułów, atakując nasze krążowniki, więc byłoby nierozsądne oczekiwać, że będą je mieli teraz, w bezpośrednim starciu. To oni ponoszą odpowiedzialność za śmierć waszych kolegów podczas szkolenia, za Ho i za wszystkich innych, którzy pewnie dziś zginą. Nie potrafię zrozumieć kogoś, kto chciałby ich oszczędzić. Jednak nie jest to istotne. Macie wykonywać rozkazy i – do diabła, mogę wam to powiedzieć – wszystkim wam wpojono posthipnotyczny odruch warunkowy, który pobudzę tuż przed bitwą, wypowiadając pewne słowa. Tak będzie wam łatwiej.

–Sierżancie...

–Zamknąć się. Nie mamy czasu; wracajcie do swoich plu-

tonów i zapoznajcie ich z planem. Ruszamy za pięć minut. Dowódcy plutonów wrócili do swoich pododdziałów, zostawiając Corteza i naszą dziesiątkę – plus trzy niedźwiadki płaczące się nam pod nogami.

15. Ostatnie pięć klików szliśmy bardzo ostrożnie, chowając się w najwyższych trawach, przebiegając przez rzadkie polanki. Kiedy byliśmy 500 metrów od miejsca, gdzie miała znajdować się baza,

Cortez poszedł z trzecim plutonem na zwia-
dy, a reszta pochowała się w chaszczach.

Na ogólnym paśmie usłyszeliśmy głos sierżanta:

–Wygląda mniej więcej tak, jak oczekiwaliśmy. Podczołgacie się bliżej. Po dojściu do trzeciego plutonu odejdziecie w prawo i w lewo.

Wykonaliśmy rozkaz, tworząc złożony z osiemdziesięciu trzech żołnierzy szereg, mniej więcej prostopadły do kierunku ataku.

Byliśmy bardzo dobrze ukryci, oprócz tuzina lub więcej niedźwiadków włączających się wzdłuż linii i zajądających trawę.

W bazie nie dostrzegliśmy żadnego śladu życia. Wszystkie budynki były lśniaco białe i pozbawione okien. Baraki, którymi mieliśmy zająć się w pierwszej kolejności, wyglądały jak na pół zakopane w ziemi, sześćdziesięciometrowe jaja. Cortez wyznaczył po jednym każdemu grenadierowi.

Podzieliliśmy się na trzy grupy uderzeniowe: zespół A składał się z plutonów drugiego, czwartego i szóstego; zespół B z pierwszego, trzeciego i piątego; pluton dowodzenia był zespołem C.

–Została niecała minuta – opuścić filtry! Kiedy powiem „ognia”, grenadierzy niszczą swoje cele. Jeśli ktoś spudłuje, niech Bóg ma go w swojej opiece!

Z odgłosem przypominającym potworne beknięcie z budowli w kształcie kwiatu wyleciał strumień pięciu czy sześciu opalizujących baniek. Wznosiły się ze wzrastającą szybkością, aż prawie znikły nam z oczu, po czym poleciały na południe, przelatując nad nami. Wokół pojaśniało i po raz pierwszy od dawna ujrzałem mój cień, wydłużony i skierowany na pomoc. Bomba wybuchła za wcześnie. Zdążyłem pomyśleć, że to bez znaczenia: i tak popsuje im łączność...

–Rakiety!

Pocisk nadleciał z rykiem tuż nad wierzchołkami „drzew”, a bańka wyskoczyła mu na spotkanie. Przy zderzeniu bańka prysnęła, a rakietka eksplodowała na miliony drobnych kawałków.

Z przeciwnej strony nadleciała następna i podzieliła jej los.

–Ognia!

Siedem jasnych rozbłysków pięćsetmikrotonowych granatów

i podmuch eksplozji, który z pewnością zabiłby człowieka bez skafandra.

–Podnieść filtry!

Szara mgła i kurz. Grad ziemi osypującej się z odgłosem przypominającym krople deszczu.

–Posłuchajcie:

Szkoci, co z Wallacem na krwawy szli bój,

Szkoci, co Bruce chadzali jak rój,

Dziś macie okazać swe męstwo.

Śmierć lub zwycięstwo!

Ledwie go słyszałem, usiłując rejestrować to, co działo się w mojej głowie. Wiedziałem, że to tylko uwarunkowanie posthipnotyczne, a nawet pamiętałem zajęcia w Missouri, podczas których mi je wszczepiono, jednak przez to wcale nie stało się mniej naglące. W głowie kłębiły mi się pseudospomnienia: kudłaci Taurańczycy (w ogóle niepodobni do takich, jakich widzieliśmy w rzeczywistości) wpadający na statek kolonistów, pożerający dzieci na oczach zrozpaczonych matek (koloniści nie zabierali dzieci; nie wytrzymałyby przeciążenia), a potem zbiorowo gwałcący kobiety swymi olbrzymimi, purpurowymi członkami (to śmieszne, że mieliby pożądać samic innego gatunku), obdzierający mężczyzn żywcem ze skóry i wrywający im zębami kawały ciała (jakby mogli przyswajać obce białko)... setki ponurych szczegółów, tak wyrazistych, jakby wszystko zdarzyło się przed chwilą, śmiesznie przejawiskrawione i całkowicie absurdalne. Jednak chociaż świadomość wzbraniała się przed tymi idiotyzmami, gdzieś znacznie głębiej, w trzewiach tego śpiącego zwierzęcia, kryjących nasze prawdziwe motywy i zasady, coś łaknęło krwi, bezpiecznie skryte za przekonaniem, że najszczytniejszą powinnością człowieka jest zginąć w walce z tymi okropnymi potworami...

Wiedziałem, że to jedno sojowe gówno, i nienawidziłem ludzi, którzy tak swobodnie poczynali sobie z moim umysłem, ale

jednocześnie słyszałem zgrzytanie moich zębów i czułem, jak moją twarz wykrzywia grymas nienawiści i żądzy krwi... Przedemną pojawił się niedźwiadek, wyglądający na oszołomionego. Uniosłem laser, ale ktoś mnie uprzedził i łeb stworzenia rozpadł się w obłoku szarych kawałków kości i krwi.

Szczęściara jęczała i skamlała.

–Brudne... pierdolone dranie!

Promienie laserów błyskały i krzyżowały się i wszystkie niedźwiedzie leżały martwe.

–Uważajcie, cholera! – ryczał Cortez. – Celujcie, do

kurwy nędzy, to nie zabawa! Zespół A, naprzód, do kraterów, i osłaniać zespół B!

Ktoś śmiał się i płakał.

–Kurwa mać, co się z tobą dzieje, Petrov?

Dziwnie słyszeć, jak Cortez przeklina.

Odwróciłem się i za sobą, trochę w lewo, zobaczyłem Petrova leżącego w płytkiej dziurze, rozpaczliwie kopiącego obiema rękami, szlochającego i bulgoczącego.

–Kurwa – powiedział Cortez. – Zespół B! Zająć pozycje dziesięć metrów od kraterów! Zespół C, dołączyć do tych z A! Wygramoliłem się i dwunastoma wydłużonymi susami pokonałem sto metrów. Blisko dziesięciometrowej średnicy krateru były dostatecznie duże, żeby schować w nich cały statek. Skoczyłem na drugą stronę leja i wylądowałem koło faceta nazwiskiem Chin. Nawet nie obejrzał się, tylko wypatrywał jakiegoś śladu życia w bazie.

–Zespół A, dziesięć metrów, wyprzedzić zespół B i zająć stanowiska.

Ledwie to powiedział, gdy budynek naprzeciw nas beknął i posłał na nasze linie salwę trzech baniek. Większość ludzi zauważyła to i padła na ziemię, ale Chin właśnie podrywał się do skoku i zderzył się zjedną.

Musnęła jego hełm i zniknęła z cichym pyknięciem. Chin zatoczył się w tył i runął do leja, ciągnąc za sobą łuk krwi i tkanki mózgowej. Bezwładny, z szeroko rozrzuconymi kończynami, zjechał do połowy zbocza, zapychając ziemią idealnie okrągły otwór w miejscu, gdzie bańka przecięła plastik, włosy, skórę, czaszkę i mózg.

–Wszyscy stać. Dowódcy plutonów, raportować straty...

Przyjąłem, przyjąłem... Mamy trzech zabitych. Nie mielibyśmy żadnego, gdybyście chowali głowy. Padajcie na ziemię, kiedy słyszycie ten dźwięk. Zespół A, dokończyć manewr.

Zrobili to bez dalszych strat.

–Dobrze. Zespół C, pobiec do... Stać! Padnij!

Wszyscy już tulili się do ziemi. Bańki wyleciały łagodnym łukiem, prawie dwa metry nad ziemią. Majestatycznie przeleciały nam nad głowami i zniknęły w oddali, oprócz jednej, która przerobiła drzewo na wykałaczki.

–Zespół B, odbiec dziesięć metrów od A. C na miejsce B.

Grenadierzy z B, sprawdź, czy dosięgniecie Kwiat.

Dwa granaty rozdarły ziemię trzydzieści lub czterdzieści metrów od budowli. Jakby wpadłszy w panikę, zaczęła wypluwać strumień baniek – jednak żadna z nich nie przeleciała niżej jak

dwa metry nad ziemią. Skuleni, posuwaliśmy się naprzód. Nagle w ścianie budowli pojawiło się pęknięcie, które zmieniło się w szerokie drzwi. Taurańczycy wypadli na zewnątrz. –Grenadierzy, wstrzymać ogień. Zespół B, ognia z laserów od lewej do prawej. Zatrzymajcie ich. A i C atakują środkiem. Jeden Taurańczyk zginął, usiłując przebiec przez promień lasera. Pozostali stanęli w miejscu.

W skafandrze bardzo trudno biec ze schyloną głową. Musisz kołysać się z boku na bok, jak startujący łyżwiarz; inaczej znajdziesz się w powietrzu. Przynajmniej jeden żołnierz, ktoś z grupy A, odbił się zbyt mocno i podzielił los China.

Czułem się osaczony i przyparty do muru; po bokach miałem ściany laserowego ognia, a nad głową dach śmiercionośnych pocisków. Jednak wbrew sobie byłem szczęśliwy, ogarnięty euforią, bo wreszcie miałem okazję zabić paru tych paskudnych pożeraczy dzieci. Chociaż wiedziałem, że to sojowe gównno. Nie stawiali żadnego oporu, oprócz tych dość nieskutecznych baniek (wyraźnie nie nadających się na broń), ani nie próbowali wrócić do budynku. Zbili się w gromadę liczącą około setki i patrzyli, jak podchodzimy. Parę granatów wykończyłoby wszystkich, jednak Cortez chyba myślał o jeńcu.

–Dobra, kiedy powiem „teraz”, otoczycie ich. Zespół B wstrzyma ogień... Plutony drugi i czwarty na prawe skrzydło, szósty i siódmy na lewe. Zespół B podejdzie tyralierą, żeby żaden nie uciekł.

–Teraz!

Rozwinęliśmy się w lewo. Gdy tylko ustał ogień laserów, Taurańczycy ruszyli, biegnąc całą gromadą na nasze skrzydło.

–Zespół A, padnij i ognia! Strzelać tylko na pewniaka. Jeśli chybiecie, możecie trafić kolegę. I – rany boskie! – zostawcie mi jednego!

Pędzące na nas potwory stanowiły przerażający widok. Biegły wielkimi susami – bańki omijały ich – i wszystkie wyglądały tak samo jak ten, którego widzieliśmy wcześniej lecącego na miotle: nadzy oprócz półprzeźroczystych kuł otaczających ich ciała i poruszających się wraz z nimi. Nasi na prawym skrzydle utworzyli ogień do osobników na końcu stada.

Nagle błysnął promień lasera, przelatując między Taurańczykami – ktoś nie trafił w cel. Usłyszałem przeraźliwy krzyk i spojrzawszy po linii, ujrzałem, jak ktoś – chyba Perry – zwija się na ziemi, ściskając prawą dłoń dymiący kikut lewego ramienia, odstrzelonego tuż poniżej łokcia. Krew tryskała mu między palcami, a uszkodzony kamuflaż skafandra migotał czarno-biało-

–zielono-pustynnie-szaro. Nie wiem, jak długo patrzyłem – wystarczająco długo, aby medyk przybiegł i zaczął udzielać mu pomocy – ale kiedy odwróciłem się, Taurańczycy byli tuż przede mną. Pierwszy strzał oddałem za szybko i za wysoko, ale trafiłem w wierzchołek ochronnej bańki pierwszego Taurańczyka. Pęcherz zniknął, a potwór zachwiał się i runął na ziemię, drgając konwulsyjnie. Z otworu gębowego trysnęła mu piana, najpierw biała, a potem czerwona. Przy ostatnim skurczu zeszywniał i wygiął się w tył, niemal w podkowę. Przeciągły, wysoki pisk urwał się na moment przed tym, jak stratowali go towarzysze. Nienawidziłem siebie za swój uśmiech.

To była po prostu rzeź, chociaż na skrzydle mieli nad nami pięciokrotną przewagę liczebną. Nadciągali bez przerwy, mimo że musieli przedzierać się przez ciała i kawałki ciał piętrzące się wzdłuż naszych stanowisk. Ziemia między nami była czerwona i śliska od taurańskiej krwi – wszystkie dzieci boże mają hemoglobinę – i tak samo jak w przypadku niedźwiadków, ich wnętrzności dla moich niewprawnych oczu wyglądały dokładnie jak wnętrzności. Zanosząc się histerycznym śmiechem, ciąłem ich na krwawe strzępy i ledwie usłyszałem Corteza:

–Przerwać ogień. Powiedziałem: Przerwać ogień, do cholery! Złapcie paru tych drani, nic wam nie zrobią!

Przestałem strzelać, a po chwili inni także przestali. Kiedy kolejny Taurańczyk przeskoczył przez dymiącą stertę mięsa przede mną, rzuciłem się i spróbowałem złapać go za te chude nogi. Miałem wrażenie, że ściskam wielki, śliski balon. Kiedy próbowałem go obalić, wyslizgnął się z moich objęć i pobiegł dalej. Udało nam się schwytać jednego, na którego rzuciło się pół tuzina ludzi. W tym momencie pozostali przedarli się przez nasze szeregi i pobiegli w kierunku wielkich, cylindrycznych budowli, które według Corteza prawdopodobnie były zbiornikami. U podstawy każdego otworzyły się małe drzwi.

–Mamy naszego jeńca – wrzasnął Cortez. – Zabić ich!

Byli już pięćdziesiąt metrów dalej i poruszając się tak szybko, stanowili trudny cel. Błysnęły promienie laserów, przechodząc wysoko nad głowami. Jeden padł, przecięty na pół, lecz inni – około dziesięciu – biegli dalej i prawie dopadli drzwi, kiedy zaczęli strzelać grenadierzy.

Granatniki mieli wciąż załadowane tymi pięćsetkami, jednak skutecznymi jedynie przy bezpośrednim trafieniu – inaczej podmuch tylko podrzucał bańki z Taurańczykami, nie wyrządzając im żadnej szkody.

–Budynki! Rozwalcie te budynki!

Grenadierzy wycelowali i otworzyli ogień, jednak pociski tylko osmalały te białe ściany, aż w końcu jeden przypadkowo trafił w drzwi. Budynek rozpadł się, jakby ktoś rozpruł niewidzialny szew; obie połowy odskoczyły na boki, a ze środka trysnęła chmura szczątków i jasnożółty płomień, który natychmiast zgasł. Inni grenadierzy zaczęli mierzyć w drzwi, tylko od czasu do czasu strzelając do pojedynczych Taurańczyków, nie tyle by ich trafić, ile aby nie wpuścić ich do środka. Bardzo chcieli tam wejść. Przez cały czas próbowaliśmy wykosić Taurańczyków ogniem laserów, a oni podskakiwali i uskakiwali, usiłując dotrzeć do budowli. Podeszliśmy najbliżej jak mogliśmy, nie wchodząc w pole rażenia granatów, lecz wciąż byliśmy za daleko na skuteczny strzał.

Mimo to eliminowaliśmy jednego po drugim i zdołaliśmy zniszczyć cztery z siedmiu budowli. Nagle, kiedy pozostało już tylko dwóch obcych, bliski wybuch granatu cisnął jednego z nich kilka metrów od drzwi. Skoczył w nie i chociaż kilku grenadierów posłało za nim salwę, wszystkie pociski upadły za blisko lub odbiły się od ściany konstrukcji. Wokół z hukiem padały bomby, lecz ich łoskot nagle utonął w potwornym świście, jakby jakiś olbrzym nabrał tchu w piersi, po czym w miejscu, gdzie stała budowla, wykwitł gruby słup dymu – gęstego i niknącego w stratosferze – prosty, jak wykreślony liniijką. Drugi Taurańczyk był przy podstawie budowli; widziałem, jak jego szczątki leciały w powietrzu. W następnej sekundzie spadła na nas fala uderzeniowa. Potoczyłem się po ziemi, uderzyłem w stertę taurańskich trupów i zatrzymałem się za nią.

Wstałem i na moment wpadłem w panikę, widząc krew na moim skafandrze, a kiedy zrozumiałem, że to krew obcych, strach minął, ale obrzydzenie pozostało.

–Łapcie drania! Łapać go!

Korzystając z zamieszania, taurański jeniec uwolnił się i uciekał w trawy. Jeden pluton ścigał go bez powodzenia, aż cała grupa B odcięła mu drogę. Pobieglem przyłączyć się do zabawy.

Czterej żołnierze przyciskali go do ziemi, a pięćdziesięciu innych przyglądało się temu, otaczając ich ciasnym kręgiem.

–Rozproszyć się! Może jest ich tu jeszcze tysiąc i tylko czekają, żebyśmy zebrali się w jednym miejscu!

Niechętnie rozeszliśmy się. Milcząco założyliśmy, że na powierzchni planety nie został już ani jeden Taurańczyk. Kiedy cofałem się, Cortez ruszył w kierunku jeńca. Nagle czterej żołnierze trzymający bańkę runęli na ziemię. Nawet z daleka widziałem pianę płynącą z ust Taurańczyka. Jego bańka pękła. Samobójstwo.

–Niech to szlag! – wściekł się Cortez. – Zejdźcie z tego

drania.

Żołnierze wstali, a sierżant laserem pokroił potwora na tuzin drgających kawałków. Krzepiący widok.

–Nic nie szkodzi, znajdziemy innego. Kompania! Tyraliera! Atakujemy Kwiat!

No cóż, zaatakowaliśmy Kwiat, któremu najwidoczniej skończyła się amunicja (wciąż bekał, ale nie puszczał baniek), który okazał się pusty. Z laserami gotowymi do strzału biegaliśmy po rampach i korytarzach, jak dzieci bawiące się w żołnierzy. Nikogo nie było.

Tak samo w przypominającej salami budowli z anteną i w dwudziestu innych budynkach, jak również w czterdziestu czterech barakach stojących na obrzeżu. Tak więc „zdobyliśmy” tuziny zabudowań, przeważnie o nieznanym przeznaczeniu, ale nie wykonaliśmy głównego zadania, jakim było schwywanie Taurańczyka, na którym mogliby eksperymentować ksenolodzy. O tak, mogli sobie nazbierać tyle kawałków, ile tylko chcieli. Zawsze to coś. Kiedy już przeszukaliśmy ostatni centymetr kwadratowy bazy, przyleciał statek zwiadowczy z prawdziwą ekipą eksploracyjną złożoną z naukowców. Cortez powiedział:

–Dobra, otrząśnijcie się z tego! – I wyszliśmy z transu.

Z początku było okropnie. Wielu z nas, włącznie ze Szczęściarą i Marygay, wspomnienie tej rzezi o mało nie doprowadziło do szaleństwa. Cortez polecił rozdać wszystkim tabletki uspokajające, a najbardziej wstrząśniętym dać dwie. Zażyłem dwie, chociaż nikt mi nie kazał.

To było masowe morderstwo, bezmyślna rzeź, bo kiedy unieszkodliwiliśmy ich obronę powietrzną, nic już nam nie groziło. Taurańczycy najwidoczniej nie umieli walczyć. Otoczyliśmy ich i wyrznęliśmy w pień – tak wyglądało pierwsze spotkanie ludzi z innymi rozumnymi istotami. A może drugie, jeśli policzyć niedźwiadki. Jaki byłby bieg wydarzeń, gdybyśmy po prostu usiedli i próbowali się z nimi porozumieć? Potraktowaliśmy je tak samo jak Taurańczyków.

Jeszcze długo po tym powtarzałem sobie, że to nie ja tak ochoczo szlachtowałem te przerażone, spanikowane stworzenia. Już w dwudziestym wieku uznano, przy powszechnej aprobacie, że „Ja tylko wykonywałem rozkazy” to niewystarczające usprawiedliwienie nieludzkiego postępowania... A co można zrobić, kiedy rozkazy nadchodzą z najgłębszych warstw wszechwładnej podświadomości?

Najgorsze było wrażenie, że może moje postępowanie wcale nie było takie nieludzkie. Moi przodkowie kilka pokoleń wstecz

mogliby postąpić tak samo, nawet wobec innych ludzi, bez hipnotycznego uwarunkowania.

Czułem obrzydzenie do ludzkiej rasy, obrzydzenie do wojska i przerażenie na myśl o tym, że będę musiał żyć ze sobą jeszcze przez wiek lub dłużej... No cóż, zawsze mogli mi zrobić pranie mózgu.

Statek z jedynym ocalałym Taurańczykiem uciekł i wymknął się „Nadziei Ziemi”; osłonięty tarczą planety wpadł w pole kolapsarowe Alepha. Domyślałem się, że umknął do domu – gdziekolwiek go miał – aby powiadomić swoich, co dwudziestu uzbrojonych ludzi może zrobić stu bezbronnym, przerażonym stworzeniom.

Podejrzewałem, że kiedy ludzie znowu spotkają się w walce z Taurańczykami, szansę będą bardziej wyrównane. I miałem rację.

**SIERŻANT
MANDELLA
2007-2024 A.D.**

I. Byłem dostatecznie wystraszony.

Major Stott przechadzał się tam i z powrotem za małym podium auli/placu musztry/sali gimnastycznej „Rocznicy”. Właśnie wykonaliśmy ostatni skok kolapsarowy, z Tet-38 na Yod-4. Zwalnialiśmy przy ciężeniu równym 1,5 g, a względem tego ostatniego kolapsara rozwijaliśmy budzącą szacunek prędkość wynoszącą 0,9 świetlnej. Ścigano nas.

–Chciałbym, żebyście odprężyli się i zawierzyli komputerowi pokładowemu. Taurańska jednostka i tak nie dogoni nas wcześniej jak za dwa tygodnie. Mandella!

Zawsze pamiętał, żeby w obecności innych żołnierzy tytułować mnie „sierżantem”. Jednak wszyscy obecni na tej odprawie byli sierżantami lub kapralami; dowódcami drużyn.

–Tak, sir.

–Jesteś odpowiedzialny za dobry stan fizyczny, jak również psychiczny, żołnierzy twojej drużyny. Zakładając, że wiesz, iż na pokładzie tego statku mamy problem z morale, co zrobiłeś w tej sprawie?

–W mojej drużynie, sir?

–Oczywiście.

–Omówiliśmy to, sir.

–I doszliście do jakichś konkretnych wniosków?

–Bez obrazy, sir, uważam, że główny problem jest oczywisty. Moi ludzie są stłoczeni na tym statku od czternastu...

–To śmieszne! Każdy z nas został odpowiednio uodpomiony na niewygody związane z życiem w ciasnocie, a w dodatku żołnierze mają przywilej konfratemizacji.

Bardzo delikatne ujęcie sprawy.

–Oficerowie muszą pozostać w celibacie, a jednak nie mają problemów z morale.

Jeśli uważał, że jego oficerowie żyją w celibacie, to powinien usiąść i przeprowadzić dłuższą rozmowę z podporucznik Harmony. Jednak może miał na myśli oficerów liniowych: Wtedy byłby to on sam i Cortez. Może w 50 procentach miałby rację. Cortez był bardzo zaprzyjaźniony z kapral Kamehamehą.

–Sir, może to przez tę detoksykację na Stargate, może...

–Nie. Terapeuci usunęli tylko uwarunkowaną hipnotycznie nienawiść – wszyscy wiedzą, co ja o tym sędzę – i choć mogą się mylić, ich umiejętności nie budzą zastrzeżeń. Kapral Potter. Zawsze wymieniał jej stopień, żeby przypomnieć, dlaczego

nie awansowała tak jak pozostali. Za miękka.

–Czy wy też „omówiliście” to ze swoimi ludźmi?

–Przedyskutowaliśmy to, sir.

Major potrafił mierzyć ludzi „lekkim wściekłym” spojrzeniem.

Mierzył Marygay lekkim wściekłym spojrzeniem, aż wyjaśniła szerzej.

–Nie uważam, że to niedostatki przygotowania. Moi ludzie są niespokojni i po prostu znużeni wykonywaniem tych samych czynności dzień po dniu.

–Palą się do walki, co?

W jego głosie nie było sarkazmu.

–Chcą wsiąść z tego statku, sir.

–Wysiądą z tego statku – powiedział, pozwalając sobie na mikroskopijny uśmiech. – A wtedy zapewne bardzo będą chcieli wsiąść z powrotem.

I tak gadaliśmy przez dłuższą chwilę. Nikt nie chciał walnąć prosto z mostu, że jego drużyna boi się; boi się doganiającego nas taurańskiego krążownika i lądowania na planecie przejścia. Major Stott źle reagował na ludzi przyznających, że się boją.

Wziąłem do ręki nowy schemat organizacyjny, jaki nam rozdali. Wyglądał następująco:

Większość ludzi znałem z rajdu na Alepha, pierwszego kontaktu twarzą w twarz ludzi i Taurańczyków. Jedynymi nowymi w moim plutonie byli Luthuli i Heyrovsky, Kompania jako – wybaczenie określenie – „siła uderzeniowa” otrzymała dwudziestoosobowe uzupełnienie na miejsce dziewiętnastu ludzi, których straciliśmy podczas wypadu na Alepha: jeden ciężko ranny, czterech zabitych, czternastu z urazami psychicznymi...

Nie mogłem pogodzić się z datą 20 Mar 2007 na dole dokumentu. Byłem w wojsku od dziesięciu lat, chociaż minęło mniej niż dwa. Dylatacja czasu, oczywiście; nawet przy skokach kolapsarowych podróże od gwiazdy do gwiazdy trochę trwają. Po tej misji zapewne będę kwalifikował się na emeryturę – w pełnej wysokości. Jeżeli przeżyję i jeśli nie zmienią przepisów. Ja – dwudziestolatek, mający zaledwie pięćdziesiąt pięć lat. Stott podsumowywał, kiedy ktoś zapukał do drzwi – raz, ale głośno.

–Wejść-powiedział major.

Porucznik marynarki, którego znałem z widzenia, wszedł i bez słowa podał Stottowi jakieś pismo. Stał obojętnie, czekając w nie-
dbalej pozie, graniczącej z niesubordynacją. Technicznie rzecz biorąc, Stott nie był jego przełożonym; a zresztą i tak nie był lubiany przez oficerów floty.

Stott zwrócił pismo porucznikowi i ominął go spojrzeniem.

–Zawiadomić pododdziały, że o godzinie 20.10, za pięćdziesiąt osiem minut, statek zacznie wykonywać uniki. Nawet nie spojrział na zegarek.

–Do godziny 20.00 wszyscy mają znaleźć się w pancerzach przeciwprzeciążeniowych. Baa-czność!

Wstaliśmy i bez entuzjazmu burknęliśmy chóralne:

–Pieprz się, sir.

Idiotyczny zwyczaj.

Stott wymaszerował z sali, a porucznik za nim, uśmiechając się drwiąco.

Nastawiłem pierścień na mojego zastępcę i powiedziałem:

–Tate, tu Mandella.

Wszyscy wokół robili to samo.

Z pierścienia przemówił cichy głos.

–Tu Tatę. Co się dzieje?

–Zbierz wszystkich ludzi i powiedz im, że do 20.00 mają być w pancerzach. Statek zaczyna uniki.

–Szlag. Mówili, że dopiero za kilka dni.

–Chyba wyszło coś nowego. A może komandor wpadł na wspaniały pomysł.

–Komandor może się nim wypchać. Jesteś w mesie?

–Tak.

–Przynieś mi kubek kawy, jak będziesz wracał, co? Z łyżeczką cukru.

–Roger. Będę za około pół godziny.

–Dzięki. Liczę na to.

Wszyscy rzucili się do automatu do kawy. Stałem w kolejce za kapral Porter.

–Co o tym sądzisz, Marygay?

–Może komandor po prostu chce jeszcze raz sprawdzić pancerze.

–Przed prawdziwą bitwą.

–Może. – Wzięła kubek i nadmuchała go. Wyglądała na zaniepokojoną. – A może Taurańczycy zostawili tu drugi statek i czekają na nas. Zastanawiałam się, dlaczego tego nie zrobili. My tak robimy, na przykład ze Stargate.

–Stargate to co innego. Potrzeba siedem krążowników, manewrujących przez cały czas, żeby zabezpieczyć wszystkie możliwe drogi podejścia. Nie możemy sobie na to pozwolić przy więcej niż jednym kolapsarze – oni też nje mogą.

Bez słowa napełniła kubek.

–Może natknęliśmy się na ich odpowiednik Stargate. A może mają już więcej statków od nas.

Napełniłem i posłodziłem dwa kubki, jeden zamknąłem.

–Trudno powiedzieć.

Wróciliśmy do stolika, ostrożnie manewrując kubkami w wysokim ciśnieniu.

–Może Singhe coś wie – powiedziała.

–Może. Jednak musiałbym dotrzeć do niego przez Rogers i Corteza. Jeśli będę zawracał mu teraz głowę, Cortez skoczy mi do gardła.

–Och, mogę zapytać Singhe. My... – Uśmiechnęła się lekko, – Zaprzyjaźniliśmy się trochę.

Popiłem trochę gorącej kawy i usiłowałem zachować obojętność.

–To wyjaśnia, gdzie się podziewałaś.

–Czyżbym wyczuwała dezaprobatę?

–No... niech to szlag, nie, jasne, że nie. Jednak... przecież to oficer! Oficer marynarki!

–Przydzielono go do nas, a zatem należy do armii.

Przekręciła pierścień i powiedziała do niego:

–Z centralą.

A do mnie:

–A co z tobą i małą panną Harmony?

–To nie to samo.

Cicho podała pierścieniowi odpowiedni numer.

–A jednak tak. Po prostu chciałeś zrobić to z oficerem.

Zboczeniec.

Pierścień pisnął dwukrotnie. Zajęty.

–Jaka ona była?

–Znośna.

Dochodziłem do siebie.

–Ponadto porucznik Singhe to prawdziwy dżentelmen. I ani odrobinę nie jest zazdrosny.

–Ja też nie – powiedziałem. – Jeśli kiedykolwiek cię skrzywdzi, skopię mu tyłek.

Spojrzała na mnie znad kubka kawy.

–Jeśli porucznik Harmony skrzywdzi cię, powiedz mi, a ja skopię jej tyłek.

–Umowa stoi.

Z powagą uścisnęliśmy sobie ręce.

2. Koje przeciwprzeciążeniowe były czymś nowym, zainstalowano je, kiedy odpoczywaliśmy i uzupełnialiśmy zapasy na Stargate. Pozwalały statkowi rozwinąć prędkość zbliżoną do maksymalnych 25 g uzyskiwanych przez tachionowy napęd.

Tatę czekał na mnie. Reszta oddziału kręciła się wokół, rozmawiając. Dałem mu jego kawę.

–Dzięki. Dowiedziałeś się czegoś?

–Obawiam się, że nie. Wiem tylko, że majtki nie wyglądają na wystraszonych, a to ich cyrk. Pewnie traktują to jak kolejne ćwiczenia.

Siorbnął kawę.

–Cholerny świat. Dla nas to i tak bez różnicy. Mamy tu siedzieć i dusić się w tych skorupach. Boże, jak ja tego nienawidzę.

–Może w końcu staniemy się przestarzali i puszczą nas do domu.

–Na pewno.

Przyszedł medyk i zrobił mi zastrzyk. Poczekalem do 19.50 i zwołałem do oddziału:

–Dalej! Ściągać łachy i zamknąć się w pancerzach!

Pancerz jest jak elastyczny skafander próżniowy; a przynajmniej w środku wygląda podobnie. Jednak zamiast układu wspomagającego funkcje życiowe ma rurę połączoną z górną częścią hełmu i dwie odchodzące od pięt, jak również dwie odprowadzające odchody. Pancerze leżą tuż obok siebie na lekkich kojach przeciwprzeciążeniowych; założenie takiej skorupy to jak zmęczenie kopiastego talerza zielonkawego spaghetti.

Kiedy lampki w moim hennie pokazały, że wszyscy są w pancerzach, nacisnąłem guzik i zalałem pomieszczenie. Nie widziałem go, lecz wyobrażałem sobie ten bladoniebieski roztwór – glikol etylenowy z czymś jeszcze – pieniający się wokół nas.

Materiał kombinezonu, chłodny i suchy, mocno przylegał mi do ciała. Wiedziałem, że ciśnienie mojego ciała szybko rośnie, żeby zrównać się ze wzrastającym ciśnieniem płynu na zewnątrz. Właśnie po to był tamten zastrzyk; nie pozwalał, aby komórki uległy zgnieceniu przez jasnyniebieskie morze. Jednak nadal je czuleś. Zanim mój wskaźnik pokazał „2” (czyli ciśnienie zewnętrzne równe

temu, jakie daje słup wody wysokości dwóch mil morskich), czulem, że jednocześnie jestem miażdżony i nadmuchiwany. Do 20.05 było już 2,7 i nie spadało. Kiedy o 20.10 rozpoczęto manewry, nie poczuło się żadnej różnicy: Jednak wydawało mi się, że strzałka wskaźnika lekko drgnęła.

Główną wadą takiego systemu jest oczywiście to, że ktoś zaskoczony bez pancerza, w chwili gdy „Rocznica” przechodzi na 25 g, zostanie przerobiony na dżem truskawkowy. Tak więc nawigacją i walką musi kierować komputer pokładowy – który i tak zawsze to robi, jednak lepiej jeśli nadzoruje go człowiek. Inny drobny problem to ten, że jeśli statek zostanie uszkodzony i ciśnienie spadnie, eksplodujesz jak przejrzały melon. Jeśli wzrośnie, zostaniesz zmiażdżony w ułamku mikrosekundy.

Obniżenie ciśnienia trwa mniej więcej dziesięć minut, a wypłatanie się z pancerza i włożenie ciuchów zabiera kolejne trzy. Tak więc nie jest to strój, z jakiego możesz wyskoczyć i rzucić się w wir bitwy.

Przyspieszenie zakończono o 20.38. Zapaliło się zielone światło, więc wcisnąłem guzik dehermetyzacji.

Ubiebrałem się razem z Marygay.

–Jak to się stało? – Wskazałem na purpurowy odcisk biegnący od jej prawej piersi do biodra.

–To już drugi raz – rzuciła ze złością. – Za pierwszym razem miałam go na plecach. Myślę, że pancerz nie pasuje i marszczy się.

–Może schudłaś.

–Mądrała.

Od kiedy opuściliśmy Stargate, dokładnie kontrolowano pobór kalorii przez nasze organizmy. Nie możesz użyć skafandra bojowego, jeśli nie pasuje na ciebie jak druga skóra.

Głośnik w ścianie zagłuszył resztę komentarza Marygay.

–Uwaga, do wszystkich. Uwaga. Cały wojskowy personel 6. szczebla i wyższych szczebli oraz załoga statku od 4. szczebla wzwyż zgłosi się do sali odpraw o godzinie 21.30.

Powtórzyli wiadomość dwukrotnie. Poszedłem położyć się na kilka minut, podczas gdy Marygay pokazywała swój odcisk medykowi i zbrojmistrzowi. Wcale nie byłem zazdrosny.

Komandor zaczął odprawę.

–Nie mam wiele do powiedzenia, ani żadnych dobrych wiadomości. Sześć dni temu ścigający nas taurański statek odpalił pocisk samosterujący, którego początkowe przyspieszenie było rzędu 80 g. Po jednym dniu lotu pocisk nagle przyspieszył do 148 g.

Zbiorowy jęk.

–Wczoraj jego prędkość skoczyła do 203 g. Nie muszę nikomu przypominać, że to dwukrotnie szybciej, niż rakiety wroga mogły lecieć podczas poprzedniej potyczki. Wystrzeliliśmy salwę czterech pocisków po wytyczonych przez komputer czterech najbardziej prawdopodobnych trajektoriach nieprzyjacielskiej rakiety. Jeden z nich trafił, kiedy wykonywaliśmy uniki. Uderzył i zniszczył taurański pocisk około dziesięć milionów kilometrów stąd.

Praktycznie pod naszymi drzwiami.

–Jedyną korzyścią wyniesioną z tej potyczki jest wynik analizy widmowej eksplozji. Jej siła nie różniła się od dotychczas zarejestrowanych, tak więc przynajmniej technika ich środków

wybuchowych nie nadąża za rozwojem układów napędowych. Tak po raz pierwszy objawia się niezwykle ważne zjawisko, które dotychczas interesowało wyłącznie teoretyków. Powiedz mi, żołnierzu... – Tu wskazał na Negulesco. – Ile minęło czasu od naszej pierwszej bitwy z Taurańczykami, przy Alephie?

–To zależy od czasu odniesienia, komandorze – odpowiedziała posłusznie. – Dla mnie około osiem miesięcy.

–Właśnie. Jednak w wyniku dylatacji czasu, kiedy manewrowaliśmy między kolejnymi skokami kolapsarowymi, zgubiłaś prawie dziewięć lat. Pod względem technicznym, ponieważ na pokładzie tego statku nie prowadziliśmy żadnych poważnych badań naukowych...

ten nieprzyjacielski statek nadlatuje z naszej przyszłości!

Przerwał, pozwalając tym słowom zapaść w świadomość słuchaczy.

–Im dłużej potrwa ta wojna, tym wyraźniej uwidoczní się to zjawisko. Oczywiście Taurańczycy nie dysponują żadnym lekarstwem znoszącym efekty teorii względności, która równie często będzie działać na naszą, jak i na ich korzyść. Jednak w tej chwili to my znajdujemy się w niekorzystnej sytuacji. W miarę jak taurańska jednostka zbliża się do nas, ta sytuacja jeszcze pogarsza się. Ich pociski bez trudu mogą nas doścignąć. Musimy wykonać kilka sprytnych manewrów. Kiedy znajdziemy się w odległości pięciuset milionów kilometrów od nieprzyjaciela, wszyscy wejdą do swoich panczerzy i będziemy musieli zawierzyć komputerowi pokładowemu. On pokieruje szeregiem gwałtownych zmian kierunku i szybkości.

–Nie będę owijał w bawełnę. Dopóki mają jedną rakietę więcej od nas, mogą nas załatwić. Po tej pierwszej nie wystrzelili następnych rakiet. Może chcą podejść bliżej... a może nie mają ich więcej. Jeśli tak, to dostaniemy ich.

–W każdym razie, wszyscy mają znaleźć się w pancierzach w ciągu dziesięciu minut od ogłoszenia alarmu. Kiedy będziemy tysiąc milionów kilometrów od wroga, macie stać obok waszych panczerzy. Zanim ta odległość zmniejszy się do pięciuset milionów kilometrów, będziecie w pancierzach, a przedziały przeciwciażeniowe zostaną zalane. Nie możemy na nikogo czekać. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Majorze?

–Z moimi ludźmi porozmawiam później, komandorze. Dziękuję.

–Rozejść się.

Bez tego idiotycznego „pieprz się, sir”. Ci z floty uważali, że to poniżej ich godności. Staliśmy na baczność – wszyscy oprócz Stotta – póki komandor nie opuścił sali. Potem inny majtek

powtórzył „rozejść się” i wyszliśmy.

Mój pododdział miał służbę porządkową, więc powiedziałem wszystkim, co mają robić, wyznaczyłem Tate'a na mojego zastępcę i zostawiłem ich. Poszedłem do kwatery podoficerów w poszukiwaniu towarzystwa i może jakichś informacji.

Nic się tam nie działo, więc wziąłem Rogers i poszliśmy do łóżka. Marygay znów zniknęła; miałem nadzieję, że próbowała wyciągnąć coś z Singhe'a.

3. Następnego ranka mieliśmy odprawę z majorem, który powiedział mniej więcej to samo, co komandor, tyle że innymi słowami i swoim monotonnym stacatto. Podkreślił fakt, że skoro poprawiła się zdolność bojowa taurańskich okrętów, możliwe, że tym razem okażą się groźniejszym przeciwnikiem niż poprzednio. Co prowadziło do interesujących rozważań. Podczas naszego jedyne go bezpośredniego starcia z Taurańczykami mieliśmy drugoczącą przewagę: oni jakby nie rozumieli, co się dzieje. Wobec ich wojowniczego postępowania w kosmosie oczekiwaliśmy, że będą walczyć jak Hunowie... tymczasem dali się pędzić i szlachtować jak stado owiec. Jeden z nich uciekł i zapewne opisał ziomkom, na czym polega prawdziwa wojna.

Jednak to nie oznaczało, że te wieści dotarły do załogi ścigającego nas statku. Jedyne m znane nam sposobem przesyłania informacji z szybkością przekraczającą prędkość światła jest ich przenoszenie za pomocą skoków kolapsarowych. A ponieważ nie mieliśmy pojęcia, ile takich skoków dzieliło Yod-4 od bazy Taurańczyków, ci równie dobrze mogli być owieczkami z układu AlephaJak świetnie wyszkolonymi komandosami. Dowiemy się w swoim czasie.

Razem ze zbrojmistrzem pomagałem moim ludziom przy konserwacji skafandrow bojowych, kiedy wróg zbliżył się na tysiąc milionów kilometrów i musieliśmy przejść do komory przeciwprzeciążeniowej.

Czekaliśmy prawie pięć godzin, zanim kazano nam wejść do naszych kokonów. Zagrałem partię szachów z Rabim i przegrałem. Potem Rogers przeprowadziła z plutonem zajęcia z aerobiku, chyba tylko po to, żeby przestali myśleć o czekających ich prawie czterech godzinach meczami. Dotychczas zawsze zdejmowaliśmy pancerze przed upływem najwyżej dwóch godzin.

Dziesięć minut przed tym, jak nieprzyjaciel zbliżył się na pięćset milionów kilometrów, dowódcy plutonów zapędzili swoich ludzi do pancerzy. Kiedy mój ciśnieniomierz pokazał dwa i siedem dziesiątych, znajdowaliśmy się już na łasce – lub w czułych objęciach – komputera pokładowego.

Kiedy tak leżałem, przyciskany przeciążeniem, przyszła mi do głowy głupia myśl i krążyła bez końca jak ładunek w nadprzewodniku: teoretycy wojskowości rozróżniali dwie kategorie działań wojennych – taktyczne i logistyczne. Logistyka jest wszystkim oprócz właściwej walki, która (które?) zalicza się do taktyki. Tymczasem teraz walczymy, a jednak nie mamy komputera bojowego, który pokierowałby atakiem i obroną. Tylko ogromny, superwydajny kalkulator, jakim jest logistyczny komputer pokładowy.

A inna część mojego umysłu, mniej drobiazgowa, upierała się, że nie jest istotne, jak nazwie się komputer – to i tak tylko kupa kości pamięci, układów logicznych, bramek i flag...

Jeśli zaprogramujesz go, żeby był Dżyngis-chanem, będzie komputerem bojowym, nawet jeśli zwykle służy do gry na giełdzie lub kontroluje biokonwersję ścieków.

Jednak ta pierwsza część była uparta i twierdziła, że zgodnie z takim rozumowaniem człowiek jest tylko stertą kłaków, kości oraz żylastego miecha; a jeśli dobrze go przeszkolić, można z buddyjskiego mnicha zrobić wojownika.

A zatem kim, do diabła, jesteście wy/my – i ja? – odparła druga. Miłujący pokój specjalista od spawania w próżni powołany na mocy Ustawy o Powszechnej Służbie Wojskowej i przeprogramowany na maszynę do zabijania. Ty/ja zabijałeś i lubiłeś to. Jednak tylko pod wpływem hipnozy, psychicznego uwarunkowania – spierałem się ze sobą. Już je usunęli.

A usunęli je tylko dlatego, że uznali, iż będziesz lepiej zabijał bez niego. To logiczne.

Skoro mowa o logice, podstawowe pytanie brzmiało: Dlaczego każą komputerowi logistycznemu wykonywać pracę człowieka? Albo jakoś tak...

Błysnęło zielone światelko i odruchowo nacisnąłem guzik.

Ciśnienie spadło do 1,3, zanim pojąłem, że przeżyliśmy, a zatem musieliśmy wygrać pierwsze starcie.

Miałem tylko połowiczną rację.

Staliśmy w komorze, przeciągając się i jęcząc, kiedy korytarzem chwiejnie nadszedł Bohrs. Twarz miał szarą jak popiół.

Złapałem go za ramię.

–Co się stało, Bohrs?

–Drużyna Negulesco. Wszyscy nie żyją...

–Co takiego?

Nie odpowiedział ani nie skinął głową, tylko patrzył przed siebie.

–I cały czwarty pluton: Keating, Thomas, Chu, Fruenhaus...

Dwadzieścia cztery osoby zgniecione na miazgę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

–Przynajmniej nic...

Urwałem. Zamierzałem powiedzieć, że przynajmniej nic nie poczuli, lecz kto wie, co się wtedy czuje?

–Uwaga, cała załoga. Uwaga. Personel woj skowy od szczebla szóstego wzwyż zbierze się za pięć minut w sali odpraw.

Głośnik trzeszczał przez kilka sekund, a potem przemówił inny, zmęczony głos:

–Mówi komandor. O 2.54 napotkaliśmy i zniszczyliśmy nieprzyjacielską jednostkę. O 2.52 wróg wystrzelił raketę, na spotkanie której posłaliśmy siedem pocisków samosterujących. Została zniszczona... niecałe pięćset kilometrów od „Rocznicy”, w wyniku czego liczne układy elektroniczne statku doznały... poważnych uszkodzeń. Systemy podtrzymujące życie w komorach pięć, sześć, siedem i osiem wyłączyły się przy pełnym ciśnieniu i wszyscy przebywający w nich zginęli.

Zamilkł na dłuższą chwilę.

–Jutro o 8.00 odbędą się uroczystości pogrzebowe. To wszystko.

Znowu odezwał się pierwszy głos.

–Cały personel medyczny natychmiast stawi się w izbie chorych. Cały personel techniczny natychmiast stawi się na swoich stanowiskach. Porucznik Pastori zgłosi się do izby chorych. Marygay, Ching, Rogers i ja w milczeniu ubraliśmy się i poszliśmy do sali odpraw.

Na spotkaniu wyjaśnili nam, co zaszło, mówiąc niewiele więcej, niż już wiedzieliśmy, i rozdzielili zadania w związku z pogrzebem. Mieli zająć się tym wszyscy dowódcy plutonów plus po jednej osobie z każdego oddziału. Kazałem moim losować i wypadło na Shockleya. Nie byłoby tak źle, gdyby nie ci, których pancerze popękały.

4. Byliśmy na geostacjonamej orbicie nad nie zamieszkaną stroną planetoidy w pierścieniu skalnych odłamków krążących wokół czarnej otchłani Yod-4. Po drugiej stronie tego zamrożonego kawałka żuźla taurańska baza sygnalizowała, że wie o naszej obecności, okresowo wysyłając w kierunku „Rocznicy” te bańkowate pociski. Wystarczyło trafić w nie laserem.

Ponieważ nasze plany ataku, cokolwiek były warte, wymagały czterech plutonów, zabrali z moją drużynę Chinga, a z drugiego drużynę Al-Sadata. Awansowali Chinga na młodszego sierżanta i zrobili dowódcą. W ten sposób mieliśmy cztery plutony, mniej więcej trzynastoosobowe.

Stłoczyliśmy się wszyscy w sali odpraw. Cortez wszedł i przecisnął się do podium.

–No dobra, może zechcielibyście zamknąć się na chwilę...

Cisza!

Cortez był okropnie brzydki, kiedy spotkaliśmy go przed rokiem – czy też przed dziesięciu laty! – na Charonie. Z wiekiem wcale nie wyprzystojniał: groteskowo okaleczony, łysy, ze skąpą siwą bródką i skórą przypominającą stary rzemień; silny, twardy i szybki, zawsze opanowany, inteligentny i okrutny. Walczył w dwóch ostatnich wojnach na Ziemi przed rozpadem i reorganizacją Organizacji Narodów Zjednoczonych. Był żołnierzem przeszło czterdzieści lat.

–Teraz komputer pokaże wam graficzny obraz trasy – drogi podejścia do nieprzyjacielskiej bazy.

Na jego gest wszyscy odwróciliśmy się, aby spojrzeć na holograficzny ekran na przeciwległym końcu sali. Ukazywał konwencjonalny obraz powoli wirującego globu pociętego siatką równoleżników i południków. „Rocznica” była małąpiamką w rogu ekranu.

–Stukrotnie skróciliśmy czas akcji. Teraz patrzcie.

Od „Rocznicy” oderwał się rząd światełek, które wolno opadły na powierzchnię planety, manewrując w przypadkowy, skomplikowany sposób.

–Te cztery czerwone plamki to stateczki zwiadowcze, po jednym na każdy pluton. Pozostałe – około dwudziestu białych światełek – mają odwracać uwagę wroga, tak jak ostatnio. Plan ataku był bardzo prosty. Opadniemy tuż nad powierzchnię planety po drugiej stronie nieprzyjacielskiej bazy. Tam rozejdziemy się i podejdziemy do celu z czterech różnych stron, wykonując skomplikowane, lecz skoordynowane manewry, żeby uderzyć na bazę jednocześnie. Stateczki będą zaprogramowane; żadnego ręcznego pilotowania (to niezbyt się spodobało).

–To najlepsze zdjęcie, jakie mamy.

Glob zniknął, a jego miejsce zajął hologram satelitarny.

–Po ostatnim ataku ten widok powinien być wam znajomy.

Oczywiście, teraz wiemy trochę więcej o przeznaczeniu poszczególnych obiektów.

Ruchoma strzałka przesuwiała się po kolejnych budowlach, które omawiał Cortez.

–Kwiat. Cel numer jeden; pamiętacie, to z niego wylatują bańki. Trzeba wyeliminować go przed atakiem naziemnym. Niemal równie ważne są te silosowate twory – statki. Tym razem żaden Taurańczyk nie może ujść z życiem – oprócz jeńców. Oto

cele, jakie wasze statki – i rakiety wsparcia – mają zniszczyć przed lądowaniem. Każdy statek ma dwadzieścia pocisków klasy 3 T. Atak będzie skoordynowany tak, żeby każdy statek odpalił połowę swoich rakiet naraz – w ten sposób dwieście czterdzieści głowic jednocześnie uderzy w bazę. Jeśli w wyniku tego Kwiat i statki zostaną zniszczone, natychmiast wylądujecie i przeprowadzicie atak. Jeżeli nie, statki wsparcia będą nadal wyszukiwały cele, podczas gdy wasze jednostki spróbują pozostać w jednym kawałku. Każdy statek ma również gigawatowy laser, jednak nie wiemy, czy uda się któryś wycelować tak, żeby coś nim spalić. Zobaczymy.

Potarł brodę i uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmieszkiem. –Jeśli atak powietrzny nie powiedzie się, a mam przecucie, że tak się stanie, będziemy zmuszeni podejść tam z granatnikami i laserami, żeby wykonać zadanie. Priorytety takie same: najpierw statki i Kwiat. Atak musi być błyskawiczny i zaciekły. Nie będziemy mieli więcej jak trzydzieści sekund między odpaleniem bomb a lądowaniem. Jeżeli bomby trafią w cel, ten czas skróci się do trzech sekund.

Ścisnął mównicę i niemal szeptem powiedział:

–Będę żądał absolutnego, ślepego posłuszeństwa. Przysięgam Bogu, że zabiję każdego, kto nie będzie wykonywał moich rozkazów jak automat.

–Musimy schwytać jeńca. Kiedy złapiemy jakiegoś Taurańczyka, żeby przesłuchać go i zbadać, może będziemy mogli zaniechać ataków piechoty. Może. Komandor jest przekonany, że mógłby całkowicie zniszczyć bazę bronią pokładową „Rocznicy”... jednak ja nie jestem tego taki pewien. No dobrze. Załatwimy Kwiat, statki, a potem, panowie i panie, ruszymy na polowanie. Kiedy pochwycimy żywego Taurańczyka, wezwę statki, wycofamy się, a komandor sprawdzi, czy zdoła zniszczyć bazę. Zakładając, że Taurańczycy będą siedzieli z założonymi rękami i pozwolą nam odlecieć.

Ściągnął w dół tablicę znajdującą się za jego plecami, potrząsnął nią, żeby rozproszyc ładunek, i rozpostarł na ścianie. Narysował niezgrabne koło.

–To baza – oznajmił i nakreślił szereg symboli ukazujących położenie różnych instalacji. Wyglądało to następująco:

–Ta martwa skała nie ma pola magnetycznego, tak więc wasze kompasy bezwładnościowe będą nastawione na geometryczną „północ” planetoidy. Z ustawienia bazy wynika, że Taurańczycy stosują ten sam sposób. Plutony pierwszy i czwarty wylądują około pięćset metrów na północny wschód od tego rzędu

statków. Szeregowy Herz!

–Sir?

–Otrzymacie wyrzutnię ciężkich rakiet, która była na wyposażeniu dawnego czwartego plutonu. Jak tylko wylądujecie, sprawdźcie, czy wrogowi pozostały jeszcze jakieś statki. Jeśli tak

–zniszczycie je.

–Kiedy Herz zajmie się statkami, drużyny o nieparzystych numerach z obu plutonów przebiegną sto metrów, podczas gdy drużyny o parzystych numerach zapewnią im osłonę ogniową. Potem parzyste wstaną i pobiegną, a nieparzyste osłonią je. Herz, kiedy podejdziesz na odległość strzału do Kwiatu, zniszcz go. Wskazał na dwie budowle przypominające salami.

–Po akcji przy Alephie wiemy, że to ich kwatery. Nie strzelać do nich, jeśli nie będziecie musieli. Przynajmniej dopóki nie powiem.

–Pluton drugi i trzeci robią dokładnie to samo. Kto w trzecim plutonie obsługuje wyrzutnię?

–Ja, sir.

Kapral Conte.

–Kiedy uporacie się ze statkami po swojej stronie, rozbijecie budynek z anteną. Chociaż to mało prawdopodobne, jednak gdzieś na planetoidzie mogą mieć ukryte odwody. Nie chcę, żeby wezwali je na pomoc.

–Po zniszczeniu Kwiatu pierwszy i czwarty zbierze się przy wschodnim salami; drugi i trzeci weźmie zachodnie. Nie gromadzić się; podejść na odległość skutecznego strzału, znaleźć osłonę i czekać na moje rozkazy. Pytania?

–Poruczniku – zapytałem – ten plan zakłada, że ich plan obrony jest taki sam, jak na Alephie, tymczasem Aleph był światem roślinnym, a to...

–...jest zamrożony kamień. Sierżancie, wiecie, że nie mam na to odpowiedzi. Musimy korzystać z doświadczeń Alepha. Budowle wyglądają podobnie i musimy zakładać, że pełnią podobne funkcje. Przekonamy się dopiero w czasie ataku.

–Możliwe, że największym zagrożeniem nie będą Taurańczycy, ale sama planeta. Oczywiście, Charon i Stargate to podobne światy i ćwiczyliśmy na nich setki razy... jednak nigdy w obliczu żywego, nieprzewidywalnego wroga. Wszyscy wiecie, co się stanie, kiedy wpadniecie w jezioro helu dwa lub dotkniecie zimnej skały żeberkami wymiennika ciepła. Nikt nie zawiesza działania praw fizyki po to, żebyście mogli spokojnie zająć się wrogiem. Jakoś udało mi się nie myśleć o tym zbyt wiele. Kiedy po raz drugi opuszczaliśmy Stargate, liczba ludzi zabitych w trakcie

ćwiczeń – we wszystkich oddziałach łącznie – wynosiła czterdzieści jeden osób. W kontrolowanych warunkach, kiedy setka kolegów jest gotowa rzucić wszystko i skoczyć ci na pomoc. Jednak przeważnie były to ofiary wybuchów wymiennika ciepła –w tych przypadkach nic już nie dało się zrobić.

–Dowódcy plutonów i drużyn zbiorą swoich ludzi i upewnią się, że każdy wie, co ma robić. O 19.00 przeprowadzę inspekcję. O ile nie zajdzie nic nieprzewidzianego, od tego czasu będzie obowiązywało pogotowie bojowe.

–Sir – spytała Kamehameha – czy wie pan, kiedy nastąpi ten atak?

Kogoś innego udusiłby za takie pytanie.

–Gdybym wiedział, powiedziałbym wam – odparł spokojnie. – Podejrzewam, że za kilka dni. To zależy od komputera pokładowego. Czy ktoś jeszcze chce o coś zapytać?

Cisza.

–Rozejść się.

Czas na litanię.

5. Byłem w mesie podoficerskiej, próbując skupić się na partii 0'wari z Al-Sadatem, kiedy przyszedł rozkaz. Przez ostatnie trzy dni wszyscy siedzieli jak na szpilkach.

Głośnik zatrzeszczał i Al-Sadat spojrział na niego, wypuszczając z ręki swoje kamyki. Obaj wiedzieliśmy, że gra jest skończona.

–Uwaga, cały personel. Dokładnie za godzinę rozpocznie się zaplanowana operacja. Oddziały piechoty i wsparcia stawiają się natychmiast przy swoich statkach. Uwaga, cały personel.

Dokładnie za godzinę...

Ścisnęło mnie w żołądku i wstając z krzesła, musiałem przełknąć rosnącą w gardle kulę. W ciągu dwóch dni, jakie minęły od tamtej odprawy, miałem identyczne uczucie za każdym razem, gdy zatrzeszczał głośnik. Nie był to tylko strach przed samą bitwą

–już sam w sobie paskudny – ale przerażająca niepewność całej tej sytuacji. Akcja równie dobrze mogła być spacerkiem, jak

samobójstwem lub czymkolwiek pośrednim. Razem z Al-Sadattem przebiegliśmy korytarzem i skoczyliśmy do windy, mając nadzieję wyprzedzić naszych ludzi zmierzających do statków.

Marygayjuż tam była i zakładała skafander, kiedy przechodziłem przez służbę. Przez moment ujrzałem jej białe ciało, zanim opuściła wizjer i

zapięła kombinezon. Rozebrałem się i ubrałem

swój, a kiedy to robiłem, przyszło mi do głowy, że być może po raz ostami widziałem ją żywą. Znaczyła dla mnie więcej niż ktokolwiek na pokładzie tego statku, pewnie więcej niż ktokolwiek na Ziemi, tymczasem czułem jedynie tępe, bezmyślne: „moja droga, lepiej ty

niż ja". Nienawidziłem siebie za tę myśl, jednak taka była prawda. Rury drenów weszły bez trudu, ale czujniki biometryczne nie chciały przylgnąć do mojej spoconej skóry. Jakoś udało mi się dosięgnąć bluzy munduru, nie wychodząc ze skafandra; wytarłem się nią na tyle, że elektrody z chlorku srebra wreszcie przywarły. Zanim wszystko podłączyłem, włożyłem ręce w rękawy i zapiąłem skafander, pierwszy pluton już przechodził dwójkami i trójkami przez śluzę. Gwar rozmów ucichł, pozostając jedynie stłumionym pomrukiem przenoszonym przez drgania metalowej podłogi. Wybrałem częstotliwość Marygay.

–Gotowa, kochanie?

–William? Chyba... nie, nie gotowa. Dlaczego nie mogli uprzedzić nas wcześniej? I tak byłam zdenerwowana, a takie nagle...

–Wiem. Jednak może to i lepiej, niż niepokoić się całymi dniami.

–Dobra, ruszać się, dalej, cholera!

To Cortez na ogólnym zakresie. Na pewno był też na monitorach; wszyscy ludzie zakładający skafandry obrócili głowy i spojrzeli na nie.

–Niech połączą się ze mną sierżanci Rogers i Mandella oraz kapral Potter.

Cortez zaczął sekundę po tym, jak przeszedłem na jego pasmo.

–Polecę z wami, ale pamiętaj, Rogers, że ty tu dowodzisz, i nie oczekuj ode mnie żadnej pomocy. Mam trzy inne plutony, o które muszę się martwić, a twój jest podobno najlepszy. Wy dwoje, też słuchajcie. Jeżeli Ching oberwie, jedno z was ma przejąć czwarty pluton. Najpierw Mandella, a jeśli on oberwie, to Potter. Zrozumiano?

Potwierdziłszy, tylko dlaczego, do diabła, nie powiedział nam tego wcześniej?

Przeszedł na inną częstotliwość.

–Dowódcy plutonów, zgłosić się.

Po kolei zameldowali się: Rogers, Akwasi, Bohrs, Ching.

–Dobra, przekażę wam rozkazy i możecie poinformować swoje plutony, kiedy wszyscy założą skafandry. Atakujemy o 11.31, a właściwie o 11.31 wyskakujemy nad bazą i rzucamy nasze bomby. Co oznacza, że schodzimy z orbity dokładnie za dziewięć minut i dwadzieścia sekund. Pogońcie swoich ludzi.

Nie mogłem opanować drżenia, więc przed włączeniem obwodów wspomaganego połącząłem środek uspokajający. Inaczej mógłbym sobie coś złamać. Kiedy lek zaczął działać, zażyłem tabletkę psychostymulanta, żeby tchnął w moje zwłoki trochę ducha walki, wprawił w ruch ręce i nogi, a także wprowadził mnie

na pokład stateczku zwiadowczego.

Wydawał się taki duży. Sama „Rocznica” miała dwa kilometry długości, co jednak pozostawało wielkością abstrakcyjną. Stateczek zwiadowczy był stumetrowym wrzecionem z czarnego, błyszczącego metalu, a w doku nie dało się odejść na tyle, żeby perspektywa nie deformowała opływowych kształtów, jeszcze go wydłużając.

Rogers została w miejscu zbiórki, upewniając się, że nikt nie ma kłopotów ze skafandrem czy bronią. Marygay, Cortez i ja weszliśmy na pokład, zapięliśmy pasy i – przynajmniej jeśli o mnie chodzi – usiłowaliśmy odprężyć się trochę.

Po kilku minach wszyscy byli już przypięci i czekaliśmy.

Przez ściany stateczku słyszeliśmy stłumiony, cichnący gwizd-wypuszczali powietrze z doku. Potem lekki wstrząs i przez luk na wysokości ramienia zobaczyłem, jak wsporniki i drabinki znikają w dole – byliśmy w przestrzeni. Była 10.27.

Zejście z orbity, przebiegające tak gładko i szybko podczas pokazu Corteza, okazało się istną torturą na statku wykonującym zaprogramowane uniki. Nawigator siedział w sterówce, ale wcale nie dotykał sterów.

Ślizg nad powierzchnią okazał się łatwiejszy. Jednak wróg musiał bardzo dokładnie namierzyć naszą pozycję, ponieważ laser sześć czy siedem razy otwierał ogień do baniek. Oczywiście tego nie było widać – tylko zielone migotanie trafionego krajobrazu i włosy sterczące od elektryczności statycznej.

11.30.

–Opuścić filtry. Przygotować się do rozładunku.

W obojętnym głosie Corteza usłyszałem odrobinę hamowanego entuzjazmu. On naprawdę to lubił.

Potem seria szybko następujących po sobie wstrząsów, gdy rakiety poleciały w kierunku wroga. Widziałem, jak jedna zniknęła za horyzontem i eksplodowała rozbłyskiem tak jasnym, że raził w oczy pomimo filtra. Musiała trafić w bańkę; rakiety nie mogły bronić się i wykonywać uników, tak jak stateczki.

Włączyłem różowe światełko na plecach skafandra, identyfikujące mnie jako dowódcę plutonu, i próbowałem przygotować się psychicznie na katapultowanie. Środek uspokajający nadal działał; wprawdzie strach pozostał, lecz zdawał się odległym wspomnieniem. Potwornie chciało mi się palić.

Nagle baza wyłoniła się zza horyzontu i zobaczyłem, że równina jest usłana wrakami naszych statków – nie wiadomo, które z nich były automatyczne – a Kwiat pozostał nietknięty i wypływał bańki. Dziesięć czy dwanaście statków śmigalo w różnych kierunkach. Nieprzyjacielowi pozostały jeszcze tylko dwa statki. Gwałtownie wytraciliśmy prędkość; ugięły się pode mną kolana, burta statku odjechała i zacząłem spadać na ziemię, niecałe dziesięć metrów niżej. Jeszcze byłem w powietrzu, gdy statek błysnął silnikiem i odleciał.

Trochę niezdarnie wylądowałem na czworakach i wystukałem częstotliwość oddziału.

–Pierwsza drużyna, odlicz!

–Jeden. – Tatę.

–Dwa. – Yukawa.

–Trzy. – Shockley.

–Cztery. – Hofstadter.

–Pięc. – Rabi.

–Sześć. – Mułroy.

Odezwała się Rogers:

–Mandella, ustaw swoich ludzi w szeregu; twój oddział idzie pierwszy.

–Pierwsza drużyna, szeregiem! – Już prawie ustawili się w szyku. – Shockley, jesteś za blisko Yukawy. Odsuń się o jakieś dziesięć metrów.

Podczas tych kilku sekund, jakie pozostały nam do ataku, próbowałem dociec, kto wygrywa. Trudno powiedzieć. Jeden z taurańskich statków eksplodował, ale Kwiat wciąż wysyłał bańki. Wyglądały jakby trochę inaczej – z początku myślałem, że wzrok płała mi figle, ale nagle zobaczyłem, że niektóre z nich

dosłownie toczą się po ziemi! Wystarczająco kłopot sprawiły nam przy Alephie, gdzie wystarczyło schylić się, żeby uniknąć zetknięcia z nimi. Cortez zawołał na ogólnym paśmie, żeby wszyscy uważali na te cholerne bańki, bo lecą nisko.

Wprawdzie mogli sami to wymyślić, ale bardziej prawdopodobne, że skontaktowali się z jedynym ocalałym po ataku na Alepha. Co z kolei oznaczało, że będą umieli walczyć w razie potrzeby.

Herz i drugi żołnierz odpalali w Kwiat raketę za raketą, ale bezskutecznie. Wokół było zbyt wiele szybko poruszających się baniek.

Toczyły się na nas, ale – tak samo jak na Alephie -jedno muśnięcie promieniem lasera wystarczało, żeby pękły.

Komuś udało się zniszczyć ostami statek. Przynajmniej żadnemu z obcych nie udało się uciec. A nam?

Na ogólnej częstotliwości usłyszeliśmy Corteza.

–...raport o stratach później, teraz nie mam czasu... Słuchajcie mnie, wszyscy! Nie możemy osiągnąć Kwiatu ciężką bronią. Musimy zaatakować. Szybko podbiec na odległość strzału z granatnika i oczyścić teren. Drugi pluton, czy możecie zabrać ze statku gigawatowy laser?

A więc straciliśmy co najmniej jeden stateczek.

–W porządku, dajcie spokój. Nieparzyste oddziały, naprzód!

Wstałem i zacząłem biec, a za mną reszta drużyny rozproszyła się, tworząc rozszerzone V. Wokół nas migotały lasery osłony, likwidując bańki – to dobrze; wycelowanie lasera w biegu graniczy z niemożliwością. Zazwyczaj trafia się we wszystko oprócz tego, w co się celowało.

Po trzydziestu czy czterdziestu metrach padliśmy na ziemię.

Drugi rzut doskoczył i pobiegł dalej, a my ćwiczyliśmy strzelanie do ruchomych celów.

Potem oberwał Bergman. Wbiegł na niewielkie wzniesienie, a tam była bańka, tak blisko, że jego ciało zasłoniło ją przed naszymi strzałami. Rozpaczliwie usiłował ściąć ją serią z lasera, lecz nagle dolna połowa jego ciała eksplodowała szkarłatnym deszczem i Marygay krzyknęła. Mimo tak gwałtownej dekompresji nie umarł od razu; układy wspomagania wzmocniły skurcze agonii i jego tułów w podskokach pokonał jeszcze kilka metrów. Bańka toczyła się dalej, lśniąc jasnoczerwoną poświatą, aż Tatę otrząsnął się i rozwalił ją. Byłem zaszokowany, ale odruchowo pilnowałem mojego sektora.

Drugi rzut padł, a my ponownie skoczyliśmy naprzód, usiłując

ignorować płamę ciemnoczerwonych kryształków w miejscu, gdzie zginął Bergman. Byliśmy już około czterysta metrów od Kwiatu, gdy odezwał się Cortez:

–W porządku, wszyscy zostać na swoich pozycjach. Grenadierzy, otworzyć ogień do Kwiatu. Pozostali kryć się. Niebawem nie było już żadnych baniek, które musielibyśmy niszczyć z bliskiej odległości. Ostrzeliwany z ośmiu granatników Kwiat zużywał wszystkie do obrony. Nie napotykając oporu, podeszliśmy bliżej i zaczęliśmy okładać budowlę ogniem laserów. Z tej odległości ich promień był zbyt rozproszony, ale i tak udało nam się rozbić kilka baniek. Może właśnie to przeważało szalę – cztery mikrofonowe granaty jednocześnie trafiły Kwiat, wzniesając krótkie błyski i fontanny gruzu. Bańki przestały wyskakiwać.

–Przerwać ogień, przerwać!

Ostatni granat poszybował w powietrzu i trafił w cel tuż przy ziemi, strącając jeden płatek.

–Może tam schwytamy jeńca... Pierwsze drużyny pierwszego i drugiego plutonu, skoczyć tam i rozejrzeć się.

Do licha, dlaczego my? Podczas ataku na Alephie wszyscy Taurańczycy znajdowali się w Kwiecie, chociaż później odkryliśmy, że ich kwaterami były „salami”. Ponadto wtedy atakowaliśmy z zaskoczenia; tym razem mieli sporo czasu na przygotowania. Wywołałem Tate'a.

–Tate, do diabła, jak wywołać pierwszą drużynę drugiego plutonu?

–Dwa razy w lewo, raz w prawo.

Oczywiście. Mąci mi się we łbie. Kiedy ruszyliśmy w kierunku najbliższego płatka, połączyłem się z tamtymi.

–Al-Sadat, tu Mandella. Kto idzie pierwszy?

–Jesteś starszy, Mandella. A poza tym, wygrałem w 0'wari.

–Taak. Pierdoły. Dobra. Psiakrew, nawet nie wiem, jak dostać się do tego cholerstwa. Pewnie trzeba wyciąć drzwi.

–Mandella, tu Cortez. Nie wywalaj tych drzwi, jeśli zdołasz wejść do środka, nie dehermetyzując płatka. Kiedy zdobędziemy jeńca, będziesz mógł sobie gwałcić i plądrować do woli. Ale wcześniej w białych rękawiczkach, rozumiano?

–Roger, poruczniku.

Może sami mi otworzą. To byłby ubaw.

Zdecydowałem, że prosty plan będzie najskuteczniejszy. Z trudem zbierałem myśli: byłem wystraszony i znużony. Połknąłem jeszcze jedną tabletkę stymulującą, wiedząc, że zapłacę za to po kilku godzinach. Jednak za kilka godzin albo będę już na statku,

albo nieżywy.

–Al-Sadat, schowaj się ze swoimi ludźmi, dopóki nie wej-
dziemy do środka, potem idź za nami.

–Roger.

Przeszedłem na pasmo mojej drużyny.

–Tatę, Yukawa, Shockley, chodźcie ze mną... nie, Tatę, ty zostań, na wszelki
wypadek, a reszta rozstawić się półkolem

dziesięć metrów od wejścia. I, na rany boskie, nie strzelajcie na
oślepie!

Kiedy zajmowali stanowiska, podszedłem z Yukawą i Sho-
ckleyem do wejścia. Niewątpliwie były to drzwi, niskie i szerokie,
z małym czerwonym kółkiem namalowanym na samym środku,
bez okien i jakichkolwiek uchwytów. Zupełnie nie przypominały
naszych skomplikowanych śluz powietrznych.

–Może wystarczy dotknąć tego czerwonego kółka, sierżancie?

To Shockley, który – teoretycznie – był najmniej niezbęd-
nym członkiem drużyny. A także sprytnym; teraz wyszedłbym na
głupca, gdybym kazał jemu to zrobić.

Sprawdziłem, że wszyscy są na pozycjach, i nacisnąłem kół-
ko. Drzwi rozsunęły się.

Żadnej komory powietrznej. Tylko długi, dobrze oświetlony
korytarz, wypełniony próżnią i chłodem. Mnóstwo podobnych
drzwi po obu stronach. Z niemiłym wrażeniem, że to pułapka,
wszedłem do środka.

–Drużyna, za mną! – rzuciłem i zmieniłem pasmo. –
Al-Sadat?

–Idę.

–Zostaw przy drzwiach swojego zastępcę i Tate'a.

–Mam lepszy pomysł: może pošlę ją do ciebie i...

–Daj spokój, Al. Tu jest cudownie. Miło. Mnóstwo taurań-
skich tancerek.

Cortez:

–Może skończycie z tymi bzdurami i złapiecie mi jeńca?

Kiedy cała nasza trzynastka weszła do korytarza, pchnąłem
pierwsze drzwi, które odsunęły się. Ukazały oświetloną łagod-
nym światłem kajutę, pustą, jeśli nie liczyć siatkowego hamaka
i czegoś stojącego w rogu, co wyglądało jak abstrakcyjna rzeźba.
Opisałem ją Cortezowi.

–W porządku. Zostawcie to i idźcie dalej.

Następna kajuta, jak również wszystkie pozostałe po obu
stronach korytarza, wyglądały dokładnie tak samo. Uznałbym je
za kwatery Taurańczyków, tyle że w niczym nie przypominały
zbiorowych sal, jakie znaleźliśmy wewnątrz „salami” na Alepie.

Na Alephie Kwiat był pełen skomplikowanej maszynologii. Ostrożnie doszliśmy do końca korytarza. Tutaj korytarze wszystkich płatków zbiegały się, tworząc dużą, owalną salę. Na jej środku stała pionowa, metalowa rura grubości dwóch metrów, połączona z generatorem baniek. W sali leżał gruz, a rura była lekko przechylona.

–Al, prowadź swoich ludzi lewą stroną. Ja pójdę prawą.

Przejdziemy dalej i zobaczymy, co będzie.

Rozstawiliśmy się po obu stronach wylotu korytarza i czekaliśmy, czy coś się wydarzy. Nic. Postanowiłem przyspieszyć bieg wypadków, strzelając z granatnika w jeden z tuneli. Rabi był dobrze ustawiony.

–Rabi...

Nie dokończyłem, bo nagle wszyscy znaleźliśmy się metr nad ziemią i nadal powoli wznosiliśmy się w górę.

–Co, do licha... Mandella!

–Zamknij się, Al. Do wszystkich! Przygotować się do otwarcia ognia. Spalimy to wszystko, jeśli...

–Co się tam dzieje, do cholery?

Cortez.

–Unosimy się. – To trochę słabo powiedziane. – Lecimy w górę. Pod ich kontrolą.

Cortez milczał przez moment.

–Och... w porządku. Róbcie, co będzie trzeba, żeby się obronić. Jednak pamiętajcie, że potrzebuję jeńca. Złapiemy jednego i możemy wracać do domu.

Dolecieliśmy do pierwszego piętra i zatrzymaliśmy się. Wszyscy przeskoczyli na pozbawiony balustrady balkon. Na tej kondygnacji był tylko jeden korytarz. Podeszedłem do wylotu.

–Hofstadter, Rabi, chodźcie ze mną.

Przeszliśmy około dziesięciu metrów do znajdujących się na końcu drzwi, identycznych jak te na dole.

hamaka i rzeźby były tam rzędy czegoś, co wyglądało jak szafy biblioteczne, pokryte zachodzącymi na siebie metalowymi gontami. Każdy rząd miał inny odcień błękitu. Na końcu jednego szeregu szafek stał Taurańczyk i patrzył na nas.

Nerwowo poruszał rękami, których dłonie miały zbyt wiele palców. Poczulem mieszaninę odrazy i litości na widok jego rozdętego/chudego, klepsydrowatego, pomarańczowego ciała o szerokich barach i groteskowo wiotkich kończynach – widziałem ich zbyt wiele pociętych i zwęglonych podczas masakry na Alephie -jednak chociaż chodzili na dwóch nogach, nie byli ludźmi. Już bliższą krewną byłaby czapla.

–Miej go na oku, Tatę.

Przeszedłem między rzędami szaf, sprawdzając, czy nie ma tu innych. Pokój miał kształt wielkiego pączka. Nie byłem w podobnym pomieszczeniu na Alephie, ale Fruenhauf opisał mi je dość dokładnie. Najwidoczniej tutaj znajdował się ich komputer. Według ostatniego raportu – chociaż należało pamiętać o tym, że było to przed dziesięciu laty -jeszcze nie odkryto zasady jego działania. Poza tym jednym Taurańczykiem w pokoju nie było nikogo. Zameldowałem o tym Cortezowi.

–Dobrze. Zostań tam z trzema innymi i pilnujcie go. Pozostałych przyślij tutaj; będziemy atakować dalej i zajmiemy oba salami. Oni muszą tam być.

–O ile już nie uciekli, sir.

–Racja. Jakmyślicie, sierżancie, w jaki sposób mogli uciec?

Przekaznikiem materii? Załatwiłszy wszystkie ich statki.

Możliwe, pomyślałem. Może mieli gdzieś w komórce przekaznik materii, tylko dotychczas nie wpadli na to, żeby go użyć.

–Zatrzymam Tate'a, Mułroya i Hofstadtera. Popilnujemy tego...jeńca. Sierżancie Al-Sadat...-Urwałem. Zbyt po wojskowemu. – Al, obejmiesz dowodzenie nad resztą. Sprowadź ich na dół i dołącz do plutonów.

–Jasne, Mandella. Tylko jak, do diabła, mamy stąd zejść?

–Mam linę, sierżancie – powiedziała Wiley, nasz saper.

Jakoś nikt nie mówił o niej „nasza saperka”.

Wyszli, a my otoczyliśmy Taurańczyka. Jego złożone oczy nie śledziły Tatę'a i Mułroya, kiedy stanęli za nim; po prostu patrzyły przed siebie, obojętne lub przerażone. Mydlana bańka utrzymująca odpowiednią atmosferę lekko lśniła w świetle zdającym się padać równomiernie z sufitu, podłogi i ścian.

Wzdłuż zewnętrznej ściany biegła wysoka na metr wstęga okna. Widziałem, jak Cortez z dwoma plutonami zajmują pozycje wokół wschodniego salami. Przyszło mi do głowy, że właśnie na to, a nie na nas, patrzył Taurańczyk. Włączyłem ogólne pasmo i ustawiłem się tak, żeby móc jednocześnie obserwować Taurańczyka i salami.

Al-Sadat i jego ludzie właśnie opuścili Kwiat i podążali do Corteza, kiedy wszystko wydarzyło się naraz.

Odległy koniec salami otworzył się i wypadli stamtąd Taurańczycy – całe ich setki. I otworzyli ogień.

Każdy z nich trzymał pudło niezwykle podobne do walizki – z rączką, zatraskami i tak dalej – oraz połączoną z nią giętką rurę. Posługiwali się nią jak laserem, omiatając pole przed sobą. Nasze lasery przerzedziły ich szeregi. Gdyby pozostali sku-

pieni, zostaliby wybici w ciągu kilku sekund. Jednak szybko rozproszyli się i ukryli za nierównościami terenu lub zabudowaniami. Jeden błysk lasera rozbijał chroniące ich bańki, jednak ze zgrozą zobaczyłem, że ich broń była równie skuteczna. Na równinie leżały ciała mężczyzn i kobiet, wijących się i podrygujących we wzmocnionych przez układy wspomaganie drgawkach agonii, umierających zbyt wolno. Cortez wrzeszczał:

–Wybierać cel i trafiać! Nie przestawać strzelać, dopóki go nie traficie! Grenadierzy, strzelać! Drugi pluton i trzeci, kto tam dowodzi, do jasnej cholery?! Akwasi! Bohrs! Meldować! Odwróciłem się i spojrzałem na odległe, zachodnie salami. Nie ulegało wątpliwości, że tam było tak samo.

–Busia! Maxwell! Kto tam dowodzi?

–Tu Busia, poruczniku. Nie wiem, może ja. Nie mogę połączyć się z Akwasi ani z Bohrsem. Ja... aaa!

Urwany krzyk i koniec transmisji.

–Drugi i trzeci pluton, słuchajcie. Macie przewagę uzbrojenia, więc wykorzystajcie ją. Każdy ma wybrać cel. Nie odpuszczać, póki go nie zabijecie! Zwyciężaliśmy i tutaj też zwyciężymy! Herz! Conte! Zniszczcie te pieprzone salami, w środku może ich być więcej.

Dwie rakiety zmieniły zachodnie salami w stertę gruzu. Wschodnie nadal stało.

–Poruczniku, tu Ching. Herz nie żyje.

–To sam zajmij się wyrzutnią. Niech to... szlag!

–Mówi Luthuli, mam ją.

Pierwsza rakietka poszła za nisko, wywalając wielki krater przed budynkiem. Druga odstrzeliła zaokrąglony koniec, a trzecia trafiła w sam środek, niszcząc budowlę.

Wystukałem częstotliwość Marygay.

–Marygay, tu Mandella. Nic ci nie jest?

Cisza.

–Nic ci nie jest?

Cortez warknął na ogólnym zakresie.

–Do licha, skończcie z prywatnymi pogaduszkami, jeszcze nie wygraliśmy. To dotyczy i was, widzów. Luthuli, uważaj, na prawo! Dobrze!

Taurańczyk wciąż patrzył na to beznamiętnie.

Na wschodzie doliczyłem się tylko sześciu żywych Taurańczyków, a jeden z nich został załatwiony, nim skończyłem liczyć. Nastawiłem powiększenie wizjera na dwadzieścia razy dwa i popatrzyłem na zachód, jednak z tej odległości trudno było ocenić sytuację. Walka trwała nadal.

–Dobra, po wszystkim – ryknął Cortez. – Teraz za mną, pomóżmy drugiemu i trzeciemu.

Resztki pierwszego i drugiego plutonu pobiegły równiną za Cortezem. Zostawili za sobą dziesięć nieruchomych postaci. Jedną z nich była Marygay.

Otępiały, wycelowałem laser w Taurańczyka. Jednak nie mogłem wzniecić w sobie nienawiści do tego stworzenia. Próbowałem znienawidzić Corteza, ale i tego nie zdołałem. To było tak, jakbyśmy wszyscy padli ofiarami klęski żywiołowej, za którą trudno winić kogokolwiek i cokolwiek oprócz sił przyrody.

Bitwa na zachodzie skończyła się, zanim Cortez dobiegł tam ze swoimi ludźmi. Stracili dwunastu. Cortez wezwał statki. Spodziewałem się, że jeśli mamy mieć jakieś kłopoty z Taurańczykiem, to właśnie teraz, kiedy spróbujemy wyprowadzić go z budynku i przetransportować na statek. Jednak zdawał się rozumieć nasze gesty i poszedł spokojnie. Urządzenie, które uniosło nas na wysokość pierwszego piętra, działało w obie strony; idąc w ślady jeńca, po prostu zeszliśmy z balkonu i powoli opadliśmy na parter.

Bez protestu poszedł na statek i zdawał się wiedzieć, czym jest koja przeciwprzeciążeniowa. Usiłowaliśmy go przypiąć, ale pas otoczył tylko jego bańkę. Pilot powiedział, że to nic nie szkodzi; i tak poleciał ostrożnie, nie wiedząc, jak Taurańczyk zniesie przeciążenie. Dziwiło nas, dlaczego Taurańczyk był taki posłuszny. Przyszło mi do głowy, że może to podstęp; żywa bomba, która wejdzie na pokład „Rocznicy” i eksploduje. Ktoś również o tym pomyślał, ponieważ przy wejściu na statek stał przenośny fluoroskop. Nie wykazał niczego szczególnego.

Zważywszy na okoliczności, „Rocznica” była wyjątkowo dobrze przygotowana na przyjęcie taurańskiego jeńca. Mieliśmy specjalny „areszt”, w którym utrzymywano atmosferę, jaką zastaliśmy w salami na Alephie, oraz skrzynię pojemników z żywnością z tego samego źródła. Przekazaliśmy Taurańczyka ksenobiologom i poszliśmy odpocząć.

Na Yod-4 przyleciało nas siedemdziesiąt cztery osoby, a odlatywało, według moich obliczeń, dwadzieścia siedem. Jeszcze nie podali wysokości strat. Jednak brakowało mi wielu znajomych twarzy. Musiałem dowiedzieć się, prędzej czy później, więc poszedłem do Corteza. Zastukałem do drzwi jego kabiny.

–Kto tam? – burknął.

–Sierżant Mandella, sir.

–W porządku. Wejść.

Siedział naswojej spartańskiej pryczy, trzymając w obu dłoniach kubek do kawy.

**Pod nogami miał butelkę z resztkami płynu,
w którym rozpoznałem samogon pędzony przez porucznika Boka.**

–No?

**–Sir, chciałem... muszę to wiedzieć... jak umarła Marygay.
Przez chwilę patrzył na mnie bez wyrazu. Potem pociągnął łyk
i prychnął:**

–Kapral Potter nie zginęła.

–Nie zginęła! Została... ranna?

–Nie. Nie ma rannych. Żaden z rannych nie przeżył.

–A zatem... sir? Co się stało?

**–Katatonia. – Nalał sobie bimbru do kubka, zakręcił pływem, popatrzył nań i powąchał. – Nie wiem dokładnie, co zaszło.
Nic mnie to nie obchodzi. Ona jest w izbie chorych. Możesz zapytać porucznika Pastori.**

Przeżyła!

–Dziękuję, sir! – odwróciłem się, żeby wyjść.

–Sierżancie.

–Sir?

–Nie róbcie sobie nadziei. W zależności od diagnozy porucznika Pastori, kapral Potter może jeszcze stanąć przed sądem polowym. Za tchórzostwo na polu walki jest tylko jedna kara.

–Tak jest, sir.

Nawet to nie przyćmiło uczucia szczęścia i ulgi.

–Możecie odejść.

W połowie korytarza spotkałem Kamehamehę. Miała na sobie czysty mundur, a nawet odrobinę makijażu – Bóg wie, skąd wzięła kosmetyki. Zasalutowałem jej, mrugnąłem okiem i szepnąłem:

–Tak trzymać, kapralu.

6. W poczekalni izby chorych jedyną osobą poza mną był chorąży Singhe.

–Dobry wieczór, chorąży.

–To zależy, sierżancie. Siadaj.

Usiadłem.

–Wie pan coś?

–O kapral Potter? Nie.

Podszedłem do tablicy ogłoszeń i przeczytałem pół tuzina nie do mnie kierowanych komunikatów. Wreszcie wyszedł Pastori. Singhe poderwał się, ale ja dopadłem go pierwszy.

–Doktorze, co z kapral Potter?

–A kim pan jest, żebym miał zdawać panu sprawozdanie?

–Hmm... sir, jestem sierżant Mandella, z jej plutonu.

–Wypełnia pan rozkaz porucznika Corteza? – spytał z le-dwie uchwytnym sarkazmem. Wiedział, kim jestem.

–Nie, hmm... sir, to czysto osobiste zainteresowanie. Chętnie zdam raport por...

–Nie – potrząsnął głową. – Sam zajmę się formalnościami. Mój pomocnik ma za dużo czasu. Siadajcie. A pan kim jest, chorąży?

–Ja też przyszedłem z pobudek osobistych.

–No, no. Moja pacjentka musiała mieć wiele czaru. Nadal ma – dodał szybko. – Nie musicie się o to martwić. To dość zwykły przypadek wśród żołnierzy; od czasu Alepha leczyłem kilka tuzinów takich przypadków. Bardzo dobrze poddają się hipnoterapii.

–Zmęczenie bitewne? – zapytał Singhe.

–To delikatne określenie. Innym jest „neurastenia”. Sądzę, że major nazwałby to tchórzostwem.

Przypomniałem sobie, co powiedział Cortez, i dreszcz strachu przebiegł mi po plecach i karku.

–W przypadku kapral Potter – mówił dalej – jest to zupełnie zrozumiałe. Pod hipnozą wydobyłem z niej szczegóły wydarzeń. Kiedy Taurańczycy zaatakowali, ona jako jedna z pierwszych zobaczyła, jak wychodzą z budynku. Natychmiast upadła na ziemię, ale kilku żołnierzy z jej oddziału nie zdążyło tego zrobić. Zostali trafieni pierwszymi strzałami wroga. Zginęli okropną śmiercią, a ona nie potrafiła uporać się z tym; uważała, że jest w pewnym stopniu odpowiedzialna, zarówno jako dowódca oddziału, jak i dlatego, że ich nie ostrzegła. Prawdę mówiąc, wątpię, czy miałyby na to czas. Podejrzewam również, że ma poczucie winy tylko dlatego, że przeżyła, a oni zginęli. W każdym razie doznała szoku i zapadła w trans. Cywil i laik powiedziałby, że doznała głębokiego załamania nerwowego.

To nie brzmiało zbyt dobrze.

–A zatem, doktorze... jakie będzie pańskie orzeczenie?

–Orzeczenie?

–Dla sądu polowego, sir.

–Co takiego? Oni naprawdę mówią o sądzie? Za tchórzostwo? Skinąłem głową.

–To śmieszne. Normalna reakcja na nieznośną sytuację. To przypadek medyczny, nie sądowy.

Sądzę, że ulga była wyraźnie widoczna na mojej twarzy.

–Jednak lepiej tego nie rozgłaszać. Major Stott to dobry żołnierz, jednak wiem, że uważa, iż dyscyplina w oddziale osłabła, więc szuka kozła ofiarnego. Gadanie wcale jej nie pomoże. Czekać na mój raport. To dotyczy również pana, chorąży. Macie mówić, że nie widzieliście jej; nic nie wiecie oprócz tego, że odpoczywa po przejściach...

–Kiedy będę... – Chorąży zerknął na mnie. – Kiedy będziemy mogli ją zobaczyć?

Lekarz potrząsnął głową.

–Nie przez najbliższy tydzień, może dwa. Zamierzam... Nie da się tego wyjaśnić, nie używając medycznych terminów. Chodzi o to, żeby spojrzała na te wydarzenia racjonalnie, w pełni świadoma, co... jaka część jej psychiki kazała jej zareagować tak, a nie inaczej. W tym celu muszę sprawić, aby cofnęła się do dzieciństwa i ponownie dorosła, przez cały czas wskazując fakty, jakie wpłynęły na jej zachowanie. To standardowa technika, skuteczna w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

Wymieniliśmy uprzejmości i wyszliśmy.

Mógłbym spać przez całą dobę – reakcja po tabletkach stymulujących – jednak ogłoszono zbiórkę całego personelu po kolacji. Nie poszedłem na kolację i poprosiłem Tate'a, żeby mnie obudził. Kiedy wszedłem do jadalni, wszyscy siedzieli w jednym rogu; puste krzesła były jak nagrobki. Ta myśl uderzyła mnie z pełną siłą: opuściliśmy centrum szkolenia w Missouri jako stuosobowy oddział i po drodze dobraliśmy dwudziestu żołnierzy. A teraz ta grupka niedobitków.

Usiadłem i słuchałem rozmów, nie przyłączając się do nich.

Przeważnie dotyczyły powrotu do domu; o ile świat zmienił się w czasie minionych dwudziestu lat, czy trzeba będzie douczać się, żeby znaleźć pracę... Alexandrov przypominał, że będzie na nas czekać żołd za dwadzieścia lat – co wzbudziło ożywione zainteresowanie. Plus emerytura. Może nigdy już nie będziemy musieli pracować. Nikt nie wspomniał o ponownym zaciągnięciu się. Nikt nie wspomniał o tym, że może nie pozwolą nam odejść. Przelot dwudziestu siedmiu ludzi ze Stargate na Ziemię jest bardzo kosztowny.

Wszedł Stott, a kiedy zaczęliśmy wstawać, rzucił:

–Siadać.

Spojrzał na nieliczną grupkę i po jego ponurym wyrazie twarzy poznałem, że myślał to samo, co ja. Podszedł i stanął przed nami.

–Nie jestem wierzący – zachrypiał, – Jeśli jest ktoś, kto chciałby odmówić modlitwę lub wygłosić przemowę, niech zrobi to teraz.

Zapadła długa cisza.

–Bardzo dobrze. – Sięgnął za pazuchę i wyjął małe plastikowe pudełko.

–Oczywiście, normalnie palenie na pokładzie „Rocznicy” jest zakazane. Jednak uzgodniłem to z personelem technicznym.

Otworzył pudełko, w którym było pełno fabrycznie konfekcjonowanych skrętów. Ostrożnie położył. Zastanawiałem się, od jak dawna je miał.

Podszedł do drzwi, bardzo sztywno i bez zwykłej energii, po czym przystanął. Nie patrząc na nas, powiedział, prawie do siebie: –Walczyliście dobrze.

Potem odszedł.

Po roku abstynencji i pod wpływem zmęczenia marihuana ścięła mnie z nóg. Wypaliłem pół skręta i zasnąłem na krześle. Nic mi się nie śniło.

Po tygodniu oczekiwania, aż naukowcy zbadają bazę, przelecieliśmy przez Yod-4 i wyskoczyliśmy z Tet-38. Wykonaliśmy wokół Tet-38 krąg długości jednej czwartej roku świetlnego, wchodząc na pozycję do skoku na Sade-20, a stamtąd na Stargate. Podczas tej długiej pętli po raz pierwszy pozwolono nam zobaczyć Marygay.

Leżała w łóżku -jedyna pacjentka izby chorych. Wyglądała mizernie – chyba bardzo schudła. Nie będzie mogła założyć skafandra bojowego, pomyślałem głupio.

Przez godzinę siedziałem przy jej łóżku patrząc, jak śpi.

Chorąży Singhe przyszedł, kiwnął mi głową i znów wyszedł.

Chwilę później otworzyła oczy. Przez dłuższy czas patrzyła na mnie bez wyrazu, a potem uśmiechnęła się.

–Czy to oznacza, że jestem zdrowa, Williamie?

–W każdym razie zdrowsza.

–Tak myślałam. Ta terapia... przeniósł mnie z powrotem w czasy dzieciństwa i kazał dorastać. Wczoraj wreszcie doszliśmy do terażniejszości. Przynajmniej myślę, że to terażniejszość...

Williamie, ile ja mam lat?

–Według czasu pokładowego chyba dwadzieścia dwa.

Skinęła głową, nie unosząc jej z poduszki.

–Zastanawiam się, który rok jest teraz na Ziemi.

–Ostatnio mówili, że będzie 2017, kiedy dolecimy do Stargate, Zachichotała.

–Będę damą w średnim wieku.

–Dla mnie nigdy nie będziesz damą – powiedziałem i poklepałem japo nagim ramieniu.

–To mi przypomina – powiedziała konspiracyjnym szeptem – że jestem strasznie napalona.

–Chcesz powiedzieć, że to nie wchodziło w zakres leczenia?

–Nie.

–I czego ode mnie oczekujesz?

–To oczywiste. Albo możesz zawołać chorążego Singhe.

–Tutaj? A jeśli wejdzie Pastori?

–To będzie robił notatki. Nie można zaszokować psychiatry. Jedyną przyjemną właściwością tych powiewnych tunik jest to, że można je zrzucić w mgnieniu oka.

7. Raport Pastoriego uratował Marygay od sądu polowego. Następne siedem miesięcy minęło spokojnie, w drodze z Tet-38 na Sade-20 i Stargate. Nadal mieliśmy regularnie zajęcia aerobiku i inspekcje, chociaż nawet Stott musiał wiedzieć, że nikt z nas nie zamierzał pozostać w armii; nikt z nas nie chciał więcej walczyć. To uporczywe utrzymywanie wojskowego drylu trochę mnie niepokoiło. Pomyślałem, że to może oznaczać, iż nie zamierzają wypuścić nas do cywila.

Chociaż bardziej prawdopodobne, że był to najłatwiejszy sposób utrzymania dyscypliny na statku.

Taurański jeniec umarł dwa dni po schwytaniu. O ile można powiedzieć, nie było to samobójstwo; wydawał się współpracować z ksenobiologami – może sam nim był – ale dowiedzieli się bardzo niewiele, patrząc, jak umiera. Sekcja wykazała, że był kompletnie odwodniony, chociaż dostarczaliśmy mu dużo wody. Z jakiegoś powodu po prostu jej nie przyswajał.

Wraz z jego śmiercią zniknął jedyny powód, dla którego lądowaliśmy na planecie, zamiast zbombardować ich bazę z bezpiecznej orbity.

Podróż trochę się przeciągnęła, tak więc kiedy przybyliśmy na Stargate, był rok 2019.

W ciągu minionych dwunastu lat Stargate zdumiewająco się rozrosła. Baza była jednym budynkiem wielkości Tycho City, mieszczącym około dziesięciu tysięcy ludzi. Obsadzone przez Taurańczyków planety przejść atakowało siedemdziesiąt osiem okrętów wielkości „Rocznicy” lub większych. Kolejne dziesięć strzegło samej Stargate, a dwa czekały na orbicie na obsadzenie przez załogę. Jeszcze jeden statek „Nadzieja Ziemi II” wrócił z walki podczas naszej nieobecności. Im także nie udało się przywieźć żywego Taurańczyka.

Wylądowaliśmy na dwóch stateczkach.

General Botsford (który był tylko majorem, kiedy spotkaliśmy go po raz pierwszy, gdy Stargate składała się z dwóch baraków i dwudziestu czterech grobów) przyjął nas w elegancko umeblowanej sali wykładowej. Przechadzał się tam i z powrotem na jej końcu, przed olbrzymią holograficzną mapą operacyjną.

–Wiecie – zaczął zbyt głośno i zaraz ściszył głos -wiecie, że moglibyśmy rozproszyć was po innych oddziałach i natychmiast wysłać was ponownie. Ustawa o powszechnym obowiązku

służby wojskowej została zmieniona i obowiązują was nie dwa lata służby, ale pięć. I nie rozumiem, dlaczego niektórzy z was nie chcą pozostać w wojsku! Jeszcze parę lat i nagromadzony kapitał pozwoli wam na finansową niezależność do końca życia. Oczywiście, ponieśliście ciężkie straty -jednak to było nieuniknione, byliście pierwsi. Teraz będzie łatwiej. Skafandry bojowe zostały ulepszone, lepiej znamy taktykę Taurańczyków, nasze wypadki są skuteczniejsze... nie ma powodu do obaw.

Usiadł za stołem, nie patrząc na nikogo.

–Moje własne wspomnienia wojenne datują się sprzed pięćdziesięciu lat. Dla mnie było to wspaniałe, podnoszące na duchu przeżycie. Chyba byłem innym typem człowieka niż wy.

Albo masz bardzo wybiórczą pamięć, pomyślałem.

–Jednak to nie ma nic do rzeczy. Mogę wam zaproponować jedną alternatywę nie wiążącą się z bezpośrednią walką. Mamy bardzo niewielu doświadczonych instruktorów. Armia proponuje stopień porucznika każdemu, kto zgodzi się szkolić innych. Może na Ziemi; może – za podwójną gażą – na Księżycu; za potrójną na Charonie, albo za poczwórną tu, na Stargate. Co więcej, nie musicie decydować od razu. Wszyscy macie darmowy przelot na Ziemię – zazdroszczę wam, ja nie byłem tam od piętnastu lat i pewnie nigdy nie będę – gdzie znowu możecie poczuć się cywilami. Jeśli nie spodoba wam się, po prostu poszukajcie pierwszego lepszego posterunku Sił Zbrojnych, a wyjdziecie z niego oficerami. Sami wybierzecie sobie przydział.

–Niektórzy z was uśmiechają się. Sądzę, że powinniście poczekać z wydawaniem opinii. Ziemia nie jest już tą, jaką opuściliście.

Wyjął z kieszeni bluzy jakąś kartkę i spojrzał na nią z uśmiechem.

–Większości z was należą się kwoty rzędu czterystu tysięcy dolarów zaległego żołdu z odsetkami. Jednak Ziemia prowadzi wojnę i – oczywiście – to mieszkańcy Ziemi ją finansują. Wasz żołąd jest obciążony dziewięćdziesięcioprocentowym podatkiem dochodowym; trzydzieści dwa tysiące dolarów powinny wam wystarczyć na trzy lata oszczędnego życia. W końcu będziecie musieli podjąć jakąś pracę, a tylko tę umiecie wykonywać. A miejsc pracy nie ma. Ziemia liczy dziewięć miliardów mieszkańców, z czego pięć czy sześć miliardów to bezrobotni. Ponadto pamiętajcie, że wasi dawni przyjaciele i sympatie są teraz o dwadzieścia jeden lat starsi od was. Wielu waszych krewnych pomarło. Myślę, że będziecie tam samotni. Aby jednak powiedzieć wam coś o tym świecie, przekażę was kapitanowi Siri, który właśnie

powrócił z Ziemi. Kapitanie?

–Dziękuję, generale.

Wydawało mi się, że coś jest nie tak z jego skórą i twarzą; nagle pojąłem, że facet jest uszminkowany i uróżowany. Paznokcie miał starannie opiłowane i pomalowane.

–Nie wiem, od czego zacząć – rzekł, przygryzając górną wargę i marszcząc brwi. – Wszystko tak bardzo zmieniło się, od kiedy byłem chłopcem. Mam dwadzieścia trzy lata i nosiłem pieluchy, kiedy wy ruszaliście na Alepha... Na początek, ilu macie wśród was homoseksualistów?

Nikt się nie zgłosił.

–To mnie nie dziwi. Ja, rzecz jasna, jestem homoseksualista. Tak jak chyba jedna trzecia ludności Europy i Ameryki.

Większość rządów zachęca do homoseksualizmu – Organizacja Narodów Zjednoczonych jest neutralna, pozostawiając to w gestii poszczególnych krajów, które popierają gejów głównie dlatego, że to jedyny pewny sposób kontroli narodzin.

To wydawało mi się dość niezwykle. Nasza wojskowa metoda kontroli narodzin jest absolutnie pewna; każdy mężczyzna składa depozyt w banku spermy, a potem poddaje się sterylizacji.

–Jak powiedział generał, liczebność ziemskiej populacji przekroczyła dziewięć miliardów. To przeszło dwukrotnie więcej niż wtedy, kiedy zostaliście powołani. I przeszło dwie trzecie tych ludzi po skończeniu szkół idzie na zasilek. A mówiąc o szkołach, ile lat trwał cykl nauczania za waszych czasów?

Patrzył na mnie, więc mu odpowiedziałem.

–Czternaście.

Skinął głową.

–Teraz trwa osiemnaście. I więcej, jeśli ktoś nie zda egzaminów. A zgodnie z prawem trzeba zdać egzaminy, aby móc podjąć jakąkolwiek pracę Klasy A albo pobierać zasilek. I wierzcie mi, z pracy poniżej Klasy A naprawdę trudno wyżyć. Tak? Hofstadter podniósł rękę.

–Sir, czy w każdym kraju obowiązuje osiemnaście lat nauki? Skąd wzięli tyle szkół?

–Och, większość ludzi ostatnie pięć czy sześć lat uczy się w domu lub w ośrodku kultury, przed ekranami holowizorów. ONZ ma pięćdziesiąt kanałów informacyjnych, przekazujących wiadomości przez całą dobę. Jednak większość z was nie musi się tym martwić. Jeżeli jesteście w armii, już wygraliście.

Typowo kobiecym gestem odgarnął włosy z czoła i wydał wargi.

–Pozwólcie, że udzielę wam lekcji historii. Przypomnę, że

pierwszym naprawdę ważnym wydarzeniem po waszym odlocie była Wojna Kartkowa. Był rok 2007. Wiele rzeczy wydarzyło się jednocześnie. Plaga szarańczy w Ameryce Północnej, zaraza upraw ryżu od Birmy po wybrzeże Morza Południowochińskiego, śnieć zbożowa na zachodnim brzegu Ameryki Południowej; nagle nie wystarczało żywności dla wszystkich. ONZ wkroczyło i zaczęło racjonować żywność. Każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko otrzymali kartki żywnościowe, przydzielające określoną liczbę kalorii na miesiąc. Jeśli któreś wykorzystało miesięczny przydział, do końca miesiąca chodziło głodne.

Kilka osób, które doszło do nas od czasu Alepha, używało jako zaimków osobowych „któryś, któraś, któreś” zamiast „on, ona, ono”. Zastanawiałem się, czy to powszechnie przyjęte.

–Oczywiście powstał czarny rynek i niebawem doszło do znacznych różnic w ilości pożywienia spożywanego przez różne klasy społeczne. Ekwadorska organizacja terrorystyczna Impartiales zaczęła systematycznie mordować ludzi wyglądających na dobrze odżywionych. Ten pomysł bardzo szybko znalazł naśladowców i po kilku miesiącach na całym świecie toczyła się nie wypowiedziana wojna klas. Organizacja Narodów Zjednoczonych zdołała opanować sytuację po około roku, przy czym do tego czasu populacja Ziemi skurczyła się do czterech miliardów, zebrano większe plony i kryzys żywnościowy skończył się. Nadal racjonowano żywność, jednak już nie tak ściśle jak przedtem.

–Nawiasem mówiąc, generał wyłącznie w celach pogładowych przeliczył wasze oszczędności na dolary. Na świecie jest teraz tylko jedna waluta – kalorie. Wasze trzydzieści dwa tysiące dolarów to około trzy tysiące milionów kalorii. Albo trzy miliony kilokalorii.

–Od czasu Wojny Kartkowej ONZ zachęca wszystkich do uprawiania ziemi. Żywność, którą sami sobie wyhodujecie, oczywiście nie jest racjonowana... W ten sposób ludzie odchodzą z miast do rezerwatów rolniczych ONZ, co łagodzi niektóre problemy urbanizacyjne. Jednak gospodarka rolna najwidoczniej zachęca do posiadania dużych rodzin, więc ludność świata podwoiła się od czasu Wojny Kartkowej.

–Ponadto nie mamy już zbyt wiele energii elektrycznej, jaką pamiętam z dzieciństwa... zapewne nie tak dobrze, jak wy.

Tylko w kilku miejscach na świecie mają jej dość w dzień i w nocy. Wciąż mówią, że to tylko chwilowy kryzys, ale trwa już od dziesięciu lat.

Gadał tak przez dłuższy czas. Cóż, do diabła, większość tego nie była dla nas niespodzianką. W ciągu minionych dwóch lat

nieustannie zastanawialiśmy się, co zastaniemy po powrocie do domu. Niestety, wyglądało na to, że większość ponurych prognoz spełniła się, w przeciwieństwie do optymistycznych.

Dla mnie chyba najgorsze było to, że zlikwidowali większość parków, zamieniając je na farmy. Jeśli chciałeś znaleźć jakiś rezerwat przyrody, musiałeś udać się tam, gdzie nie można niczego uprawiać.

Powiedział, że stosunki między gejami a tymi, których nazywał „rozplodowcami”, układały się nieźle, ale miałem wątpliwości. Sam nigdy nie miałem kłopotów z akceptacją homoseksualistów, jednak nigdy nie spotykałem ich w takiej ilości.

Stwierdził także, w odpowiedzi na agresywne pytanie, że jego puder i szminka nie mają nic wspólnego z preferencjami seksualnymi. Po prostu są modne. Postanowiłem być anachroniczny i pozostać przy swojej twarzy.

Sądzę, że nie powinienem być zaskoczony znacznymi zmianami językowymi, jakie zaszły w ciągu tych dwudziestu lat. Moi rodzice zawsze mówili, że coś jest „fajne”, skręty były „trawką” i tak dalej.

Musielismy poczekać kilka tygodni, zanim odtransportują nas na Ziemię. Wracaliśmy na „Rocznicy”, która jednak przedtem miała być rozebrana i złożona na nowo.

Tymczasem rozlokowano nas w przytulnych dwuosobowych kwaterach i zwolniono z wszelkich wojskowych obowiązków. Większość z nas spędzała czas w czytelnii, usiłując nadrobić dwudziestodwuletnią lukę informacyjną. Wieczorami zbieraliśmy się w „Latającym Spodku” – klubie podoficerskim. Szeregowcy, oczywiście, nie mieli tam wstępu, jednak stwierdziliśmy, że nikt nie stawia się żołnierzowi z dwoma rzędami baretek na piersi.

Zdziwiło mnie, że w barze podają porcje heroiny. Kelner powiedział, że dostaje się zastrzyki przeciwdziałające uzależnieniu. Kiedyś spałem się i spróbowałem. Nigdy więcej.

Major Stott został na Stargate, gdzie organizowali nowy Oddział Uderzeniowy Alfa. Pozostali wsiedli na pokład „Rocznicy”, na której odbyliśmy miłą, sześciomiesięczną podróż. Cortez nie nalegał, żeby wszystko robić po wojskowemu przez duże „W”, tak więc wycieczka była znacznie przyjemniejsza niż ta z Yod-4.

8. Nie przejmowałem się tym za bardzo, ale – oczywiście – na Ziemi przyjęto nas z honorami: pierwsi weterani wracający z wojny. Sekretarz Generalny powitał nas na lotnisku Kennedy'ego, po czym przez tydzień trwały bankiety, przyjęcia, wywiady i tak dalej. To było całkiem przyjemne i dochodowe –

zarobiłem milion kilokalorii od Time-Life/Fax – jednak nie widzieliśmy wiele, dopóki urok nowości nie przybladł i pozwolono nam pójść swoją drogą.

Wsiadłem na waszyngtońskim Grand Central do kolei jednoszynowej i pojechałem do domu. Matka spotkała mnie na lotnisku Kennedy'ego, nagle bardzo postarzała, i powiedziała mi, że ojciec nie żyje. Katastrofa lotnicza. Miałem zamieszkać u niej, aż znajdę sobie pracę.

Mieszkała w Kolumbii, mieście-satelicie Waszyngtonu. Przeniosła się z powrotem do miasta po Wojnie Kartkowej – bo wyprowadziła się w 1980 – a potem coraz gorsze warunki życia i fala przestępstw zmusiły ją do ponownej przeprowadzki.

Czekała na mnie na dworcu. Obok niej stał jasnowłosy olbrzym w grubym, winylowym mundurze, z wielkim pistoletem na biodrze i kastetem na prawej ręce.

–Williamie, to jest Cari, mój strażnik i bardzo bliski przyjaciel.

Car! zdjął kastet na moment wystarczający, aby zadziwiająco delikatnie uścisnąć mi dłoń.

–Młompnasptkć, pnie Mandella.

Wsiedliśmy do pojazdu, na którym widniał jasnopomarańczowy napis „Jefferson”.

Pomyślałem, że to dziwna marka samochodu,

lecz później zorientowałem się, że to nazwa wieżowca, w którym mieszkała mama z Carlem. Pojazd był jednym z kilku należących do mieszkańców i płaciła 100 k za każdy przejechany kilometr.

Muszę przyznać, że Kolumbia była całkiem ładna: wiele ogrodów, mnóstwo drzew i trawników. Nawet wieżowce, stożkowe budowle z granitu, z wyrastającymi w najdziwniejszych miejscach krzakami bardziej przypominały góry niż budynki. Wjechaliśmy pod jeden z nich dobrze oświetlonym tunelem na parking, gdzie stało wiele innych wozów. Cari przeniósł moją jedyną walizkę do windy i postawił ją.

–Pni Mandella, jeśli mżna, musze tera pojebać po pnia Freeman. Jest na West Branch.

–Jasne, Cari, William zaopiekuje się mną. On jest żołnierzem, wiesz.

Racja, pamiętam te osiem sposobów cichego zabijania ludzi. Może jeśli mnie naprawdę przyciśnie, znajdę sobie taką pracę jak Carl.

–O rany, taa, mwiła mi pni. Jak to je, człowieku?

–Przeważnie nudno – odparłem odruchowo. – Kiedy nie jesteś znudzony, to najczęściej przestraszony.

Z powagą kiwnął głową.

–Ta słyszałem. Pni Mandella, będę gdzieś po szstej. Dobra?

–Dobrze, Carl,

Przyjechała winda i wysiadł z niej wysoki, chudy chłopak, z nie zapalonym skrętem zwisającym z warg. Carl pomacał kastet na ręce i chłopak pospiesznie odszedł.

–Trza uważać na tch jeźdźców. Na rzie, pni Mandella.

Wsiedliśmy do windy i matka wystukała 47.

–Co to za jeźdźcy?

–Och, to młodzi chuligani, którzy jeżdżą tam i z powrotem windami, szukając bezbronych ludzi bez obstawy. Tutaj nie mamy z nimi problemu.

Na czterdziestym siódmym był spory pasaż pełen sklepów i biur. Poszliśmy do spożywczego.

–Masz już swoje kartki, Williamie?

Powiedziałem jej, że nie, ale wojsko dało mi czeki podróżne warte sto tysięcy kalorii, z których nie zużyłem nawet połowy. To było trochę kłopotliwe, ale wszystko nam wyjaśnili. Kiedy świat przeszedł na jedną walutę, usiłowali to jakoś skoordynować z systemem racjonowania żywności, mając nadzieję kiedyś zlikwidować kartki, więc obrali jako jednostkę monetarną kilokalorię, stosowaną do mierzenia energetycznego ekwiwalentu pożywienia. Jednak osoba zjadająca na dzień 2000 kilokalorii w postaci steku musi, rzecz jasna, zapłacić więcej od kogoś, kto zjada taką samą ilość chleba. Tak więc wprowadzono zmienny „współczynnik przeliczeniowy”, tak skomplikowany, że nikt go nie mógł zrozumieć. Po kilku tygodniach znowu używano kartek, jednak kilokalorię żywności nazywano „kaloriami” – dla uproszczenia. Wydało mi się, że oszczędziliby sobie masę kłopotów, gdyby znów nazwali pieniądze dolarami, rublami, sestercjami czy jakkolwiek... byle nie kilokaloriami.

Ceny żywności były zdumiewające, oprócz przetworów zbożowych i słodczy. Uparłem się na kawał dobrego mięsa; mielony befszyk zawierający 1500 kalorii kosztował 1730 k. Taki sam kawałek sztucznego steku zrobionego z soi kosztowałby 80 k. Ponadto kupiłem główkę sałaty za 80 k i buteleczkę oleju z oliwek za 175 k. Matka powiedziała, że ma trochę octu. Chciałem kupić trochę grzybów, ale zapewniła mnie, że jej sąsiadka uprawia je, więc może zamienić się z nią na jakieś plody z ogródka na tarasie. W jej apartamencie na dziewięćdziesiątym drugim piętrze prosiła mnie za ciasnotę. Mieszkanie wcale nie wydało mi się takie małe, ale przecież matka nigdy nie podróżowała gwiazdolotem. Nawet na tej wysokości okna były zakratowane. Drzwi miały cztery niezależne zamki, z których jeden nie działał, wyłamany łomem.

Matka poszła zająć się befsztykiem, a ja usiadłem do wieczornych wiadomości. Wyrwała kilka marchewek w ogródku na tarasie i zadzwoniła do sąsiadki od pieczarek, której syn przyszedł dokonać wymiany. Pod pachą miał półautomatyczną śrutówkę.

–Mamo, gdzie reszta gazety? – zawołałem.

–O ile wiem, jest cała – odkrzyknęła z kuchni. – A czego szukasz?

–No cóż, znalazłem ogłoszenia osobiste, ale brak działu „Zatrudnię”.

Roześmiała się.

–Synu, od dziesięciu lat nie ma ogłoszeń o zatrudnieniu.

Rząd rozdziela miejsca pracy... no, większość z nich.

–Wszyscy pracują dla rządu?

–Nie, to nie tak. – Przyszła, wycierając ręce w wystrzępiony ręcznik. – Rząd, jak nam mówią, zajmuje się dystrybucją naturalnych zasobów. A niewiele jest równie cennych zasobów, co miejsca pracy.

–No cóż, porozmawiam z nimi jutro.

–Nie fatyguj się, synu. Jak mówiłeś, jaką emeryturę dostajesz z wojska?

–Dwadzieścia tysięcy miesięcznie. Chyba nie ujadę z tym daleko.

–Na pewno nie. Jednak renta po twoim ojcu to zaledwie połowa tego, a nie dostałam pracy. Pracę przydziela się na zasadzie potrzeby. A dopóki Wydział Zatrudnienia nie uzna, że jesteś potrzebujący, musisz żyć o ryżu i wodzie.

–Do diabła, to przecież biurokracja. Na pewno można kogoś zapłacić, żeby wkręcił mnie do dobrej...

–Nie. Przykro mi, ten dział ONZ jest zupełnie nieprzekupny. Wszystko jest skomputeryzowane i obywa się bez interwencji człowieka. Nie możesz...

–Przecież mówiłaś, że masz pracę!

–Zaraz do tego dojdę. Jeśli naprawdę bardzo potrzebujesz pracy, możesz pójść do dealera i czasem dostać odstępną.

–Odstępną? Dealera?

–Weźmy na przykład moje zajęcie, synu. Kobieta nazwiskiem Hailey Williams pracuje w szpitalu, przy obsłudze aparatu do analizy krwi – chromatografu. Pracuje sześć nocy w tygodniu za 12 000 tygodniowo. Jest zmęczona, więc kontaktuje się z dealerem i informuje go, że jej miejsce jest do wzięcia. Jakiś czas przedtem zapłaciłam temu dealerowi 50 000 k za umieszczenie mnie na jego liście. Teraz on przychodzi i opisuje mi pracę, a ja mówię: świetnie, biorę ją. On wiedział, że tak będzie i już przygotował fałszywy identy-

fikator i uniform. Wręczył drobne łańcuchy tym przełożonym, którzy mogli znać pannę Williams z widzenia. Ona pokazuje mi, jak obsłużyć maszynę, i odchodzi. Nadal otrzymuje 12 000 k przelewane na jej konto, ale oddaje mi połowę. Ja płacę dealerowi dziesięć procent, co daje mi 5400 tygodniowo. To, plus dziewięć pacy miesięcznie renty po twoim ojcu, zupełnie mi wystarcza.

–Później sprawa komplikuje się. Mając mnóstwo pieniędzy i za mało czasu, ponownie kontaktuję się z dealerem, proponując podjęcie połowy mojej pracy. Następnego dnia zjawia się dziewczyna, która również ma identyfikator „Hailey Williams”.

Pokazuję jej, jak działa chromatograf, a ona przejmuje poniedziałki, środy i piątki. Połowa mojej pensji to 2700 k, tak więc ona dostaje połowę tego, 1350 k, z czego płaci dealerowi 135.

Wzięła notes i pisak, po czym wykonała kilka obliczeń.

–Tak więc prawdziwa Hailey Williams dostaje 6000 k tygodniowo za nic. Ja pracuję trzy dni w tygodniu za 4050 k. Moja zastępczyni pracuje trzy dni za 1115 k. Dealer dostaje 100 000 k opłaty i 735 co tydzień. Skomplikowane, prawda?

–Hmm... dosyć. I pewnie całkiem nielegalne.

–Dla dealera. Inni tracą pracę i będą mogli zacząć wszystko od nowa, jeśli Wydział Zatrudnienia to odkryje. Tylko dealerowi zrobią pranie mózgu.

–To chyba lepiej poszukam dealera, dopóki jeszcze stać mnie na pięćdziesiąt tysięcy opłaty.

Prawdę mówiąc, miałem jeszcze ponad trzy miliony, ale zamierzałem szybko wydać większość z nich. Do diabła, zasłużyłem na to.

Następnego ranka szykowałem się do wyjścia, kiedy matka podała mi pudełko od butów. W środku był mały pistolet w przypinanej kaburze.

–Należał do twojego ojca – wyjaśniła. – Lepiej weź go, jeżeli zamierzasz iść do miasta bez strażnika.

Pistolet był na prochowe, zabawnie cienkie naboje. Zważyłem go w dłoni.

–Czy ojciec kiedykolwiek go użył?

–Kilka razy... ale tylko do odstraszenia jeźdźców i rabusiów. Nigdy nikogo nie zastrzelił.

–Pewnie masz rację, że potrzebna mi broń – powiedziałem, odkładając pukawkę, – Jednak potrzebuję czegoś solidniejszego. Czy mogę to kupić legalnie?

–Pewnie, w pasażu jest sklep z bronią. Jeśli nie jesteś notowany przez policję, możesz kupować, co chcesz.

Doskonale; kupię sobie kieszonkowy laser. Z pistoletu z tru-

dem trafiłbym w ścianę wieżowca.

–Jednak... Winiarnie, byłabym spokojniejsza, gdybyś wynajął strażnika, przynajmniej dopóki nie oswoisz się ze wszystkim. Rozmawialiśmy o tym przez pół nocy. Będąc oficjalnie Wykszolonym Zabójcą, uważałem, że jestem twardszy od każdego błazna, jakiego mógłbym wynająć.

–Zobaczę, mamó. Nie martw się, dziś nawet nie pojedę do miasta, tylko do Hyattsville.

–To równie niebezpieczne.

Kiedy przyjechała winda, już miała pasażera. Mężczyzna trochę starszy ode mnie, ogolony i dobrze ubrany, spojrzał na mnie śmiało, gdy wsiadałem. Odsunął się od rzędu przycisków. Wystukałem 47, a potem, zdawszy sobie sprawę z tego, że jego zachowanie mogło nie wynikać z czystej uprzejmości, odwróciłem się i zobaczyłem, że usiłuje wyjąć gazurkę zza paska spodni. Miał ją ukrytą pod marynarką.

–Daj spokój, facet – powiedziałem, sięgając za pazuchę po nie istniejącą broń. – Mam cię skasować?

Wyjął gazurkę, ale trzymał ją luźno opuszczonej ręce.

–Skasować?

–Zabić. To wojskowe pojęcie.

Podszedłem krok bliżej, gwałtownie przypominając sobie instruktaż. Kopniak w kolano, a potem w krocze lub w nerkę. Wybrałem krocze.

–Nie – powiedział, chowając rurkę za pasek. – Nie chcę, żebyś mnie „skasował”.

Drzwi otworzyły się na 47 i wycofałem się z windy.

Sklep z bronią był cały w białym plastiku i lśniąco czarnym metalu. Przytruchtał do mnie łysawy człowieczek. Miał pistolet w kaburze pod pachą.

–Dzień dobry, panu! – Zachichotał. – Czym możemy dziś służyć?

–Lekki kieszonkowy laser – powiedziałem. – Na dwutlenek węgla.

Spojrzał ze zdumieniem, a potem rozpromienił się.

–Zaraz będą, sir. – Chichot. – Dziś specjalna cena i dorzucę tuzin granatów tachionowych.

–Świetnie.

Przydadzą się.

Spojrzał na mnie wyczekująco.

–No i...? Gdzie puenta?

–Hmm?

–Kawał, człowieku; zacząłeś, to go dokończ. Laser.

Zachichotał.

Zacząłem pojmować.

–Chce pan powiedzieć, że nie można kupić lasera.

–Jasne, że nie, kochasiu – powiedział i spoważniał. – Nie wiedziałeś o tym?

–Przez dłuższy czas nie było mnie w kraju.

–Chyba na świecie. Przez dłuższy czas nie chodził pan po świecie.

Oparł lewą rękę o pulchne biodro gestem, który przypadkowo ułatwiał sięgnięcie po broń. Podrapał się w pierś.

Stałem nieruchomo.

–Zgadza się. Właśnie mnie zdemobilizowali.

Opadła mu szczęka.

–Hej, bez kitu? Strzelałeś do drani w kosmosie?

–Zgadza się.

–Hey te bzdury o tym, że nie zestarzeliście się, to nieprawda, no nie?

–Och, to prawda. Urodziłem się w 1975.

–No, cho... cholera. Ma pan prawie tyle lat, co ja. –

Zachichotał. – Myślałem, że rząd to wymyślił.

–No cóż... mówi pan, że nie mogę kupić lasera...

–Och, nie. Nie, nie, nie. Prowadzę tu legalny interes.

–A co mogę kupić?

–Och, pistolet, karabin, dubeltówkę, nóż, kamizelkę kuloodporną... tylko nie laser, materiał wybuchowy czy broń automatyczną.

–Niech pan pokaże pistolet. Największy, jaki pan ma.

–Ach, mam coś takiego.

Zaprowadził mnie do gabloty, odsunął tylną ściankę i wyjął ogromny rewolwer.

–Sześciostrzałowy, kaliber cztery dziesięć – powiedział, trzymając go oburącz. – Zatrzyma dinozaura. Autentyczny styl Dzikiego Zachodu. Kule albo pęczki.

–Pęczki?

–Jasne... no tak, to jakby mnóstwo malutkich strzałek. Przy strzale rozchodzą się jak śrut. Trudno chybić.

To chyba coś dla mnie.

–Czy mogę to gdzieś wypróbować?

–Oczywiście, oczywiście, na zapleczu mamy strzelnicę.

Zaraz sprowadzę mojego asystenta.

Nacisnął dzwonek i pojawił się chłopak, który miał przypilnować sklepu, kiedy będziemy na zapleczu. Po drodze zabrał czerwono-zielone pudełko z nabojami.

Strzelnica składała się z dwóch sekcji: małego przedsionka z drzwiami z przezroczystego plastiku oraz biegnącego za nimi długiego korytarza ze stołem na jednym i tarczami na drugim końcu. Za tarczami stała metalowa płyta, która kierowała pociski do pojemnika z wodą.

Załadował broń i położył ją na stole.

–Proszę jej nie brać do ręki, dopóki nie zamknę drzwi.

Wrócił do przedsionka, zamknął drzwi i wziął mikrofon.

–W porządku. Przy pierwszym strzale lepiej niech pan trzyma go oburącz.

Zrobiłem tak, unosząc broń i celując w prostokąt papieru wielkości kciuka widocznego na odległość ramienia. Wątpiłem, czy w ogóle trafię w cel. Nacisnąłem na spust, który poddał się bardzo miękko, ale nic się nie stało.

–Nie, nie – zachichotał do mikrofonu sprzedawca. –

Autentyczny styl Dzikiego Zachodu. Trzeba odciągnąć kurek.

Jasne, jak na filmach. Odwiodłem kurek, ponownie wycelowałem i nacisnąłem spust.

Huk był tak potężny, że aż zapiekła mnie twarz. Rewolwer podskoczył, o mało nie uderzając mnie w czoło. Jednak trzy środkowe koła tarczy zniknęły; tylko strzepy papieru wirowały w powietrzu.

–Wezmę go.

Sprzedał mi kaburę na biodro, dwadzieścia naboji, kamizelkę kuloodporną i sztylet w pochwie przyczepianej do buta. Czuję się lepiej uzbrojony niż w bojowym skafandrze. Brakowało tylko układów wspomagania, które pomogłyby to dźwigać.

W kolejce jednoszynowej dwóch strażników pilnowało każdego wagonu. Dopóki nie dojechałem do dworca Hyattsville, wydawało mi się, że cała ta ciężka artyleria jest niepotrzebna. Pasażerowie wysiadający w Hyattsville byli uzbrojeni po zęby albo mieli obstawę. Wszyscy ludzie kręcący się wokół stacji mieli broń. Policja miała lasery.

Wcisnąłem guzik przywołania taksówki i z odczytu dowiedziałem się, że moja będzie miała numer 3856. Zapytałem o to policjanta, który kazał mi czekać na nią na ulicy; wóz najpierw dwukrotnie okrąży blok.

W czasie pięciominutowego oczekiwania dwukrotnie słyszałem stacatto strzałów, za każdym razem gdzieś daleko. Byłem rad, że kupiłem kamizelkę.

W końcu taksówka przyjechała. Zjechała do krawężnika, kiedy pomachałem ręką, i drzwi otworzyły się, zanim jeszcze stanęła.

Wyglądało na to, że działała tak samo jak automatyczne taksówki,

które pamiętałem. Drzwi pozostały otwarte, kiedy sprawdzała mój odcisk kciuka, żeby potwierdzić, że jestem tym, który ją wezwał, po czym zasunęły się z trzaskiem. Były z grubej blachy. Widok za oknem był ciemny i zniekształcony; zapewne kuloodporny plastik. Zupełnie inaczej niż pamiętałem.

Musiałem przewertować zatłuszczoną książkę adresową, żeby znaleźć adres baru w Hyattsville, gdzie miałem spotkać dealera. Wystukałem numer i usiadłem, żeby popatrzeć na uliczny ruch. W tej części miasta stały głównie domy czynszowe; szare mrówkowce postawione w połowie ubiegłego wieku konkurowały o miejsce z nowocześniejszymi budynkami i – sporadycznie – z wolno stojącymi domami otoczonymi ceglany lub betonowymi murami, zwieńczonymi drutem kolczastym lub tłuczonym szkłem. Tylko nieliczni ludzie zdawali się zmierzać dokądś, większość siedziała w bramach lub w co najmniej sześćosobowych grupkach wałęsała się w pobliżu sklepów. Wszystko było brudne i zapuszczone. W rynsztokach zalegały śmieci, a podmuch przejeżdżających pojazdów unosił chmury papierów.

To jednak było zupełnie zrozumiałe; sprzątanie ulic na pewno należało do zawodów o dużym ryzyku.

Taksówka stanęła przed barem z grillem „Tom i Jeny” i wypuściła mnie, kiedy zapłaciłem 430 k. Wysiadłem na chodnik, trzymając dłoń na kolbie rewolweru-śrutówki, ale w pobliżu nie było nikogo. Wszedłem do baru.

Lokal był zadziwiająco czysty, słabo oświetlony, umeblowany sprzętami z imitacji sosny i skóry. Podeszedłem do baru, gdzie dostałem trochę podrabianego burbona i – podobno prawdziwą – wodę za 120 k. Woda kosztowała 20. Podeszła kelnerka z tacą.

–Strzelisz sobie jednego, bracie?

Na tacy leżał rząd staromodnych strzykawek.

–Nie dziś, dzięki.

Gdybym chciał „strzelić sobie jednego”, użyłbym aerozolu.

Zastrzyki są niehigieniczne i bolesne.

Postawiła tacę na barze i opadła na stół obok mnie. Usiadła, opierając brodę na dłoni i patrzyła na swoje odbicie w lustrze nad barem.

–Boże. Te wtorki.

Mruknąłem coś.

–Chcesz przejść na zaplecze na szybki numerek?

Spojrzałem na nią z obojętnym – miałem nadzieję – wyrazem twarzy. Nosila tylko minispódniczkę z jakiegoś przezroczyściego materiału, wciętą na przedzie w literę „V”, ukazującą kości biodrowe i kilka utlenionych włosów łonowych. Zastanawiałem

się, na czym trzyma się ten strój. Kelnerka nie była brzydka, mogła mieć zarówno dwadzieścia parę, jak i czterdzieści kilka lat. Jednak nie wiadomo, jakie postępy poczyniono w chirurgii plastycznej i kosmetyce. Może była starsza od mojej matki.

–Dzięki.

–Nie dzisiaj?

–Zgadza się.

–Mogę sprowadzić panu miłego chłopca, jeśli...

–Nie, dziękuję.

Co za świat.

Wydeła usta do lustra, robiąc minę starszą chyba od Homo sapiens.

–Nie podobam się panu.

–Podobasz mi się, ale nie po to tu przyszedłem.

–No cóż, każdy bawi się, jak umie – wzruszyła ramionami.

–Hej, Jeny! Podaj mi małe piwo.

Postawił je przed nią.

–Och, do licha, zacięła mi się torebka. Proszę pana, czy ma pan na zbyciu czterdzieści kalorii?

Miałem dość kartek, żeby wydać bankiet. Wydarłem odcinek na pięćdziesiąt kalorii i dałem go barmanowi.

–O Jezu – wytrzeszczyła oczy. – Jak pan to robi, że ma pan nietkniętą książeczkę pod koniec miesiąca?

Zwięźle wyjaśniłem jej, kim jestem i skąd mam tyle kalorii.

W mojej skrytce pocztowej czekały kartki za dwa miesiące, a jeszcze nie zużyłem tych, które dostałem w wojsku. Zaproponowała, że za dziesięć patyków odkupi ode mnie książeczkę, jednak nie chciałem wdawać się w dwa nielegalne przedsięwzięcia jednocześnie.

Weszli dwaj mężczyźni, jeden bez broni, a drugi z pistoletem i dubeltówką. Goryl siadł przy drzwiach, a ten drugi podszedł do mnie.

–Pan Mandella?

–Zgadza się.

–Możemy usiąść w kącie?

Nie przedstawił się. Zamówił filiżankę kawy.

–Nie prowadzę notatek, ale mam doskonałą pamięć. Proszę powiedzieć, jaka praca pana interesuje, jakie ma pan kwalifikacje, jakiej płacy pan oczekuje i tak dalej.

Powiedziałem mu, że wolałbym zaczekać na posadę, na której mógłbym wykorzystać swój dyplom z fizyki – nauczyciela, naukowca lub projektanta. Nie będę potrzebował pracy przez najbliższe dwa lub trzy miesiące, ponieważ zamierzam trochę

podróżować i korzystać z oszczędności. Chciałbym co najmniej 20 000 k miesięcznie, ale ostateczną kwotę uzależniam od rodzaju pracy.

Nie odezwał się słowem, dopóki nie skończyłem.

–Hmm, tak. No cóż, obawiam się... Bardzo trudno będzie panu znaleźć jakieś zajęcie związane z fizyką. Nauczanie odpada; nie mogę zapewnić posad, na których jest się nieustannie wystawionym na widok publiczny. Praca naukowa... uzyskał pan dyplom przeszło ćwierć wieku temu. Musiałby pan wrócić do szkoły, może na pięć czy sześć lat.

–Może tak zrobię.

–Pańskie jedyne poszukiwane kwalifikacje to doświadczenie bojowe. Zapewne mógłbym pana ulokować na kierowniczym stanowisku w jakiejś agencji ochrony i to nawet za więcej niż dwadzieścia kawałków miesięcznie. Prawie tyle samo zarobiłby pan sam jako ochroniarz.

–Dzięki, ale nie chciałbym ryzykować na czyjeś konto.

–Hmm, tak. Nie powiem, że mam to panu za złe. – Jednym haustem dokończył kawę. – No cóż, muszę lecieć, mam mnóstwo spraw do załatwienia. Będę o panu pamiętał i porozmawiam z paroma osobami.

–Dobrze. Zobaczymy się za kilka miesięcy.

–Hmm, tak. Nie musimy specjalnie umawiać się. Codziennie o jedenastej wpadam tu na kawę. Proszę po prostu przyjść. Skończyłem swój trunek i wezwałem taksówkę, która odwiozła mnie do domu. Chciałem przejść się po mieście, ale mama miała rację. Najpierw zamówię sobie obstawę.

9. Przyszedłem do domu i zobaczyłem, że telefon mruga bladoniebieskim światłem. Nie wiedziałem, co robić, więc wystukałem „Centrala”. Na ekranie pojawiła się głowa ślicznej dziewczyny.

–Tu Centrala Jefferson – powiedziała. – W czym mogę pomóc?

–Taak... Co to oznacza, jeśli telefon miga na niebiesko?

–Hę?

–Co to oznacza, jeśli...

–Pyta pan poważnie?

Zaczynałem mieć już tego dość.

–To długa historia. Naprawdę, nie wiem.

–Kiedy miga niebiesko, należy zadzwonić na centralę.

–No dobrze, zadzwoniłem.

–Nie, nie do mnie. Wystukać dziewięć. Potem zero.

Zrobiłem to i pojawiła się jakaś stara megiera.

–Zend-ral-la.

–William Mandella, 301-52-574-3975. Miałem zadzwonić.

–Zara paczę. – Sięgnęła poza pole widzenia i postukała w coś. – Jezd rozmowa z 605-19-556-2027.

Zapisałem numer w notatniku leżącym obok aparatu.

–Gdzie to jest?

–Zara paczę. Południowa Dakota.

–Dzięki.

Nie znałem nikogo w Południowej Dakocie.

Telefon odebrała miła starsza pani.

–Tak?

–Miałem rozmowę z tego numeru i... hm... ja...

–Och. Sierżant Mandella! Jedną chwileczkę.

Patrzyłem, jak pozioma kreska zawieszenia rozmowy przedłużyła się o sekundę, a potem pięćdziesiąt lub więcej. Wreszcie na ekranie pojawiła się znajoma twarz.

Marygay.

–Williamie. Już myślałam, że cię nie odnajdę.

–Kochanie, ja też. Co robisz w Południowej Dakocie?

–Moi rodzice mieszkają tutaj, w małej gminie. Dlatego tak długo trwało, zanim podeszłam do telefonu. – Pokazała brudne ręce. – Wykopuję ziemniaki.

–Przecież kiedy sprawdzałem... w aktach... w twoich aktach w Tucson podano, że twoi rodzice nie żyją.

–Nie, oni tylko odpadli – słyszałeś o odpadniętych? – nowe nazwisko, nowe życie. Dowiedziałam się od kuzyna.

–No cóż... jak ci leci? Podoba ci się życie na wsi?

–Właśnie dlatego chciałam z tobą pogadać, Willy. Nudzę się. Wszystko jest bardzo zdrowe i miłe, ale chcę zrobić coś niezdrowego i niegrzecznego. Oczywiście pomyślałam o tobie.

–Jestem zaszczycony. Wpaść po ciebie o ósmej?

Sprawiła godzinę na zegarze nad telefonem.

–Wiesz co, lepiej wyśpijmy się dobrze tej nocy. Poza tym muszę wykopać resztę ziemniaków. Spotkajmy się... na lotnisku Ellis Island, jutro rano. Hmm... przy informacji.

–Dobrze. Dokąd zarezerwować bilety?

Wzruszyła ramionami.

–Wybierz jakieś miejsce.

–W swoim czasie Londyn był dość swawolnym miastem.

–Brzmi wspaniale. Pierwszą klasą?

–Jakże inaczej? Kupię dla nas bilety na sterowiec.

–Dobrze. Czysta dekadencja. Ile mam czasu na pakowanie?

–Kupimy ciuchy w drodze. Polecimy z lekkim bagażem.

Weźmiemy tylko po wypchanych portfelu.

Zachichotała.

–Cudownie. Jutro o dziesiątej.

–Świetnie. Hmm... Marygay, czy masz broń?

–Aż tak źle?

–Tutaj, w Waszyngtonie, tak.

–Dobrze, wezmę coś. Tata ma kilka nad kominkiem. Pewnie zostały mu z Tucson.

–Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli ich użyć.

–Willy, wiesz, że to będzie tylko dla ozdoby. Nie potrafiłam zabić nawet Taurańczyka.

–Oczywiście. – Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. – No, to jutro o dziesiątej.

–Zgadza się. Kocham cię.

–Hmm...

Znów zachichotała i rozłączyła się.

Za dużo rzeczy do przemyślenia naraz.

Kupiłem dla nas dwa bilety na lot dookoła świata sterowcem; dowolna ilość przesiadek, pod warunkiem, że przez cały czas zmierzasz na wschód. Dotarcie taksówką i kolejką jednoszynową na lotnisko Ellisa zajęło mi dwie godziny. Przyjechałem za wcześnie, ale Marygay też.

Rozmawiała z recepcjonistką i nie widziała, jak nadchodzę.

Jej strój naprawdę zwracał uwagę; opięty kombinezon z plastiku z wzorem splecionych rąk, które w zależności od kąta widzenia zmieniały ułożenie lub stawały się przezroczyste. Całe ciało miała zarumienione od świeżej opalenizny. Nie wiedziałem, czy uczucie, jakiego nagle doznałem, było zwyczajnym pożądaniem, czy też czymś bardziej skomplikowanym. Pospieszyłem i stanąłem za nią, szepcząc:

–I co będziemy robić przez te trzy godziny?

Odwróciła się, uścisnęła mnie i podziękowała panience za biurkiem, a potem złapała mnie za rękę i pociągnęła na ruchomy chodnik.

–Hmm... Dokąd idziemy?

–Nie zadawaj pytań, sierżancie, tylko chodź ze mną.

Zeszliśmy na obrotową platformę i przeszliśmy na chodnik biegnący na wschód.

–Chcesz coś zjeść albo wypić? – zapytała niewinnie.

Spróbowałem uśmiechnąć się znacząco.

–A masz jakieś inne propozycje?

Zaśmiała się wesoło. Ludzie wokół wytrzeszczyli oczy.

–Zaczekaj chwilę... o, tu!

Zeskoczyliśmy z chodnika. Nad wejściem widniał napis „Pokoiki”. Marygay podała mi klucz.

Ten cholerny plastikowy kombinezon trzymał się tylko na ładunku elektrostatycznym. Ponieważ pokoiik w istocie był jednym wielkim wodnym łóżkiem, o mało nie zламаłem sobie karku przy pierwszych wstrząsach.

Jednak jakoś sobie poradziłem.

Leżeliśmy na brzuchach, patrząc przez lustrzaną szybę na ludzi przemykających w różne strony. Marygay podała mi skręta.

–Williamie, użyłeś już tego?

–Czego?

–Tej armaty. Pistoletu.

–Strzelałem z niego tylko raz, w sklepie, w którym go kupiłem.

–Czy rzeczywiście myślisz, że potrafiłbyś wycelować i nafašzerować kogoś ołowiem?

Zaciągnąłem się płytko i oddałem jej skręta.

–Tak naprawdę, to nie zastanawiałem się nad tym. Przynajmniej do naszej wczorajszej rozmowy.

–No i?

–Ja... naprawdę nie wiem. Zabijałem tylko raz, na Alephie, pod wpływem uwarunkowania hipnotycznego. Jednak nie sądzę, żebym miał jakieś... opory, na pewno nie wtedy, gdyby ten ktoś pierwszy próbował mnie zabić. Dlaczego miałbym je mieć?

–Życie – powiedziała żałośnie. – Życie jest...

–Życie to banda włóczących się razem komórek, mających wspólny cel. Jeśli tym wspólnym celem jest dobrać mi się do tyłka...

–Och, Williamie. Mówisz jak stary Cortez.

–Dzięki Cortezowi przeżyliśmy.

–Nie wszyscy – warknęła.

Przetoczyłem się na plecy i spojrzałem w sufit. Czubkiem palca wodziła mi po piersi, ścierając krople potu.

–Przepraszam, Williamie. Chyba oboje usiłujemy przywyknąć.

–Nie ma sprawy. A zresztą, masz rację.

Rozmawialiśmy długo. Jedyłą większą miejscowością, jaką Marygay odwiedziła od czasu naszego powitalnego (starannie zaplanowanego) objazdu kraju, było Sioux Falls. Była tam z rodzicami i ochroniarzem ich gminy. Wyglądało mi to na Waszyngton w mniejszej skali: te same problemy, tylko w trochę łagodniejszej formie.

Gawędziliśmy o sprawach, które nas niepokoiły: o przemocy, wysokich kosztach utrzymania, przeludnieniu. Dodałbym do tego homoseksualizm, ale Marygay powiedziała, że po prostu nie

wyczuwam dynamicznego rozwoju społeczeństw, który do tego doprowadził – to było nieuniknione. Powiedziała, że jest temu przeciwna jedynie z tego powodu, że przez to zbyt wielu najprzystojniejszych mężczyzn wypada z obiegu.

A najgorsze było to, że przez te lata wszystko jakby pogorszyło się, a w najlepszym razie pozostało takie samo. Można by oczekiwać, że w ciągu dwudziestu dwóch lat znikną przynajmniej niektóre niedogodności codziennego życia. Jej ojciec twierdził, że to wszystko przez wojnę: każdy, kto wykazywał choć odrobinę zdolności, szedł do ONZ; najlepsi byli powoływani do wojska i stawali się mięsem armatnim.

Trudno było odmówić mu racji. W przeszłości wojny często przyspieszały reformy społeczne, zapewniały rozwój technologii, a nawet dostarczały natchnienia artystom. Tymczasem ta zdawała się starannie okrojona z wszelkich ubocznych korzyści. Postęp w stosunku do technologii z końca dwudziestego wieku był – tak jak bomby tachionowe i kosmoloty dwukilometrowej długości –

w najlepszym razie interesującą działalnością racjonalizatorską wymagającą jedynie pieniędzy dla ulepszenia istniejących już wynalazków. Reformy społeczne? Na świecie, praktycznie biorąc, trwał stan wojenny. Co do sztuki, to nie jestem pewny, czy potrafię odróżnić dobrą od złej. Jednak artyści – przynajmniej w pewnym stopniu – muszą oddawać klimat swoich czasów. Obrazy i rzeźby były mroczne i pełne okropności; filmy wydawały się statyczne i miałkie; w muzyce dominowały nostalgiczne powroty do wcześniejszych form; architektura najwidoczniej zajmowała się wyłącznie zapewnianiem mieszkań dla każdego; literatura była niemal niestrawna. Większość ludzi zdawała się wciąż szukać nowych sposobów przechytrzenia rządu, usiłując bez nadmiernego ryzyka zdobyć kilka dodatkowych racji żywnościowych. Ponadto w przeszłości ludność kraju prowadzącego wojnę nieustannie stykała się z wojną. Gazety były pełne sprawozdań, weterani wracali z frontu; czasem front przenosił się do miasta, najeźdźcy maszerowali główną ulicą albo bomby ze świstem przecinały ciemności nocy – jednak zawsze towarzyszyło temu poczucie bliskiego zwycięstwa lub przynajmniej odwlekania ostatecznej klęski. Wróg był czymś uchwytnym, propagandowym potworem, którego można było zrozumieć i nienawidzić.

Tymczasem ta wojna... Wróg był dziwnym, niemal niepojętym stworzeniem, częściej widywanym w kreskówkach niż w koshmarnych snach. Poza frontem wojna miała głównie ekonomiczne, nie emocjonalne skutki: większe podatki, lecz także więcej miejsc pracy. Po dwudziestu dwóch latach wróciło zaledwie

dwudziestu siedmiu weteranów – za mało, żeby urządzić porządną paradę. Dla większości ludzi najistotniejsze było to, że gdyby wojnę nagle zakończono, gospodarka Ziemi załamałaby się. Na sterowiec dolatywało się małym, śmigłowym samolotem, który na ostatnim odcinku szybował, nim przycumował do kadłuba. Steward wziął nasze bagaże, broń oddaliśmy kwatermistrzowi i wyszliśmy.

Prawie wszyscy pasażerowie stali na pokładzie widokowym, patrząc, jak Manhattan ucieka za horyzont. Niezwykły widok. Dzień był zupełnie bezwietrzny, tak więc dolne trzydzieści czy czterdzieści pięter wieżowców tonęło w smogu. Wyglądało to jak miasto zbudowane w chmurach, jak nadciągająca nawałnica. Oglądaliśmy to przez jakiś czas, a potem weszliśmy do środka, żeby coś zjeść.

Posiłek był elegancko podany i prosty: płat wołowiny, trochę warzyw, wino. Ser oraz owoce i na deser znów wino. Żadnych korowodów z kartkami żywnościowymi; w wyniku luki prawnej w przepisach racjonowania nie wymagano ich podczas posiłków spożywanych w drodze w międzykontynentalnych środkach transportu.

Przez trzy długie, cudowne dni lecieliśmy nad Atlantykiem. Sterowce były nowością, kiedy opuszczaliśmy Ziemię, a teraz okazały się jednym z niewielu finansowych sukcesów końca dwudziestego wieku... Firma, która je zbudowała, zakupiła kilka kasowanych głowic atomowych; jeden kawałek plutonu mógł przez długie lata utrzymywać w powietrzu całą flotę sterowców. A raz wypuszczone w powietrze, nigdy nie lądowały. Podniebne hotele, zaopatrywane i obsługiwane przez wahadłowce, były ostatnim przejawem luksusu na planecie, na której dziewięć miliardów mieszkańców musiało coś jeść i niemal nikt nie jadał do syta. Londyn wyglądał z góry ładniej niż New York City; powietrze było czystsze, chociaż Tamiza zamieniła się w ściek. Spakowaliśmy torby, odebraliśmy broń i samolotem pionowego startu wylądowaliśmy na dachu London Hilton. W hotelu wynajęliśmy dwa trójkołowce i z mapą w garści ruszyliśmy na Regent Street, zamierzając zjeść obiad w szacownym Cafe Royal.

Trójkołowce były małymi opancerzonymi pojazdami, stabilizowanymi żyroskopowe, tak że nie można ich było wywrócić.

Wydawało się to zbędnym zabezpieczeniem w tej części Londynu, przez którą jechaliśmy, ale podejrzewałem, iż w innych dzielnicach było równie niebezpiecznie jak w Waszyngtonie.

Zamówiłem marynowaną dziczyznę, a Marygay łososia; oba dania były bardzo dobre, ale zdumiewająco drogie. Z początku

byłem trochę przytłoczony ogromem sali, pełnej pluszu, luster i spatynowanych złocień, bardzo cichej mimo tuzina zajętych stolików. Rozmawialiśmy szeptem, dopóki nie zorientowałem się, że to głupota.

Przy kawie zapytałem Marygay, co to za sprawa z jej rodzicami.

–Och, to często się zdarza – powiedziała. – Tata wmieszał się w jakieś kombinacje z racjami żywnościowymi. Kupił na czarnym rynku kartki, które okazały się sfalszowane. Stracił przez to pracę i pewnie poszedłby do więzienia, ale kiedy czekał na rozprawę, przejął go handlarz ciałami.

–Handlarz ciałami?

–Zgadza się. Oni są w każdej gminie. Dostarczają siły roboczej, ludzi, którzy nie porzucą pracy... którzy nie mogą po prostu odłożyć narzędzi i pójść sobie, kiedy robi się ciężko. Jednak prawie wszyscy zarabiają tyle, że starcza im na życie; wszyscy, których rząd nie umieścił na czarnej liście.

–A zatem wymigał się od rozprawy?

Kiwnęła głową.

–Musiał wybierać między życiem w gminie, które – jak wiedział – nie jest łatwe, a przejściem na zasilek po kilku latach przymusowej pracy; byli skazańcy nie mogą liczyć na legalną posiadłość. Stracili swoje mieszkanie, które zastawili na kaucję, ale rząd i tak zarekwirowałby je, gdyby ojciec wylądował w więzieniu. Handlarz ciałami zaproponował jemu i mamie nowe tożsamości, transport do gminy, chatę i kawałek ziemi. Zgodzili się.

–A co miał z tego handlarz?

–On zapewne nic. Gmina dostała kartki żywnościowe; pozwolono im zatrzymać oszczędności, chociaż nie mieli ich zbyt wiele...

–A co by było, gdyby ich schwytano?

–Niemożliwe – roześmiała się. – Gmina dostarcza przeszło połowę krajowego produktu – to po prostu nieoficjalna agenda rządu. Jestem przekonana, że CBI doskonale wie, gdzie oni są... Tato narzeka, że to po prostu rodzaj więzienia.

–Sprytne.

–No cóż, dzięki temu ziemia jest uprawiana. – Odsunęła talerzyk po deserze o symboliczny centymetr. – I jadają lepiej niż większość ludzi, lepiej niż kiedykolwiek w mieście. Mama zna setki przepisów na przyrządzanie kurczaków i ziemniaków. Po obiedzie poszliśmy na musical. Hotel dostarczył nam bilety na „kulturową przeróbkę” starej rock-opery Hair. Program wyjaśniał, że dość swobodnie potraktowano oryginalną choreografię, ponieważ w dawnych czasach nie pozwalano na prawdziwą kopulację na scenie. Muzyka była przyjemnie staromodna, jednak

oboje nie byliśmy na tyle starzy, żeby popaść w nostalgię. Spełniliśmy obowiązek i obejrzeliliśmy zmianę warty przed pałacem Buckingham, zwiedziliśmy British Museum, zjedliśmy rybę z frytkami, pojechaliśmy do Stratford-on-Avon popatrzeć, jak Old Vic biedzi się nad niezrozumiałą sztuką o szalonym królu, i nie mieliśmy żadnych kłopotów do dnia, w którym chcieliśmy odlecieć do Lizbony.

Była prawie druga w nocy i jechaliśmy naszymi pojazdami po opustoszałej ulicy. Minęliśmy kolejny róg i zobaczyliśmy bandę młodocianych maltretujących ofiarę. Z piskiem zatrzymałem trójkołowiec przy krawężniku i wyskoczyłem, strzelając w powietrze z pistoletu.

Napadli na jakąś dziewczynę; gwałcili ją. Większość bandy rozpierchła się, ale jeden wyjął spod płaszcza pistolet, więc strzeliłem do niego. Pamiętam, że celowałem w ramię. Pocisk trafił go w bark, odrywając rękę i chyba połowę klatki piersiowej; odrzucił go o dwa metry, pod ścianę budynku. Facet musiał być martwy, zanim upadł na ziemię.

Pozostali uciekli, przy czym jeden z nich strzelał do mnie z małego pistoleciku. Przez najdłuższą chwilę w życiu patrzyłem, jak próbuje mnie zabić, zanim przyszło mi do głowy, żeby odpowiedzieć ogniem.

Strzeliłem, mierząc nad jego głową; zanurkował w boczną uliczkę i zniknął.

Oszołomiona dziewczyna rozejrzała się wokół, zobaczyła poharatane ciało dręczyciela, chwiejnie podniosła się z ziemi i uciekła z krzykiem, naga od pasa w dół. Wiedziałem, że powinienem ją zatrzymać, ale odebrało mi mowę. Trzasnęły drzwi trójkołowca i podbiegła do mnie Marygay.

–Co się...? – Urwała na widok zabitego. – Co on zrobił?

Stałem wstrząśnięty. W ciągu minionych dwóch lat widziałem wiele zgonów, ale to było coś innego... Nie było niczego szlachetnego w śmierci z powodu awarii jakiegoś elektronicznego podzespołu, w zamrożeniu w wyniku uszkodzenia skafandra, a nawet w strzelaniu z wrogiem... Jednak w tych okolicznościach śmierć wydawała się czymś naturalnym. Nie na tej cichej uliczce starego Londynu, nie za próbę wymuszenia czegoś, co większość oddaje dobrowolnie.

–Musimy stąd zniknąć. Wyczyszczą ci mózg! – Marygay miała rację. Odwróciłem się i zrobiłem krok, po czym upadłem na beton. Spojrzałem na nogę, która odmówiła mi posłuszeństwa. Zobaczyłem strużkę jasnoczerwonej krwi wypływającej z małej dziurki w łydce. Marygay oddarła kawałek bluzki i zaczęła obwiązywać mi ranę. Pamiętam, że pomyślałem, że to zbyt lekki po-

strzał, żeby wpaść w szok, ale zaczęło mi dzwonić w uszach, wirować w głowie, a wszystko zrobiło się czerwone i niewyraźne. Zanim straciłem przytomność, usłyszałem w oddali dźwięk syreny. Na szczęście policja zatrzymała dziewczynę, która błąkała się po ulicy kilka przecznic dalej. Porównali jej wersję z moją, poddawszy nas hipnozie. Wypuścili mnie, stanowczo radząc, abym w przyszłości pozostawił pilnowanie prawa odpowiednim organom.

Chciałem wydostać się z miasta; po prostu wziąć plecak i przez jakiś czas powłóczyć się po lasach, uspokoić myśli. Marygay również tego pragnęła. Usiłowaliśmy wybrać jakąś trasę i stwierdziliśmy, że na wsijest gorzej niż w miastach. Farmy były warowniami, a obszary między nimi kontrolowały bandy koczowników żyjących z napadów na wioski i gospodarstwa, mordujących i grabiących mieszkańców, aby po kilku minutach zniknąć, zanim nadejdzie pomoc.

Mimo to Brytyjczycy nazywali swoją wyspę „najbardziej cywilizowanym krajem Europy”. Z tego, co słyszałem o Francji, Hiszpanii i Niemczech, szczególnie o Niemczech, zapewne mieli rację. Porozmawiałem o tym z Marygay i postanowiliśmy skrócić podróż i wrócić do Stanów. Dokończymy podróż, kiedy zaaklimatyzujemy się w dwudziestym pierwszym wieku. Zmiany były zbyt wielkie, aby można je przełknąć w jednej dawce.

Linia lotnicza zwróciła nam większość pieniędzy i do domu wróciliśmy konwencjonalnym promem suborbitalnym. Na dużej wysokości bolała mnie noga, chociaż prawie zdążyła się już zagoić. W ciągu minionych dwudziestu lat poczynili ogromne postępy w leczeniu ran postrzałowych. Mieli sporą praktykę. Rozdzieliliśmy się na lotnisku Ellis. To, co Marygay opowiadała mi o życiu na wsi, odpowiadało mi bardziej niż miasto; umówiliśmy się, że przyjadę do niej za tydzień lub dwa i wróciłem do Waszyngtonu.

10. Zadzwoiłem do drzwi i otworzyła mi jakaś obca kobieta, uchylając je na kilka centymetrów i zerkając przez szparę.

–Czy to apartament pani Mandella?

–Och, na pewno pan William! – Cofnęła się, zdjęła łańcuchy i otworzyła drzwi na oścież. – Beth, spójrz, kto przyjechał! Matka wyszła z kuchni, wycierając ręce w ręcznik.

–Willy... co tu robisz tak szybko?

–No, to... to długa historia.

–Proszę usiąść, proszę – powiedziała druga kobieta. –

Przyniosę panu drinka, ale proszę nie zaczynać, dopóki nie wrócę.

–Zaczekajcie – przerwała matka. – Jeszcze was nie przed-

stawiłam. Williamie, to Rhonda Wilder. Rhonda, to William.

–Nie mogłam doczekać się, kiedy pana poznam. Beth opowiedziała mi o panu. Zimne piwo, tak?

–Tak.

Była dość ładną, zgrabną kobietą w średnim wieku. Zastanawiałem się, dlaczego nie spotkałem jej wcześniej. Spytałem matkę, czy to jej sąsiadka.

–Hmm... znacznie więcej, Williamie. Rhonda od kilku lat jest moją współlokatorką. To dlatego miałam wolny pokój, kiedy wróciłeś do domu -jedna osoba nie może mieć dwóch sypialni.

–Ale dlaczego...

–Nie powiedziałam ci, ponieważ nie chciałam, żebyś myślał, iż mieszkając tutaj, zajmujesz jej pokój. Naprawdę tak nie jest; ona...

–Zgadza się. – Rhonda wróciła z piwem. – Mam krewnych w Pensylwanii, na wsi. Mogę mieszkać u nich, kiedy chcę.

–Dzięki. – Wziąłem piwo. – Właściwie nie będę tu długo.

Wybieram się do Południowej Dakoty. Znajdę sobie jakieś miejsce do spania.

–Ja mogę spać na kanapie – powiedziała Rhonda.

Byłem zbyt staromodną męską szowinistyczną świnią, żeby na to pozwolić; dyskutowaliśmy o tym przez chwilę i w końcu ja zająłem kanapę.

Opowiedziałem Rhondzie o Marygay i o naszych nieprzyjemnych przeżyciach w Anglii, po których wróciliśmy, żeby się pozbierać. Myślałem, że matka będzie przerażona słysząc, że zabiłem człowieka, tymczasem przyjęła to bez komentarza. Rhonda kręciła głową słysząc, że wędrowaliśmy nocą po mieście, w dodatku bez ochroniarza.

Rozmawialiśmy o tym i o innych sprawach do późnej nocy, aż matka wezwała strażnika i wyszła do pracy.

Coś męczyło mnie przez cały wieczór, coś w zachowaniu matki i Rhondy. Postanowiłem wyjaśnić to, korzystając z nieobecności matki.

–Rhonda – zacząłem, siadając na fotelu naprzeciw niej.

Nie wiedziałem, jak to powiedzieć. – Co... hmm... co właściwie łączy cię z moją matką?

Pociągnęła długi łyk drinka.

–Jesteśmy dobrymi przyjaciółkami. – Spojrzała na mnie z lekkim wyzwaniem, a zarazem z rezygnacją. – Bardzo dobrymi przyjaciółkami. Czasem kochankami.

Poczułem się pusty i zagubiony. Moja matka?

–Słuchaj – mówiła dalej. – Nie próbuj żyć w latach dziewięćdziesiątych. Ten świat może nie jest najlepszy, ale jesteś

na niego skazany. Williamie... słuchaj, jestem zaledwie dwa lata starsza od ciebie, a właściwie urodziłam się dwa lata wcześniej, co oznacza, że rozumiem, jak się czujesz. Be... Twoja matka również to rozumie. Nasz... związek dla nikogo innego nie byłby tajemnicą. Jest zupełnie normalny. Przez te dwadzieścia lat wiele się zmieniło. Ty też musisz się zmienić.

Nic nie powiedziałem.

Wstała i stwierdziła stanowczo:

–Myślisz, że skoro twoja matka ma sześćdziesiąt lat, to nie potrzebuje miłości? Potrzebuje jej bardziej niż ty. Nawet teraz. Szczególnie teraz.

Patrzyła na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

–Szczególnie teraz, kiedy wróciłeś z przeszłości. Kiedy przypominasz jej, jaka jest stara. Jaka stara jestem ja – o dwadzieścia lat młodsza od niej.

Jej głos łamał się i nagle pobiegła do swojego pokoju.

Zostawiłem matce wiadomość, że dzwoniła Marygay; zaszło coś nieprzewidzianego i muszę natychmiast jechać do Południowej Dakoty. Wezwałem strażnika i wyszedłem.

Rzęzący, rozklekotany stary autobus dowiózł mnie na skrzyżowanie wiejskiej drogi z jeszcze gorszą. Pokonanie 2000 kilometrów do Sioux Falls zajęło mi godzinę, helikopterem do odległego o 150 kilometrów Geddes dotarłem w dwie, trzy godziny zaś straciłem na oczekiwanie na nędzny autobus i sam przejazd nim ostatniego 12-kilometrowego odcinka do Freehold – zrzeszenia gmin, do

którego należała farma Porterów. Zastanawiałem się, czy ta progresja utrzyma się i od przystanku będę musiał przez cztery godziny iść wiejską drogą na farmę.

Minęło pół godziny, zanim dotarłem do pierwszych zabudowań. Mój bagaż stał się już nieznośnie ciężki, a kanciasty pistolet objął mi biodro. Przeszedłem po kamiennym chodniku do drzwi prostej, plastikowej kopuły i pociągnąłem za sznur uruchamiający dzwonek wewnątrz. Otwór judasza pociemniał.

–Kto tam?

Głos stłumiony przez grube drzwi.

–Obcy pyta o drogę.

–Pytaj.

Nie mogłem poznać, czy mówi kobieta, czy dziecko.

–Szukam farmy Porterów.

–Jedną chwileczkę. – Kroki oddaliły się i ponownie wróciły. – Tą drogą, jeden przecinek dziewięć klika. Sporo ziemniaków i zielonej fasoli po prawej. Zapewne poczuje pan zapach kur.

–Dzięki.

–Jeśli chce pan pić, z tyłu mamy pompę. Nie mogę pana wpuścić, bo męża nie ma w domu.

–Rozumiem. Dziękuję.

Woda miała metaliczny smak, ale była cudownie zimna.

Nie poznałbym pola ziemniaków czy poletka fasoli, nawet gdyby wstały i ugryzły mnie w nogę, ale umiałem chodzić pół-metrowymi krokami. Postanowiłem odliczyć 3800 i wziąłem głęboki oddech. Sądziłem, że wyczuję różnicę między wonią kurzego nawozu a jej brakiem.

Przy 3650 zobaczyłem wyboistą drożynę wiodącą do zespołu plastikowych kopuł i prostokątnych budynków, najwidoczniej wybudowanych z darni. Dostrzegłem zagrodę z małą eksplozją demograficzną kurczaków. Śmierdziały, ale niezbyt mocno. W połowie drogi otworzyły się drzwi i wypadła z nich Marygay, ubrana tylko w skąpą przepaskę biodrową. Po ciepłym powitaniu zapytała, co robię tu tak wcześnie.

–Och, matka miała gości. Nie chciałem ich spłoszyć. Pewnie powinienem zadzwonić.

–Pewnie, że powinieneś... oszczędziłbyś sobie długiego spaceru po pylistej drodze. Mamy tu mnóstwo miejsca, więc nie martw się o to.

Wprowadziła mnie do środka, aby przedstawić rodzicom, którzy przyjęli mnie serdecznie i sprawili, że poczułem się zdecydowanie za grubo ubrany. Ich twarze zdradzały ich wiek, ale trzymali się prosto i nie mieli zmarszczek.

Ponieważ obiad miał być uroczysty, pozwolili kurczakom żyć i otworzyli puszkę wołowiny, którą ugotowali z kapustą i ziemniakami. Ten niewyszukany posiłek smakował mi równie dobrze, jak większość dań, jakie spożywaliśmy podczas podróży sterowcem i w Londynie.

Przy kawie i kozim serze (przepraszali, że nie mają wina; za kilka tygodni gmina będzie miała nowy rocznik) zapytałem, jaką pracę mógłbym tu wykonywać.

–Will – rzekł pan Porter. – Nie będę ukrywał, że twoje przybycie tutaj to zrządzenie Opatrzności. Mamy pięć akrów ziemi leżącej odłogiem. Jutro możesz zacząć orać po jednym akrze dziennie.

–Więcej ziemniaków, tato? – spytała Marygay.

–Nie, nie... nie w tym sezonie. Soja – uprawa opłacalna i dobra dla gleby. Aha, Will – w nocy kolejno pełnimy wartę. Jeśli będzie nas czworo, będziemy mogli trochę dłużej pospać. Pociągnął łyk kawy.

–No, co jeszcze...

–Richard – wtrąciła się pani Potter. – Powiedz mu o szklami.

–A, racja, szklarnia. Gmina ma dwuakrową szklarnię mniej więcej klik stąd, przy ośrodku rekreacyjnym. Przeważnie winogrona i pomidory. Raz w tygodniu każdy pracuje tam rano lub po południu.

–Dzieci, dlaczego nie mielibyście pójść tam wieczorem? Pokazałabyś Willowi nocne życie w baśniowym Freehold. Czasem można tam zobaczyć podniecającą warstwę warcabów.

–Och, tato! Nie jest aż tak źle.

–Właściwie nie jest. Mają tam niezłą bibliotekę i płatny automat łączący z Biblioteką Kongresu. Marygay mówiła, że dużo pan czyta. To dobrze.

–Wspaniale – powiedziałem. – Tylko co z moją wartą?

–Żaden problem. Pani Potter – Aprii – i ja weźmiemy pierwsze cztery godziny – powiedział wstając. – Pokażę panu gospodarstwo.

Weszliśmy na „wieżę” – obłożoną workami z piaskiem platformę na palach. Wchodziło się na nią po drabince sznurowej, przez dziurę w środku podłogi.

–Trochę ciasno tutaj dla dwóch osób – powiedział Richard. – Niech pan siada.

Obok otworu w podłodze stał stary stołek od fortepianu. Usiadłem na nim.

–W ten sposób ma się przed sobą szerokie pole widzenia bez wyciągania szyi. Niech pan tylko nie obraca się zawsze w tym samym kierunku.

Otworzył drewnianą skrzynkę i wyjął zgrabny karabin, owinięty w natłuszczone szmaty.

–Poznaje pan?

–Jasne. – Musiałem z taką spać, kiedy byłem rekrutem. – Standardowa wojskowa T-16. Półautomatyczna, naboje kaliber dwanaście. Skąd ją pan wytrzasnął, do licha?

–Gmina wzięła udział w rządowym przetargu. Teraz to antyk, synu.

Podał mi ją i otworzył z trzaskiem. Czysta, zbyt czysta.

–Czy była kiedykolwiek używana?

–Przez ostami rok nie. Amunicja jest zbyt droga, żeby urządzać ćwiczenia w strzelaniu. Jednak oddałem kilka próbnych strzałów, żeby upewnić się, czy działa.

Włączyłem wizjer i zobaczyłem rozmytą, jasną zieleń. Ustawiony na noc. Przetawiałem go z powrotem na zerowe wzmocnienie i dziesięciokrotne powiększenie, po czym ponownie złożyłem.

–Marygay nie chciała z niej strzelać. Powiedziała, że ma

tego po uszy. Nie naciskałem, ale człowiek powinien mieć zaufanie do swoich narzędzi.

Przesunąłem bezpiecznik i znalazłem bryłę ziemi, która według wskazań odległościomierza znajdowała się 100 do 120 metrów dalej. Ustawiłem podziałkę na 110, oparłem lufę o worki z piaskiem, umieściłem bryłę na skrzyżowaniu nitek celownika i nacisnąłem spust. Pocisk ze świstem wzbił chmurę kurzu około pięciu centymetrów za blisko.

–Świetnie. – Przeszawiłem broń na nocne strzelanie, zabezpieczyłem i oddałem. – A co stało się rok temu?

Ostrożnie zawinął ją w szmaty, nie dotykając lunety.

–Mieliśmy tu paru skoczków. Oddałem kilka strzałów i przegoniłem ich.

–W porządku, kto to jest „skoczek”?

–No tak, pan nie wie. – Wytrząsnął sobie papierosa i podał mi papierośnicę. – Nie wiem, dlaczego po prostu nie nazywa się ich złodziejami, skoro nimi są. A czasem również mordercami.

Wiedzą, że wielu członkom komuny bardzo dobrze się powodzi. Jeśli ktoś ma dochodowe uprawy, może zatrzymać połowę zbioru; ponadto niektórym z nas bardzo dobrze powodziło się przedtem. W każdym razie skoczkowie wykorzystują naszą względną izolację. Przybywają z miasta i usiłują zaskoczyć, zazwyczaj napaść na jedno miejsce, po czym uciec. Przeważnie nie docierają aż tak daleko, ale do farm bliżej drogi... co kilka tygodni słyszymy strzelaninę. Zazwyczaj udaje im się tylko nastraszyć dzieci. Jeśli atak trwa dłużej, włączamy syrenę i alarmujemy gminę.

–To niezbyt przyjemne dla ludzi mieszkających bliżej drogi.

–Są też pewne zalety. Oni oddają o połowę mniej zbiorów niż my. I posiadają cięższą broń.

Wzięliśmy z Marygay dwa bicykle i popedałowaliśmy do ośrodka wypoczynkowego. Przy pokonywaniu po ciemku wyboistej drogi upadłem tylko dwa razy.

W ośrodku było trochę weselej, niż opisywał Richard. Na drugim końcu sali młoda naga dziewczyna tańczyła namiętnie

przy akompaniamencie bębnow. Okazało się, że była jeszcze uczennicą; realizowała zajęcia z „względności kulturowej”.

Większość siedzących tam osób była młoda i nadal uczęszczała do szkoły. Jednak traktowali jajak dobry żart. Kiedy ktoś nauczył się czytać i pisać na tyle, aby zdać test pierwszego stopnia, musiał zaliczać tylko jeden kurs rocznie, przy czym niektóre z nich tylko na podstawie obecności. To tyle co do „osiemnastu lat obowiązkowej nauki”, jakimi straszili nas na Stargate.

Inni ludzie grali w gry stolikowe, czytali, obserwowali podry-

gującą dziewczynę lub po prostu rozmawiali. Był tam bar serwujący soję, kawę lub cienkie piwo własnej roboty. Ani śladu kartek żywnościowych; wszystko produkowane przez gminę lub nabywane na zewnątrz za talony przydziałów.

Z grupką ludzi, którzy wiedzieli, że Marygay i ja jesteśmy weteranami, zaczęliśmy dyskusję o wojnie. Trudno opisać ich nastawienie. W abstrakcyjny sposób denerwowało ich to, że idzie na to tak wiele pieniędzy podatnika; byli przekonani, że Taurańscy nigdy nie stanowili zagrożenia dla Ziemi; jednak wiedzieli również, iż niemal połowa miejsc pracy na świecie w jakiś sposób jest powiązana z wojną, tak że w razie jej zakończenia wszystko się zawali.

Uważałem, że i tak wszystko leży w gruzach, ale ja nie dorastałem w tym świecie. A oni nigdy nie zaznali „pokoju”. Wróciliśmy około pomocy, po czym Marygay i ja kolejno pełniliśmy dwugodzinną wartę. Następnego dnia rano żałowałem, że spałem tak mało.

Pług był wielkim ostrzem na kołach, o napędzie atomowym, z dwoma dźwigniami sterowniczymi. Jednak silnik nie miał zbyt wielkiej mocy; wystarczał, aby maszyna powoli pełzła naprzód, jeśli lemiesz był zanurzony w miękkiej ziemi. Nie trzeba dodawać, że na tych pięciu akrach nieużytków nie było wiele miękkiej ziemi. Lemiesz przesuwiał się kilka centymetrów, pług wiązał i buksował, aż go trochę popchnąłem, po czym przesuwiał się o kolejne kilka centymetrów. Pierwszego dnia zaorałem jedną dziesiątą akra, a potem doszedłem do jednej piątej dziennie. Praca była ciężka i wyczerpująca, ale przyjemna. Miałem słuchawki sączące mi do ucha muzykę ze starych taśm z kolekcji Richarda i cały zbrązowałem od słońca. Już zaczynałem myśleć, że mogę tak żyć zawsze, kiedy wszystko skończyło się.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy z Marygay w czytelni ośrodka rekreacyjnego, kiedy w oddali usłyszeliśmy odgłosy strzelaniny. Uznaliśmy, że lepiej wrócić do domu. Nie uszliśmy połowy drogi, kiedy strzelanina wybuchła wzdłuż lewej strony drogi, aż do ośrodka: skoordynowany atak. Musieliśmy zostawić rowery i poczołgać się rowem melioracyjnym, przy czym kule świszczały nam nad głowami. Drogą przemknął jakiś ciężki pojazd, strzelając na prawo i lewo. Minęło dobre dwadzieścia minut, zanim dotarliśmy do domu. Minęliśmy dwie farmy płonące jasnym ogniem. Byłem rad, że nasza nie jest zbudowana z drewna. Zauważyłem, że nikt nie ostrzeliwuje się z naszej wieży, ale nic nie powiedziałem. Kiedy biegliśmy do domu, zauważyliśmy przed nim ciała dwóch obcych.

Aprii leżała na podłodze; wciąż żyła, ale krwawiła z setek małych ran od odłamków. Pokój stołowy leżał w gruzach; ktoś musiał wrzucić granat przez okno lub drzwi. Zostawiłem Marygay z jej matką i pobiegłem z powrotem do wieży. Drabinka była wciągnięta, więc musiałem wspiąć się po słupie.

Richard siedział pochylony nad karabinem. W bladozielonym świetle noktowizora zauważyłem idealnie okrągłą dziurę nad lewym oknem. Trochę krwi pociekło mu grzbietem nosa i zastygło. Położyłem ciało na podłodze i zakryłem mu twarz moją koszulą. Napchałem kieszenie magazynkami i wróciłem z karabinem do domu. Marygay usiłowała pocieszyć matkę. Rozmawiały cicho. Trzymała w ręku moją śrutówkę, a na podłodze obok leżała inna. Kiedy wszedłem, Marygay podniosła głowę i rzuciła mi ponure spojrzenie.

Aprii szepnęła coś i Marygay zapytała:

–Mama chce wiedzieć, czy... tato bardzo się męczył. Ona wie, że nie żyje.

–Nie. Jestem pewien, że nic nie poczuł.

–To dobrze.

–Zawsze to coś. – Powinienem zamknąć dziób. – Tak, to dobrze.

Sprawdziłem okna i drzwi, szukając dobrego pola ostrzału.

Nie mogłem znaleźć stanowiska, na którym nie mógłby podkraść się do mnie cały pluton wrogów.

–Wyjdę na zewnątrz i na dach domu.

Nie zamierzałem wracać na wieżę.

–Nie strzelajcie, chyba że któryś wejdzie do środka... Może pomyślą, że tu nikogo nie ma.

Zanim wspiąłem się na darniowy dach, ciężki pojazd wracał drogą. W celowniku widziałem, że jedzie nim pięciu mężczyzn, czterech w szoferce i jeden na pace – otoczony łupami i trzymający karabin maszynowy. Chował się między dwiema lodówkami, ale miałem go na muszce. Nie strzeliłem, nie chcąc ściągać na nas uwagi. Pojazd zatrzymał się przed domem, stał przez moment, po czym podjechał bliżej. Przednia szyba zapewne była kuloodporna, jednak wycelowałem w twarz kierowcy i oddałem pojedynczy strzał. Kierowca podskoczył, gdy pocisk zrykoszetał z gwizdem, pozostawiając matową gwiazdę pęknięć na pancernym plastiku, a facet z tyłu otworzył ogień. Długa seria pocisków przeleciała mi nad głową; słyszałem, jak łomoczą w worki z piaskiem na wieży. Nie zauważył mnie.

Samochód był niecałe dziesięć metrów ode mnie, kiedy ogień uciął. Strzelec najwidoczniej przeładowywał broń, ukryty za

lodówką. Starannie wycelowalem i kiedy wychylił się ponownie, wpakowalem mu kulę w krtań. Miękki ołów zrykoszetował w cie-
le, wychodząc wierzchem czaszki.

Kierowca zatoczył wozem długi łuk, ustawiając pojazd tak, że
drzwi szoferki znalazły się naprzeciw drzwi do domu. W ten
sposób byli osłonięci przed ogniem z wieży i z dachu, chociaż
wątpilem, żeby wiedzieli, gdzie jestem; T-16 strzela bez błysku
i robi mało hałasu. Zdjąłem buty i ostrożnie zszedłem na dach
pojazdu w nadziei, że otworzą drzwi od strony kierowcy. Wtedy
wypełnię kabinę rykoszetującym śrutem.

Nic z tego. Najpierw otworzyły się drzwi po przeciwnej
stronie, zasłonięte przede mną okapem dachu. Czekałem na kie-
rowcę i miałem nadzieję, że Marygay jest dobrze ukryta. Nie
powinienem się martwić.

Rozległ się ogłuszający huk, potem następny i jeszcze jeden.
Ciężki wóz zakołysał się pod uderzeniem tysięcy małych strzałek.
Przeraźliwy wrzask, który zaraz ucichł.

Zeskoczyłem z ciężarówki i podbiegłem do tylnych drzwi. Ma-
rygay trzymała głowę matki na podołku; ktoś cicho płakał. Podszed-
łem do Marygay -jej policzki były suche pod moimi palcami.

–Dobra robota, kochanie.

Nie odpowiedziała. Od strony drzwi dobiegał dźwięk gęsto
padających kropel, a w powietrzu wisiał kwaśny smród dymu
i świeżego mięsa. Przytuleni do siebie doczekaliśmy świtu.

Myślałem, że Aprii zasnęła, ale w świetle poranka jej oczy
były szeroko otwarte i zasnute mgiełką. Oddychała płytko i chra-
pliwie. Skórę miała szarajak pergamin i pokrytą zaschniętą krwią.
Nie odpowiadała, kiedy coś do niej mówiliśmy.

Jakiś pojazd nadjeżdżał drogą, więc wziąłem karabin i wyszed-
łem na zewnątrz. Śmieciarka miała na jednej burcie zawieszona białe
prześcieradło, a stojący na tylnym stopniu mężczyzna krzyczał przez
megafon: „Ranni... ranni”. Pomachałem ręką i podjechali. Zabrali
Aprii na prowizorycznych noszach i powiedzieli, do którego
szpitala pojedą. Chcieliśmy zabrać się z nimi, ale nie było miejsca;
na podłodze pojazdu leżeli ludzie w różnych stadiach agonii.

Marygay nie chciała wracać do domu, ponieważ zrobiło się
dostatecznie jasno, aby zobaczyć ludzi, których tak dokładnie
zabiła. Ja wróciłem po papierosy i zmusiłem się, żeby spojrzeć.
Widok był okropny, ale tak bardzo mnie nie poruszył. Bardziej
ruszyło mnie to, że mając przed sobą ludzi przerobionych na
hamburgera, głównie zwróciłem uwagę na muchy, mrówki i smród.
Śmierć w kosmosie jest znacznie czystsza.

Pochowaliśmy ojca Marygay za domem, a kiedy wróciła

ciężarówka z drobnym ciałem Aprii owiniętym w całun, pogrzebaliśmy ją bokiem. Ciężarówka gminnego zakładu oczyszczania przyjechała trochę później i ludzie w maskach gazowych zajęli się trupami skoczków.

Siedzieliśmy w prażącym słońcu, aż wreszcie Marygay zaczęła płakać. Płakała długo, w milczeniu.

11. Spędziliśmy tę noc w pokoju hotelowym w Sioux Falls, więcej rozmawiając niż śpiąc. Doszliśmy do następujących wniosków:

Ziemia nie jest odpowiednim miejscem do życia i wszystko wskazuje na to, że sytuacja będzie jeszcze gorsza.

Jednak w kosmos mogą udać się wyłącznie członkowie Sił Zbrojnych ONZ.

Tak więc musimy ponownie zaciągnąć się albo przywyknąć do zbrodni, ciasnoty, brudu i tak dalej.

Obiecano nam stanowiska instruktorów, jeżeli znów zaciągniemy się do wojska. Jeśli poprosimy, dostaniemy przydział na Księżyc i patenty oficerskie. Wszystko to może uczynić życie w armii znacznie znośniejszym niż przedtem.

Nie licząc bitew, byliśmy w wojsku szczęśliwsi niż przez większą część naszego pobytu na Ziemi.

Rannym samolotem poleciliśmy do Miami i kolejką jednoszynową dotarliśmy na Cape.

–Jeśli was to interesuje, nie jesteście pierwszymi weteranami, którzy do nas wrócili.

Oficer werbunkowy był muskularnym porucznikiem nieokreślonej płci. W myśli rzuciłem monetę i wyszła reszka.

–O ile wiem, było już dziewięcioro innych – powiedziała namiętym tenorem. – Wszyscy wybrali Księżyc... więc może spotkacie tam jakichś przyjaciół.

Podsunęła nam dwa krótkie formularze.

–Podpiszcie tu i znów jesteście w armii. W stopniach podporuczników.

Formularz był zwykłym podaniem o przywrócenie do czynnej służby; ponieważ przedłużono obowiązkową służbę wojskową, nigdy nie zwolniono nas do cywila, tylko czasowo przeniesiono w stan spoczynku. Przeczytałem dokument.

–Tutaj nie ma nic na temat gwarancji, jakie dawano nam na Stargate.

–Nie będą potrzebne. Armia...

–Sądzę, że będą potrzebne, poruczniku.

Odsunąłem formularz. Marygay zrobiła to samo.

–Niech sprawdzę.

Wyszła z za biurka i opuściła pokój. Po chwili usłyszeliśmy grzechot drukarki.

Przyniosła te same dwa formularze, z dopisaną pod naszymi nazwiskami uwagą: GWARANTUJE SIĘ WYBRANE MIEJSCA PRZYDZIAŁU [KSIĘŻYC] I STANOWISKO [INSTRU-

KTOR SZKOLENIA BOJOWEGO].

Przeszliśmy badania lekarskie i dopasowaliśmy nowe skafandry bojowe, uporządkowaliśmy sprawy finansowe i złapaliśmy pierwszy prom następnego ranka. Czekaliśmy kilka godzin na stacji orbitalnej, ciesząc się stanem nieważkości, a potem poleciliśmy na Księżyc i wylądowaliśmy w bazie Grimaldi.

Na drzwiach prowadzących do kwater oficerskich jakiś żartowniś nabazgrał: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzić”. Znaleźliśmy dwuosobową kabinę i zaczęliśmy się przebierać, kiedy rozległo się stukanie do drzwi.

–Począta, sirs.

Otworzyłem drzwi i stojący przed nimi sierżant zasałutował. Patrzyłem na niego przez sekundę, zanim przypomniałem sobie, że jestem teraz oficerem i oddałem mu honory. Podał mi dwa identyczne faksy. Podałem jeden Marygay i oboje jednocześnie rozdziawiliśmy usta.

–Nie tracili czasu, no nie? – rzuciła ze złością Marygay.

–To na pewno stała procedura. Dowództwo Sił Zbrojnych jest całe tygodnie świetlne stąd; oni jeszcze nie wiedzą, że znów się zaciągnęliśmy.

–A co z naszymi... – Nie dokończyła.

–Gwarancjami. No cóż, zapewniono nam możliwość wyboru. Nikt nie gwarantował, że zostaniemy tu dłużej niż godzinę.

–To takie podłe.

Wzruszyłem ramionami.

–Jak całe wojsko.

Jednak nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wracamy do domu.

**PORUCZNIK
MANDELLA
2024-2389 A.D.**

I. – Szybko i skutecznie.

Patrzyłem na sierżanta z mojego plutonu, Santestebana, ale mówiłem do siebie. I do każdego, kto słuchał.

–Taak – powiedział. – Musimy to zrobić od razu albo będziemy upieprzeni.

Mówił obojętnie, lakonicznie. Na haju.

Przyszły szeregowie Collins i Halliday. Bezwiednie trzymały się za ręce.

–Poruczniku Mandella? – spytała załamującym się głosem. – Czy możemy chwilę porozmawiać?

–Najwyżej minutę – odparłem, trochę zbyt ostro. – Przykro mi, ale za pięć minut ruszamy.

Nie mogłem na nie patrzeć. Żadna nie miała doświadczenia bojowego. Jednak wiedziały to, co wszyscy inni: jak niewielkie mają szansę na to, żeby znowu być razem. Przycupnęły w kącie, mamrocząc coś do siebie i wymieniając mechaniczne pieśczęty, bez namiętności czy choćby przyjemności. Collins miała błyszczące oczy, ale nie płakała. Halliday tylko spoglądała ponuro, tępym wzrokiem. Zwykle była o wiele ładniejsza od kochanki, ale teraz uszło z niej powietrze, pozostawiając ładną, pustą powłokę. W ciągu tych kilku miesięcy od chwili opuszczenia Ziemi przyzwyczailem się do lesbijek. Nawet przestałem ubolewać nad utratą ewentualnych partnerek. Jednak na widok mężczyzn homoseksualistów nadal dostawałem dreszczy.

Rozebrałem się i wszedłem do skorupy pancerza. Nowe skafandry były o wiele bardziej skomplikowane, z nowymi układami biometrycznymi i przeciwwstrząsowymi. Oba warto było podłączyć na wypadek, gdybyś miał stracić jakąś część ciała. Wróciłoby się do domu ze sporą rentą i bohatersko wyglądającą protezą. Wspominali nawet o możliwości regeneracji, przynajmniej utraczonych rąk i nóg. Lepiej żeby uporali się z tym szybko, inaczej na Heaven zaroi się od inwalidów. Heaven było nową planetą-szpitałem, a zarazem kurortem.

Zakończyłem procedurę wstępną i skafander zamknął się. Zacisnąłem zęby w oczekiwaniu na ból, który nie nadszedł, gdy wewnętrzne czujniki i cewniki zagłębiły się w moje ciało. W rezultacie manipulacji z układem nerwowym czuło się tylko lekkie oszołomienie. Lepsze to od udręki tysięcy ukłuć.

Collins i Halliday już wchodziły w skafandry, a tuzin innych żołnierzy kończyło procedurę, więc poszedłem do rejonu zgrupowania trzeciego plutonu. Jeszcze raz pożegnać się z Marygay.

Była w skafandrze i szła w moim kierunku. Zamiast używać radia, zetknęliśmy się hełmami. Intymny kontakt.

–Dobrze się czujesz, kochanie?

–W porządku – powiedziała. – Zażyłam tabletkę.

–Taak, pigułki szczęścia. – Ja też połknąłem jedną; miały zwiększać poczucie optymizmu, nie wpływając na zdolność oceny sytuacji. Wiedziałem, że większość z nas zapewne zginie, ale nie przejmowałem się tym. – Prześpisz się ze mną dziś w nocy?

–Jeżeli oboje tu będziemy – odparła ostrożnie. – Na to też będę musiała połknąć pigułkę. Mam na myśli sen. Jak przyjmują to nowi? Masz ich dziesięciu?

–Taak, są OK. Na prochach, jedna czwarta dawki.

–Ja zrobiłam to samo z moimi. Staraj się trzymać ich w luźnym szyku.

Santesteban jako jedyny w moim plutonie posiadał jakieś doświadczenie bojowe; czwórka kaprali miała staż w SZ ONZ, ale nigdy nie brała udziału w walce.

Głośnik w mojej kości policzkowej zatrzeszczał, a komendant Cortez powiedział:

–Dwie minuty. Ustawić ludzi w szeregu.

Pożegnaliśmy się i wróciłem sprawdzić moje stadko. Wszyscy bez problemów weszli do swoich skafandrów, więc ustawiłem ich w szyku. Wydawało nam się, że czekamy już bardzo długo.

–W porządku, załadunek.

Przy tych słowach drzwi ładowni otworzyły się przede mną

–z pomieszczenia już wyssano powietrze – i poprowadziłem moich ludzi na statek desantowy.

Te nowe statki były potwornie brzydkie. Zwyczajna skorupa z przytrzymującymi cię uchwytami, z laserowymi działkami na dziobie i na rufie oraz z niewielkimi tachionowymi silnikami poniżej laserów. Wszystko zautomatyzowane: maszyna najszybciej jak się da wylądować na planecie, a potem wystartuje, żeby nękać wroga. Zwykła rakietka do jednorazowego użytku. Pojazd, który miał nas zabrać, jeżeli przeżyjemy, był zaparkowany obok i znacznie ładniejszy.

Przypięliśmy się i statek desantowy oderwał się od „Sangre y Victoria”, zostawiając za sobą dwie bliźniacze smugi wyplute z paszcz silników. Potem mechaniczny głos rozpoczął odliczanie i z przyspieszeniem 4 g pomknęliśmy w dół.

Planeta, której nawet nie nadaliśmy nazwy, była kawałem czarnej skały pozbawionym sąsiedztwa jakiegokolwiek gwiazdy, która mogłaby go ogrzać. Z początku była widoczna jedynie przez brak gwiazd, których blask zasłaniała, jednak w miarę jak opadaliśmy, dostrzegaliśmy zmiany odcienia czerni jej powierzchni.

Kierowaliśmy się na półkulę przeciwległą do tej, na której znajdował się taurański posterunek.

Zwiad donosił, że ich obóz był ulokowany na środku płaskiej wulkanicznej równiny o średnicy kilkuset kilometrów. Była bardzo prymitywna w porównaniu z innymi taurańskimi bazami wykrytymi przez SZ ONZ, ale zaatakowanie jej z zaskoczenia było niemożliwe. Mieliśmy wyskoczyć zza horyzontu jakieś piętnaście klików od

niej – cztery statki nadlatujące z różnych stron, gwałtownie wytracające prędkość w nadziei, że wylądujemy przy samym celu i natychmiast otworzymy ogień. Nie było niczego, za czym można by się ukryć.

Oczywiście wcale się tym nie przejmowałem. Mimowolnie pomyślałem, że nie powinienem był łykać tej tabletki.

Wyrównaliśmy mniej więcej kilometr nad powierzchnią i pomknęliśmy z prędkością znacznie większą od prędkości ucieczki tej planetoidy, nieustannie korygując kurs, żeby nie odlecieć w kosmos. Powierzchnia migiała pod nami ciemnoszarą smugą; staliśmy na nią słabą poświatę z dysz naszych silników tachionowych, przemykając z jednej rzeczywistości w drugą.

Niezgrabny stateczek trząsał się i podskakiwał przez jakieś dziesięć minut; potem nagle błysnął przedni silnik i szarpnęło nami do przodu, a pod wpływem gwałtownej deceleracji oczy usiłowały wyskoczyć nam z orbit.

–Przygotować się do odpalenia – powiedział mechaniczny kobiecy głos. – Pięć, cztery...

Lasery statku otworzyły ogień, milisekundowe strumienie światła stroboskopowymi błyskami oświetlały powierzchnię planety. Była plątaniną krętych szczelin, lejów i rzadko rozsianych czarnych głazów, kilka metrów pod naszymi stopami. Opadaliśmy i zwalnialiśmy.

–Trzy...

Nie było nam dane doczekać końca odliczania. W oślepiającym rozbłysku zobaczyłem horyzont uciekający w dół, gdy rufa stateczku opadła, a potem zawadziła o powierzchnię – i już koziółkowaliśmy, siejąc szczątkami statku i ludzi. Po długim ślizgu zatrzymaliśmy się ze zgrzytem i usiłowałem wstać, ale kadłub przygniótł mi nogę; przeszywający ból i chrupnięcie, gdy statecznik zmiażdżył kość; ostry świst powietrza uchodzącego z mojego skafandra; potem pstryknięcie włączającego się układu przeciwwstrząsowego, kolejny ból i potoczyłem się po ziemi, a krew płynąca z kikuta nogi zamarzała, zostawiając błyszczący ciemny ślad na matowoczonej skale. Poczulem w ustach metaliczny smak i wszystko zasnuła czerwona mgła, która zmieniła się w brązowy rzeczny muł, potem w wir i straciłem przytomność, pod wpływem tabletki zdążywszy jeszcze pomyśleć, że nie jest tak źle...

Skafander jest skonstruowany tak, żeby uratować jak największą część ciała. Jeśli stracisz kawałek ręki lub nogi, jedna z szesnastu ostrych jak brzytwy przysłon zamyka się za raną z siłą prasy hydraulicznej, odcinając kończynę i uszczelniając skafander, zanim umrzesz w wyniku gwałtownej dekompresji. Potem „układ przeciwwstrząsowy” kauteryzuje kikut, uzupełnia straconą krew i podaje ci głupiego Jasia oraz środki przeciwszokowe. Tak więc albo umrzesz naćpany, albo – jeśli twoim kompanom uda się wygrać bitwę – po pewnym czasie przetransportują cię do ambulatorium na statku.

Zwyciężyliśmy w tym starciu, kiedy leżałem nieprzytomny w kokonie pancerza. Obudziłem się w szpitalu. Był zatłoczony. Leżałem pośrodku długiego rzędu prycz, na każdej z nich leżał ktoś, kto został w trzech czwartych (lub nie) uratowany przez układ przeciwwstrząsowy skafandra. Dwaj lekarze okrętowi, stojący w jaskrawym świetle przy stołach operacyjnych i pochłonięci jakimś krwawym rytuałem, nie zwracali na nas uwagi. Obserwowałem ich przez dłuższy czas. Mrużyli oczy w jaskrawym świetle, a krew na ich zielonych fartuchach mogłaby być smarem, zbroszone ciała zaś kadłubami dziwnych, miękkich maszyn oddanych do naprawy. Jednak te maszyny krzyczały przez sen, a mechanicy mamrotali coś uspokajająco, naprawiając je. Patrzyłem, spałem i budziłem się w innych miejscach.

W końcu zbudziłem się w prawdziwym szpitalu. Byłem przywiązany do łóżka i odżywiany przez rurkę, a tu i ówdzie miałem poprzyczepiane biosensory, jednak nigdzie nie zauważyłem lekarzy. Jediną osobą oprócz mnie była Marygay, śpiąca na łóżku obok mojego. Prawe ramię miała amputowane tuż poniżej łokcia.

Nie obudziłem jej, tylko długo patrzyłem na nią i usiłowałem uporządkować moje uczucia. Usiłowałem otrząsnąć się spod wpływu środków uspokajających. Patrząc na jej kikut, nie czułem ani współczucia, ani odrazy.

Próbowałem wzbudzić w sobie jedno lub drugie uczucie, ale nie zdołałem. Miałem wrażenie, że zawsze tak wyglądała. Czy sprawiły to leki, uwarunkowanie czy miłość? Czas miał pokazać. Nagle otworzyła oczy i wiedziałem, że od jakiegoś czasu już nie spała, pozwalając mi zebrać myśli.

–Cześć, połamana zabawko – powiedziała.

–Jak... jak się czujesz?

Błyskotliwe pytanie.

Przycisnęła palec do ust i pocałowała go znajomym gestem.

–Głupio i dziwnie. Cieszę się, że już nie będę żołnierzem.

–Uśmiechnęła się. – Czy powiedzieli ci? Lecimy na Heaven.

–Nie. Wiedziałem, że albo tam, albo na Ziemię.

–Heaven będzie lepsza. – Wszystko byłoby lepsze. –

Chciałabym, żebyśmy już tam byli.

–Ile jeszcze? – spytałem. – Ile potrwa, zanim tam dolecimy?

Przekręciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit.

–Nie mam pojęcia. Z nikim nie rozmawiałeś?

–Dopiero się zbudziłem.

–Jest nowy rozkaz, o czym nie raczyli powiedzieć nam wcześniej. „Sangre y Yictoria” ma rozkazy odnośnie do czterech różnych misji. Mamy walczyć, aż wykonamy wszystkie cztery. Albo aż

**będziemy mieli tylu rannych, że nie da się dalej prowadzić działań.
–llu?**

**–Zastanawiam się. Już straciliśmy przeszło jedną trzecią.
Jednak kierujemy się na Alepha-7. Skok na gacie.**

**Nowe określenie typu operacji, której głównym celem było
zdobycie taurańskich urządzeń, a jeśli to możliwe, również jeń-
ców. Próbowałem wymyślić, skąd wzięło się to określenie, ale
jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mi do głowy, było zupeł-
nie idiotyczne.**

Pukanie do drzwi i wpadł dr Foster. Zamachał rękami.

**–Jeszcze w osobnych łóżkach? Marygay, myślałem, że
lepiej się czujesz.**

**Foster był w porządku. Stary pedał, ale heteroseksualnych
traktował z podszytą rozbawieniem tolerancją.**

**Zbadał kikut Marygay, a potem mój. Wetknął nam termome-
try w usta, tak że nie mogliśmy rozmawiać. Kiedy sam zaczął
mówić, był poważny i niczego nie owijał w bawełnę.**

**–Nie będę was czarował. Oboje jesteście nafaszerowani
prochami po uszy i rany nie będą was boleć, dopóki nie odstawię
środków znieczulających. Dla własnej wygody będę was karmił
nimi, aż dotrzemy na Heaven. Mam tu dwadzieścia jeden przy-
padków amputacji, którymi muszę się zająć. Nie chcę mieć dwu-
dziestu jeden pacjentów z psychozą. Cieszcie się spokojem ducha,
dopóki możecie. Szczególnie wy dwoje, ponieważ pewnie ze-
chcecie zostać razem. Protezy, które dostaniecie na Heaven, będą
działać doskonale, ale za każdym razem, kiedy ona popatrzy na
twoją sztuczną nogę albo ty na jej ramię, będziecie myśleć, że to
drugie miało szczęście. Będziecie przypominać sobie nawzajem
tamten ból i stratę... Po tygodniu możecie się znienawidzić. Albo
zatrwać sobie resztę życia tym wspomnieniem. A może zdołacie
to przezwyciężyć. Wzmocnicie waszą miłość. Tylko nie wolno
wam oszukiwać się, jeśli to się nie uda.**

**Sprawdził wskazania obu termometrów i zanotował coś
w swoim notatniku.**

**–Lekarz wie najlepiej, nawet jeśli trochę odstaje od wa-
szych staromodnych standardów. Pamiętajcie o tym.**

**Wyjął mi termometr z ust i poklepał mnie po ramieniu. Tak
samo postąpił z Marygay. Stojąc w drzwiach, powiedział:**

**–Za jakieś sześć godzin wykonamy przejście kolapsarowe.
Jedna z pielęgniarek zaprowadzi was do zbiorników.**

**Weszliśmy do zbiorników – o wiele wygodniejszych od
dawnych indywidualnych osłon przeciwprzeciążeniowych –
i wpadliśmy w pole kolapsara Tet-2, rozpoczynając serię szaleń-**

czych manewrów przy 50 g, które miały uchronić nas przed atakiem nieprzyjacielskich krążowników, kiedy po mikrosekundzie wyskoczyliśmy w pobliżu Alepha-7.

Jak łatwo było przewidzieć, kampania na Alephie-7 okazała się kompletnym fiaskiem, po którym nasze łączne straty wynosiły pięćdziesięciu czterech zabitych i trzydziestu dziewięciu rannych. Pozostało tylko dwunastu żołnierzy zdolnych do walki, jednak nie można powiedzieć, żeby specjalnie rwali się do niej.

Dotarliśmy do Heaven po trzech skokach kolapsarowych.

Żaden statek nie wracał tam bezpośrednio z pola bitwy, chociaż zwłoka czasem kosztowała życie paru rannych. Po Ziemi była to druga planeta, jakiej Taurańczycy nie mieli prawa znaleźć.

Heaven było ślicznym, nietkniętym światem podobnym do Ziemi, która tak mogłaby wyglądać, gdyby człowiek traktował ją z miłością, zamiast brutalnie wyzyskiwać. Dziewicze lasy, białe plaże, czyste pustynie. Nieliczne miasta albo idealnie wtapiały się w otoczenie (jedno zbudowano całkowicie pod ziemią), albo były dumnymi pomnikami ludzkiej pomysłowości; jak Oceanus na rafie koralowej z sześcioma stopami wody nad przezroczystymi dachami, Boreas przycupnięty na ściętym wierzchołku góry wśród polarnych bezdroży i legendarne Skye – wielki ośrodek wypoczynkowy unoszący się w podmuchach wiatru nad kontynentami.

Wylądowaliśmy, jak wszyscy, w położonym w dżungli Threshold. W trzech czwartych będące szpitalem, było największym miastem na planecie, chociaż z góry, schodząc z orbity, wcale na to nie wyglądało. Jedynym śladem cywilizacji był nagle pojawiający się, krótki pas startowy – wąskie białe pasmo, pomniejszone przez gęstwinę podzwrotnikowej puszczy napierającej od wschodu i bezmiar oceanu dominującego z drugiej strony.

Spod kopuły drzew miasto było znacznie lepiej widoczne.

Niskie budynki z miejscowego kamienia i drewna stały wśród pni dziesięciometrowej grubości. Łączyły je starannie rozplanowane kamienne alejki i szeroka promenada biegnąca nad brzeg morza.

Później dowiedziałem się, że miasto zajmowało obszar przeszło 200 kilometrów kwadratowych i nawet do najodleglejszego zakątka można było dojechać metrem. Równowaga ekologiczna Threshold była bardzo starannie wyrównana i utrzymywana tak, żeby przypominało otaczającą je dżunglę, pozbawioną wszelkich niebezpieczeństw i niedogodności. Silne pole ochronne nie przepuszczało dużych drapieżników i owadów niepotrzebnych rosnącym w mieście roślinom.

Poszliśmy, pokuśtykaliśmy lub potoczyliśmy się do najbliż-

szego budynku, który okazał się izbą przyjęć. Reszta szpitala – trzydzieści pięter – znajdowała się pod ziemią. Każdy pacjent został zbadany i umieszczony w osobnym pokoju; chciałem dostać podwójny z Marygay, ale nie mieli.

Na Ziemi był rok 2189. Tak więc miałem 215 lat; o Boże, spójrzcie na tego starego pierdziela. Zrobimy zrzutkę... nie, nie trzeba. Lekarz, który mnie badał, powiedział, że mój żołąd zostanie przekazany z Ziemi na Heaven. Razem z odsetkami, stawałem się prawie miliardem. Napomknął, że na Heaven znajdę mnóstwo okazji do wydania moich milionów.

Najpierw zajęli się najciężej rannymi, tak więc minęło kilka dni, zanim wzięli mnie na chirurgię. Później obudziłem się w moim pokoju i stwierdziłem, że przyczepili mi do kikuta protezę – skomplikowany mechanizm z błyszczącego metalu, wyglądający dla mnie, laika, jak szkielet nogi i stopy. Wyglądało to upiornie jak cholera, zamknięte w przezroczystym worku z płynem, z którego wychodziły przewody biegnące do jakiegoś aparatu na końcu łóżka. Wszedł adiutant.

–Jak się pan czuje, sir?

O mało co powiedziałem mu, żeby przestał wygłupiać się z tym „sir” – skończyłem z wojskiem, tym razem na dobre. A może lepiej pozwolić mu myśleć, że przewyższam go rangą.

–Nie wiem. Trochę boli.

–Będzie bolało jak skurczysyn. Jak tylko zaczną odrastać nerwy.

–Nerwy?

–Jasne. – Gmerał przy maszynie, sprawdzając kontrolki po drugiej stronie. – Co to byłaby za noga bez nerwów? Mógłby pan na niej tylko siedzieć.

–Nerwy? Takie jak normalne nerwy? Chce pan powiedzieć, że pomyślę „rusz się”, a to naprawdę zrobi krok?

–Oczywiście.

Spojrzał na mnie i wrócił do swojej roboty. Co za cuda.

–Protetyka rzeczywiście poczyniła postępy.

–Prot...żeco?

–No wie pan, sztuczne...

–Ach, tak jak w książkach. Drewniane nogi, haki zamiast raki tak dalej.

Jak załapał się do tej pracy?

–Tak, protetyka. Chodzi mi o to, co jest na końcu mojego kikuta.

–Proszę posłuchać, sir. – Odłożył notatnik, w którym coś pisał. – Długo pana nie było. To będzie noga, taka sama jak

druga, tyle że nie da jej się złamać.

–Z rękami też to robicie?

–No pewnie, z każdą kończyną. – Znowu zaczął pisać. –

Wątroby, nerki, żołądki, wszystkie narządy. Nadal pracują nad sercem i płucami, na razie stosują mechaniczne substytuty.

–Fantastyczne.

A więc Marygay też będzie cała.

Wzruszył ramionami.

–Tak sądzę. Robili to, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Ile ma pan lat, sir?

Powiedziałem mu. Zagwizdał.

–Do licha! Chyba tkwi pan w tym od początku.

Miał bardzo dziwny akcent. Wszystkie słowa wymawiał prawidłowo, ale brzmiały jakoś dziwnie.

–Taak. Brałem udział w ataku Epsilon. Na Alephie-0.

Zaczęli nazywać kolapsary symbolami hebrajskiego alfabetu, w kolejności odkrycia, a potem zabrakło im liter, kiedy tego cholerstwa namnożyło się jak królików. Wtedy dodali do liter cyfry; ostatnim kolapsarem, o jakim słyszałem, był Yod-42.

–Oo, stare dzieje! Jak wtedy było?

–Sam nie wiem. Mniej tłoczno, spokojniej. Wróciłem na Ziemię rok temu... do licha, sto lat temu. Zależy, jak na to patrzeć. Było tak okropnie, że zaciągnąłem się ponownie. Banda zombie. Bez obrazu.

Wzruszył ramionami.

–Nigdy tam nie byłem. Ludzie, którzy stamtąd przylatują, wydają się tęsknić. Może sytuacja poprawiła się.

–A więc urodził się pan na innej planecie? Na Heaven?

Nic dziwnego, że nie mogłem umiejscowić jego akcentu.

–Tutaj urodziłem się, wychowałem i zaciągnąłem. – Schował pióro z powrotem do kieszeni i złożył notatnik do rozmiarów portfela. – Tak, sir. Aniołek w trzecim pokoleniu. Z najlepszej planety w całym cholernym SZ ONZ.

Wymówił nazwę wyraźnie, niejako „szonz”, jakie zazwyczaj słyszałem.

–Przepraszam, ale muszę już lecieć. Mam jeszcze dwa aparaty do sprawdzenia. – Cofnął się od drzwi. – Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, na stoliku jest przycisk dzwonka. Aniołek w trzecim pokoleniu. Jego dziadkowie przybyli z Ziemi, zapewne kiedy byłem młodym, stuletnim szczawikiem. Zastanawiałem się, ile światów skolonizowali za moimi plecami. Stracisz rękę, wyhodują ci nową?

Dobrze będzie osiąść gdzieś na stałe i przeżyć każdy rok

z mijających lat.

Facet nie żartował, kiedy mówił o bólu. I nie chodziło tylko o nową nogę, chociaż rana paliła żywym ogniem. Aby nowe tkanki „przyjęły się”, musieli zmniejszyć oporność mojego organizmu na obce komórki; w kilku miejscach rozwinął się rak, którego również musieli wyleczyć, a kuracja była bolesna.

; Byłem wykończony, ale mimo to z fascynacją patrzyłem, jak lawnie mi nowa noga. Białe nitki rozwinęły się w naczynia krwionośne i nerwy, z początku zwisające luźno, potem zajmujące

swoje miejsce, w miarę jak mięśnie obrastały metalową kość.

Przywykłem do tego widoku, więc wcale mnie nie brzydził.

Jednak przeżyłem szok, kiedy po raz pierwszy odwiedziła mnie

Marygay – zanim odrosła jej skóra, moja miła wyglądała jak

chodzący preparat anatomiczny. Jednak przyzwyczailem się do

tego i Marygay przychodziła codziennie na kilka godzin, żeby

pograć w coś, poplotkować, albo po prostu siedzieć i czytać,

podczas gdy jej ręka powoli odrastała w plastikowym gipsie.

Już od tygodnia miałem skórę na nodze, kiedy zdjęli mi

opatrunek i odłączyli aparat. Kończyna wyglądała paskudnie jak

diabli, bezwłosa i trupio biała, sztywna jak metalowy pręt. Jednak

już była sprawna – do pewnego stopnia. Mogłem kuśtykać.

Przenieśli mnie na ortopedię, w celu „poprawienia zdolności

motorycznych” – ładne określenie tortur. Sądzą cię w maszynie,

która zgina, a potem prostuje starą i nową nogę jednocześnie.

Nowa opiera się.

Marygay ćwiczyła opodal, metodycznie uginając ramię. Mu-

siała cierpieć jeszcze bardziej; popołudniami, kiedy spotykaliśmy

się, żeby wyjść na górę i opalać się w łagodnym słońcu, wyglądała

mizernie i blado.

W miarę upływu dni ćwiczenia przestały być udręką, a stały

się męczącą gimnastyką. Oboje zaczęliśmy pływać przez godzinę

każdego pogodnego dnia, w chłodnym, strzeżonym przez pole

siłowe morzu. Na lądzie jeszcze kulałem, ale w wodzie radziłem

sobie już dość dobrze.

Jedyny dreszczyk emocji – który poruszył nasze przytępione

wojną zmysły – podczas pobytu na Heaven poczuliśmy w tej

pilnie strzeżonej wodzie.

Za każdym razem, gdy lądował jakiś statek, musieli na ułamek

sekundy wyłączyć pole; inaczej kosmolot po prostu odbiłby się

od ochronnej kopuły. Od czasu do czasu jakieś zwierzę przemy-

kało się przy tym do środka, ale naprawdę niebezpieczne stwo-

żenia lądowe Heaven są zbyt powolne, żeby zdążyły przesko-

czyć. Inaczej jest z mieszkańcami mórz.

Niekwestionowanym władcą oceanów Heaven jest paskudny stwór, nazwany przez aniołki – ze względu na pewne podobieństwo – „rekinem”. Tyle że to zwierzę mogłoby połknąć stadko ziemskich rekinów na śniadanie.

Do środka dostał się średniej wielkości biały „rekin”, który całymi dniami łomotał w ścianę pola siłowego, udręczony widokiem beztrosko pluskającego się po drugiej stronie białka.

Na szczęście dwie minuty przed wyłączeniem pola dali sygnał syreną, tak że nikogo nie było w wodzie, kiedy stwór śmignął do brzegu. Dosłownie śmignął, niemal wyskakując na plażę w zaciekleym, bezowocnym ataku.

Jego potężne, dwunastometrowe cielsko zaczynało się paszczą pełną kłów długości ramienia, a kończyło ostrym jak brzytwa ogonem. Ślepie – wielkie, żółte kule – sterczały na ruchomych słupkach ponad metr nad wodę. Paszczę miał tak wielką, że bez trudu mógłby stanąć w niej dorosły człowiek. I uwiecznić się na pamiątkę dla spadkobierców.

Nie mogli po prostu wyłączyć pola i czekać, aż stwór odpłynie. Tak więc zorganizowali polowanie.

Pomysł udawania hors d'oeuvre dla wielkiej ryby nie budził we mnie nadmiernego entuzjazmu, ale Marygay dużo polowała z harpunem jako dziecko dorastające na Florydzie i zapaliła się do tych łowów. Ustąpiłem, kiedy dowiedziałem się, na czym to ma polegać; wydawało się dość bezpieczne.

Podobno te „rekiny” nigdy nie atakowały ludzi w łodziach.

Dwie osoby, które miały więcej zaufania do opowieści rybaków niż ja, uzbrojone jedynie w kawał wołowiny, podpłynęły łódką pod pole siłowe. Wyrzucili mięso za burtę i rekin w mgnieniu oka był przy nich.

To był sygnał dla nas, żeby zacząć zabawę. Takich głupców stało na plaży dwudziestu trzech, w płetwach, maskach i z harpunami. Harpuny budziły szacunek – każdy miał głowicę z materiałem wybuchowym i własny silnik.

Skoczyliśmy i popłynęliśmy rzędem, pod wodą, w kierunku posilającego się potwora. Kiedy nas zobaczył, z początku nie atakował. Próbował schować mięso, zapewne po to, żeby któreś z nas nie

podkradło się i nie zżarło mu posiłku, kiedy będzie rozprawiał się z innymi. Jednak za każdym razem, gdy próbował uciec na głęboką wodę, odbijał się od pola siłowego. Wyraźnie miał tego dość.

W końcu puścił mięso, obrócił się i zaatakował. Duża rzecz.

W jednej sekundzie był wielkości twojego palca, daleko na drugim końcu kąpieliska, a w następnej wyrósł tuż przed tobą.

Trafiło go chyba z dziesięć harpunów – mój nie – rozszar-

pując na strzępy. Jednak nawet po tym, jak celny lub przypadkowy strzał w łeb pozbawił go górnej części czaszki i jednego oka, nawet pozostawiając za sobą krwawą smugę ciała i wnętrzości, zdołał dopaść nas i chwycić w paszczę jakąś kobietę, której odgryzł obie nogi, nim zdechł.

Wyciągnęliśmy ją, ledwie żywą, na plażę, gdzie czekał ambulans. Podali jej mnóstwo preparatów krwiozastępczych i przeciwwstrząsowych, po czym błyskawicznie odwieźli do szpitala, gdzie –uratowaną– czekały męczarnie towarzyszące odrastaniu nóg.

Stwierdziłem, że polowanie na ryby zostawię innym rybom.

Większa część naszego pobytu w Threshold, od kiedy leczenie stało się znośniejsze, była dość przyjemna. Żadnej wojskowej dyscypliny, mnóstwo książek do czytania i rozrywek. Jednak nad wszystkim tym wisiał ponury cień, gdyż nie ulegało wątpliwości, że jeszcze nie skończyliśmy z armią: byliśmy jak zepsute wyposażenie, które trzeba naprawić przed ponownym użyciem. Obojgu nam pozostały jeszcze trzy lata służby.

Jednak mieliśmy sześć miesięcy odpoczynku, zanim nasze nowe kończyny zostały uznane za w pełni sprawne. Marygay została wypisana dwa dni wcześniej, ale zaczekała na mnie. Mój zaległy żołd wyniósł 892 746 012 dolarów. Na szczęście nie w postaci worków forsy; na Heaven używano elektronicznych kart kredytowych, więc nosiłem przy sobie swoją fortunę w niewielkim urządzeniu z cyfrowym wyświetlaczem. Aby kupić coś, wystarczyło wystukać numer konta sprzedającego i należną kwotę, która była automatycznie przelewana na jego rachunek. Urządzenie miało rozmiary portfela i było zakodowane na odcisk kciuka. Gospodarka Heaven opierała się na nieustannej obecności tysięcy wypoczywających żołnierzy-milionerów. Skromny drink kosztował sto zielonych, a noc w pokoju co najmniej dziesięć razy tyle. Ponieważ Heaven było zbudowane i zarządzane przez SZ ONZ, ta potworna inflacja niewątpliwie miała na celu w prosty sposób wprowadzić nasze pieniądze z powrotem do obiegu.

Bawiliśmy się, rozpaczliwie chcieliśmy się bawić. Wynajęliśmy samolot, sprzęt biwakowy i całymi tygodniami zwiedzaliśmy planetę. Pływaliśmy w lodowatych rzekach i przedzieraliśmy się przez gęste dżungle; widzieliśmy równiny, góry, polarne bezdroża i pustynie. Mogliśmy korzystać z całkowitej izolacji od środowiska zapewnianej przez indywidualne pola siłowe – spać nago w zamieci – albo współistnieć z naturą. Na prośbę Marygay ostatnią rzeczą, jaką zrobiliśmy przed powrotem do cywilizacji, było wejście na samotny szczyt na pustyni, gdzie odbyliśmy kilkudniową głodówkę dla wyostrenia zmysłów (albo stępienia wrażliwo-

ści – wciążyć nie jestem pewien), siedząc oparci plecami o siebie w prażącym słońcu, kontemplując ospały rytm życia.

A potem znów uciechy cielesne. Zwiedziliśmy wszystkie miasta na planecie i każde miało swój urok, ale w końcu wróciliśmy do Skye, gdzie spędziliśmy resztę urlopu.

W porównaniu do Skye pozostała część planety to tani szynk. Przez cztery tygodnie korzystania z uciech podniebnego miasta oboje wydaliśmy po pół miliarda dolarów. Graliśmy – czasem przegrywając w jedną noc milion dolarów lub więcej -jedliśmy i piliśmy to, co planeta miała najlepszego do zaoferowania, i korzystaliśmy z wszelkich usług i produktów, które nie były zbyt ekstrawaganckie dla naszych zdecydowanie archaicznych gustów. Zatrudnialiśmy służących, których pensje były zbliżone do gaży generałów.

Jak już powiedziałem, rozpaczliwie chcieliśmy się bawić.

O ile sposób prowadzenia wojny nie uległ radykalnej zmianie, nasze szansę na przeżycie następnych trzech lat były mikroskopijnie małe. Byliśmy zdrowymi ofiarami śmiertelnej choroby, usiłującymi przeżyć całe życie w ciągu pół roku.

Pocieszało nas – i to bardzo – tylko jedno: że choćby pozostało nam już bardzo niewiele życia, przynajmniej przeżyjemy je razem. Z jakiegoś powodu nigdy nie przyszło mi do głowy, że nawet tego nas pozbawią.

Jedliśmy lekki obiad na przezroczystym „parterze” Skye, patrząc na przepływający pod nami ocean, kiedy przyszedł posłaniec i wręczył nam dwie koperty: nasze rozkazy.

Marygay awansowała na kapitana, a ja na majora, po uwzględnieniu naszego doświadczenia oraz badań, jakie przeszliśmy w Thres-hold.

Zostałem dowódcą kompanii, a ona szefem kompanii.

Jednak nie były to te same kompanie.

Ją przydzielono do nowego oddziału formowanego właśnie na Heaven. Ja wracałem na Stargate w celu „indoktrynacji i przeszkolenia” przed objęciem dowodzenia.

Przez dłuższą chwilę nie byliśmy w stanie powiedzieć słowa.

–Będę protestował – powiedziałem w końcu, bez przekonania. – Nie mogą zrobić ze mnie dowódcy.

Marygay była zdruzgotana. To nie była tylko rozłąka. Nawet jeśli skończy się wojna i ruszymy na Ziemię w odstępie kilku minut, ale na różnych statkach, kolapsarowy skok spiętrzy między nami całe lata. Kiedy drugie z nas przybędzie na Ziemię, pierwsze będzie pewnie pół wieku starsze; a najprawdopodobniej martwe. Siedzieliśmy tak przez długi czas, nie tykając wspaniałych dań, ignorując otaczające nas piękno, świadomi tylko siebie oraz

istnienia dwóch kartek papieru rozdzielających nas przepaścią równie szeroką i głęboką jak śmierć.

Wróciliśmy do Threshold. Protestowałem, ale zbyli mnie niczym. Usiłowałem ściągnąć Marygay do mojej kompanii. Powiedzieli, że wszystkie stanowiska są już obsadzone. Przypomniałem, że większość tych ludzi pewnie jeszcze nie przyszła na świat. Mimo to są obsadzone, powiedzieli. Minie prawie wiek, powiedziałem, zanim dolecę na Stargate. Odparli, że dowództwo uwzględnia to w swoich planach.

Szkoda, że nie uwzględnia ludzi.

Spędziliśmy razem jeszcze noc i dzień. Im mniej o tym powiem, tym lepiej. Nie było to jedynie rozstanie kochanków. Marygay i ja byliśmy dla siebie ostatnią więzią z prawdziwym życiem, z Ziemią lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Nie z tą perwersyjną groteską, jakiej mieliśmy bronić. Kiedy prom Mary-

gay wystartował, wydało mi się, że ktoś sypnął pierwszą łopatę ziemi do mojego grobu. Zażądałem dostępu do komputera i sprawdziłem orbitę jej statku oraz czas odlotu; stwierdziłem, że mogę obserwować to z „naszej” pustyni.

Wylądowałem na górze, na której razem głodowaliśmy, i kilka godzin przed świtem widziałem, jak na zachodzie pojawia się nowa gwiazda, rozbłyskuje jasnością i przygasa, zwiększając odległość, stając się jedną z wielu gwiazd, potem migoczącą plamką, a potem niczym. Podeszedłem na skraj urwiska i spojrzałem w dół, na pionowe skały opadające ku niewyraźnym zarysom wydm zastygłych pół kilometra niżej. Usiadłem, zwieszając nogi nad przepaścią, nie myśląc o niczym, aż pierwsze promienie słońca oświetliły wydmy miękkim, kuszącym blaskiem natychmiastowego ukojenia. Dwukrotnie szykowałem się do skoku. Nie zrobiłem tego bynajmniej nie ze strachu przed bólem czy utratą czegoś. Ból byłby tylko krótkotrwałą iskierką, a straciłaby jedynie armia. Tyle że byłoby to ich ostateczne zwycięstwo nade mną- tak długo kierowali moim życiem, a teraz jeszcze doprowadziliby do jego zakończenia.

Postanowiłem pozostawić tę przyjemność nieprzyjacielowi.

**MAJOR
MANDELLA
2458-3143 A.D.**

I. Na czym polegało to doświadczenie, j jakie niegdyś przeprowadzano na lekcjach biologii? Weź płazińca i naucz go przepływać przez labirynt. Potem zmiksuj go, nakarm nim głupiego płazińca i patrz! – ten głupi też będzie umiał przepłynąć przez labirynt.

Miałem w ustach paskudny smak generała.

Prawdę mówiąc, sądziłem, że od moich szkolnych czasów udoskonalili jakoś tę technikę. W wyniku dylatacji czasu mieli na badania i rozwój przeszło 450 lat.

Moje rozkazy głosiły, że na Stargate mam przejść „indoktrynację i przeszkolenie” przed objęciem dowodzenia własnym Oddziałem Uderzeniowym, który wciąż nazywali kompanią.

Podczas szkolenia na Stargate nie siekali generałów, żeby podać mi ich z majonezem. Przez trzy tygodnie nie podawali mi niczego oprócz glukozy. Glukoza i elektrody.

Zgolili wszystkie włosy na moim ciele, zrobili mi zastrzyk, który zmienił mnie w szmatę, przyczepili tuziny elektrod do mojej głowy i ciała, zanurzyli mnie w zbiorniku z natlenianym fluorowęgłowodorem i podłączyli mnie do ASSB. Skrót od „akceleratorowego symulatora sytuacji bojowych”. Ten nie dał mi się nudzić. Maszynie wystarczyło jakieś dziesięć minut, żeby sprawdzić moją wiedzę z dziedziny sztuki (przepraszam za wyrażenie) wojennej. Potem zaczęła karmić mnie nowościami.

Nauczyła mnie, jak najlepiej wykorzystać każdą broń, od kamienia po bombę typu „nova”. Nie tylko intelektualnie; po to były te wszystkie elektrody. Cybemetycznie kontrolowane wszczepianie odruchów warunkowych; czułem broń w rękach i widziałem skutki jej działania. I ćwiczyłem, dopóki nie nauczyłem się dobrze nią posługiwać. Złudzenie rzeczywistości było całkowite. Używałem włóczni razem z bandą masajskich wojowników napadających na inną wieś, a moje ciało było rosłe i czarne. Ćwiczyłem szermierkę z elegancko ubranym mężczyzną o wyglądzie okrutnika, na dziedzińcu osiemnastowiecznego francuskiego pałacu. Siedziałem spokojnie na drzewie z karabinem Sharpsa i celowałem do postaci w niebieskich mundurach. W ciągu trzech tygodni zabiłem legiony elektronicznych duchów. Wydawało mi się, że minął rok, ale ASSB naprawdę wyczynia przedziwne rzeczy z twoim poczuciem czasu.

Nauka posługiwania się bezużytecznym, egzotycznym orężem stanowiła tylko niewielką część szkolenia. Prawdę mówiąc,

chyba najprzyjemniejszą. Ponieważ kiedy nie ćwiczyłem, maszyna całkowicie unieruchamiała moje ciało i napychała mój umysł faktami oraz doktrynami wojskowymi zebranymi w ciągu minionych czterech tysiącleci. I niczego nie byłem w stanie zapomnieć! Przynajmniej dopóki znajdowałem się w zbiorniku.

Chcecie wiedzieć, kim był Scypion Emilianus? Ja nie chciałem. Kroniki wojen punickich. Wojna jest odmianą niebezpieczeństwa, tak więc najważniejszą cechą wojownika jest odwaga, twierdził von Clausewitz. I nigdy nie zapomnę poezji zawartej w słowach „grupa wypadowa zazwyczaj posuwa się w kolumnie, na czele której idzie dowództwo plutonu, za nim obsady laserów i broni ciężkiej oraz reszta obsługi laserów; kolumna prowadzi obserwację na flankach, chyba że teren i widoczność dyktują konieczność skierowania niewielkich oddziałów zwiadowczych na boki, a wtedy dowódca grupy wypadowej wyznacza sierżanta...” – i tak dalej. Ten cytat pochodzi z Krótkiego podręcznika dowódcy malej jednostki bojowej, jeżeli można nazwać krótkim coś, co zajmuje dwie całe mikrofisze, czyli 2000 stron.

Jeśli chcesz zostać ekspertem w sprawach, do których czujesz głębokie obrzydzenie, wstąp do SZ ONZ i zapisz się na kurs oficerski.

Stu dziewiętnastu ludzi, a ja byłem odpowiedzialny za 118 z nich. Wliczając w to mnie, ale nie licząc komandora, który zapewne mógł zatroszczyć się o siebie.

W czasie dwutygodniowej rehabilitacji po treningu z ASSB nie spotkałem nikogo z mojej kompanii. Przed pierwszym przydziałem miałem zameldować się u oficera ds. orientacji czasowej. Połączyłem się z jego biurem, żeby ustalić termin, i jakiś urzędnik powiedział, że pułkownik spotka się ze mną po obiedzie w Klubie Oficerskim na szóstym poziomie.

Zjechałem na szóste wcześniej, zamierzając zjeść tam obiad, ale nie mieli nic oprócz przekąsek. Tak więc pogryzałem grzyby w smaku przypominające trochę eskarolę, a resztę kalorii spożyłem w postaci alkoholu.

–Major Mandella?

Byłem zajęty siódmym piwem i nie zauważyłem podchodzącego pułkownika. Zacząłem podnosić się z fotela, ale gestem polecił mi siedzieć i ciężko osunął się na fotel naprzeciw mnie.

–Jestem pańskim dłużnikiem – zaczął. – Oszczędził mi pan co najmniej połowę nudnego wieczoru. – Wyciągnął do mnie rękę. – Jack Kynock, do usług.

–Pułkowniku...

–Niech pan da spokój z pułkownikiem, a ja dam spokój

z majorem. My, skamieliny, powinniśmy... zachować właściwą perspektywę.

–W porządku.

Zamówił drinka, o jakim nigdy nie słyszałem.

–Od czego tu zacząć? Według akt, ostatnio był pan na Ziemi w 2007.

–Zgadza się.

–Nie spodobało się panu, prawda?

–Nie.

Zombie, ludzie-roboty.

–No cóż, potem trochę się poprawiło. A później znów pogorszyło, dziękuję.

To ostatnie powiedział do szeregowca, który przyniósł mu drinka – pieniącą się ciecz, która była ciemnozielona na dnie, a seledynowa u góry szklanki. Pociągnął łyk.

–Potem znów polepszyło się, a potem pogorszyło i... Cyklicznie.

–A jak jest teraz?

–No cóż... Nie jestem pewien. Sterty raportów i tak dalej, ale trudno odsiać propagandową wrzawę. Nie byłem tam od prawie dwustu lat; wtedy było bardzo źle. Zależy, co kto lubi.

–Co pan ma na myśli?

–Zaraz wyjaśnię. Było tam bardzo emocjonująco. Słyszał pan kiedyś o ruchu pacyfistycznym?

–Nie sądzę.

–Hmm, nazwa jest zwodnicza. W rzeczywistości prowadzili wojnę partyzancką.

–Myślałem, że będę mógł podać nazwę, rangę i numer identyfikacyjny każdej wojny od czasów starożytnej Troi. Chyba zapomnieli o tej jednej.

Uśmiechnął się.

–Nie bez powodu. Słyszałem, że rozpętali ją weterani, którzy uszli z życiem z Yod-38 i Alepha-40; razem przeszli do cywila i postanowili przejąć kontrolę nad SZ ONZ na Ziemi. Cieszyli się sporym poparciem ludności.

–Jednak nie zwyciężyli.

–Wciąż tu jesteśmy. – Zakręcił płynem w szklance i kolory zmieniły się. – Prawdę mówiąc, znam to jedynie ze słyszenia. Kiedy ostatni raz odwiedziłem Ziemię, wojna była skończona – toczyły się jeszcze tylko drobne potyczki. I nie był to wtedy bezpieczny temat konwersacji.

–Trochę mnie to dziwi – stwierdziłem – a nawet więcej niż trochę, że ludność Ziemi zrobiła coś wbrew... wbrew życze-

niom rządu.

Mruknął coś pod nosem.

–Przecież to po prostu rewolucja! Kiedy my tam byliśmy, nie znalazłoby się nikogo, kto powiedziałby choć słowo przeciw SZ ONZ – czy choćby przeciw lokalnym władzom. Byli głęboko przekonani, iż należy wszystko brać za dobrą monetę.

–Ach, tak. To również zmieniało się cyklicznie. – Pułkownik wygodnie oparł się o fotel. – To nie kwestia techniki. Gdyby tego chciał, rząd Ziemi mógł mieć całkowitą kontrolę... nad każdą odbiegającą od normy myślą i czynnością każdego obywatela, od kołyski po grób.

–Nie robili tego, ponieważ dałoby to oplakane skutki. Dlatego, że trwa wojna. Weźmy na przykład pana: czy uwarunkowano pana podczas szkolenia?

Namyślałem się chwilę.

–Jeżeli nawet, to wcale nie muszę o tym wiedzieć.

–Zgadza się. Przynajmniej częściowo. Jednak proszę mi wierzyć na słowo, tę część pańskiego mózgu zostawili w spokoju. Jakakolwiek zmiana pańskiego stosunku do SZ ONZ, do tej wojny czy do wojny jako takiej, jest wynikiem wyniesionych doświadczeń. Nikt nie zmieniał pańskich podstawowych motywacji. I powinien pan wiedzieć dlaczego.

Nazwy, daty, liczby wypadły z labiryntu nowo nabytej wiedzy.

–Tet-17, Sed-21, Aleph-14. Lazło... Raport Nadzwyczajnej Komisji Lazło z czerwca 2106 roku.

–Racja. A ponadto pańskie własne doświadczenia z Alepha-1. Roboty nie są dobrymi żołnierzami.

–Jednak mogłyby nimi być. W dwudziestym pierwszym wieku. Uwarunkowanie behawioralne mogłoby być ziszczeniem snu generałów. Armią posiadającą najlepsze cechy SS, pretorianów czy Złotej Ordy. Bojówki Mosby'ego, Zielone Berety.

Zaśmiał się nad szklanką.

–I niech pan rzuci taką armię na mały oddziałek ludzi we współczesnych skafandrach bojowych. Walka zakończy się po paru minutach.

–O ile ci w skafandrach zachowają zimną krew. I będą walczyli jak lwy, żeby zostać przy życiu.

Pokolenie żołnierzy, które analizowano w raporcie Lazło, od urodzenia przygotowywano do urzeczywistnienia czyjejs wizji idealnego wojownika. Wspaniale współdziałali w zespole, byli zlaknieni krwi, nie zwracali uwagi na własne bezpieczeństwo – i Taurańczycy roznieśli ich w strzępy. Taurańczycy również walczyli z pogardą śmierci. Jednak byli w tym lepsi i zawsze było ich więcej.

Kynock upił łyk i popatrzył na barwy.

–Sprawdziłem pański profil psychiczny – rzekł. – Zarówno przed przybyciem tutaj, jak i po szkoleniu. Jest zasadniczo taki sam, przedtem i teraz.

–To pocieszające – odparłem i zamówiłem kolejne piwo.

–Czy na pewno?

–A co, nie będzie ze mnie dobry oficer? Mówiłem im to od początku. Nie nadaję się na dowódcę.

–Ma pan trochę racji, ale nie do końca. Chce pan znać swój profil psychiczny?

Wzruszyłem ramionami.

–To zastrzeżone informacje, prawda?

–Tak – odrzekł. – Jednak jest pan teraz majorem. Może pan zażądać charakterystyki każdego podwładnego.

–Nie spodziewam się większych niespodzianek.

Jednak byłem odrobinę zaintrygowany. Które zwierzę nie lubi przeglądać się w lustrze?

–Racja. Uznano pana za pacyfistę. W dodatku nieudanego, co wywołało lekką neurozę. Z którą radzi pan sobie, zrzucając ciężar odpowiedzialności na armię.

Nowe piwo było tak zimne, że bolały mnie zęby.

–Wciąż bez niespodzianek.

–Gdyby miał pan zabić człowieka, a nie Taurańczyka, nie jestem pewien, czy potrafiłby pan to zrobić. Chociaż z pewnością zna pan tysiące sposobów zabijania.

Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. A to prawdopodobnie oznaczało, że miał rację.

–O ile chodzi o zdolności przywódcze, to nie jest ich pan pozbawiony. Jednak lepiej nadawałby się pan na nauczyciela lub księdza; woli pan być lubiany. Pragnie pan zaszczepiać innym swoje poglądy, a nie narzucać swoją wolę. Co oznacza – i tu ma pan rację – że będzie pan piekielnie kiepskim oficerem, o ile nie weźmie się pan w garść.

Roześmiałem się.

–SZ ONZ musiały wiedzieć o tym, kiedy kierowały mnie na szkolenie oficerskie.

–Są jeszcze inne cechy – powiedział. – Na przykład posiada pan umiejętność przystosowania się, sporą inteligencję i analityczny umysł. I jest pan jednym z jedenaściorga ludzi, którzy przeżyli całą wojnę.

Nie mogłem się oprzeć.

–Umiejętność przeżycia jest cenna u szeregowca, ale oficer powinien świecić przykładem. Tonąć ze statkiem. Chodzić po

murach, nie okazując lęku.

To go ruszyło.

–Na pewno nie wtedy, kiedy zmiennik znajduje się w odległości tysiąca lat świetlnych.

–To wszystko nie trzyma się kupy. Po co ciągnęli mnie tutaj z Heaven i ryzykowali, że „nie wezmę się w garść”, skoro chyba jedna trzecia żołnierzy na Stargate jest lepszym materiałem na oficerów? Boże, ten wojskowy sposób myślenia!

–Podejrzewam, że to raczej biurokratyczny sposób myślenia – przynajmniej w pewnym stopniu. Ma pan zbyt imponujący staż, żeby być zwykłym żołnierzem.

–Wszystko przez dylatację czasu. Brałem udział tylko w trzech kampaniach.

–Bez znaczenia. Ponadto to i tak dwie i pół kampanii więcej niż przeżywa przeciętny żołnierz. Chłopcy od propagandy zapewne zrobią z pana coś w rodzaju ludowego bohatera.

–Ludowego bohatera. – Łyknąłem piwa. – Gdzie jest John Wayne teraz, kiedy naprawdę go potrzebujemy?

–John Wayne? – potrząsnął głową. – Wie pan, ja nigdy nie przeszedłem tego szkolenia. Nie jestem ekspertem w historii wojskowości.

–Nieważne.

Kynock dokończył drinka i poprosił szeregowca, żeby podał mu – przysięgam na Boga – „rum z Antaresa”.

–No cóż, mam być pańskim oficerem do spraw orientacji czasowej. Co pan wie o terażniejszości? O tym, co dzieje się obecnie.

Wciąż przetrawiałem jego poprzednie słowa.

–Nigdy nie przeszedł pan szkolenia?

–Nie, to tylko dla oficerów liniowych. Koszt komputera i energii zużytej w trakcie takiego trzytygodniowego szkolenia wynosi tyle, ile kilkudniowy budżet całej Ziemi. To zbyt droga zabawa dla nas, urzędasów.

–Pańskie odznaczenia wskazują, że jest pan oficerem liniowym.

–Kiedyś byłem.

Rum z Antaresa podano w wysokiej szklance; w bursztynowym napoju pływała odrobina lodu. Na dnie byłajasnoczerwona kulka, mniej więcej wielkości kciuka; wychodziły z niej falujące strzępki.

–Co to takiego, to czerwone?

–Cynamon. Och, raczej jakiś ester kwasu cynamonowego.

Całkiem niezłe... Chce pan spróbować?

–Nie, dzięki, zostanę przy swoim piwie.

–Niżej, na pierwszym poziomie, maszyna biblioteczna przechowuje plik orientacji czasowej, uaktualniany codziennie przez mój personel. Może pan zwrócić się do niej ze szczegółowymi pytaniami. Ja przede wszystkim chciałem... przygotować pana na spotkanie z pańskim oddziałem.

–A co, wszyscy są cyborgami? Klonami?

Roześmiał się.

–Nie, klonowanie ludzi jest nielegalne. Główny problem polega na tym, że, hmm... jest pan heteroseksualny.

–Och, nie ma sprawy. Jestem tolerancyjny.

–Tak, z pańskich akt wynika, że... uważa się pan za tolerancyjnego, ale nie w tym rzecz.

–Ach tak.

Wiedziałem, co chce powiedzieć. Nie znałem szczegółów, ale domyślałem się, o co chodzi.

–Do SZ ONZ przyjmuje się wyłącznie ludzi emocjonalnie stabilnych. Wiem, że trudno to panu zaakceptować, lecz pański heteroseksualizm jest uważany za dysfunkcję emocjonalną. Stosunkowo łatwą do wyleczenia.

–Jeżeli myślą, że będą leczyć mnie...!

–Spokojnie, jest pan za stary. – Pociągnął łyczek. – Nie będzie panu tak trudno przywyknąć do nich, jak...

–Chwileczkę. Chce pan powiedzieć, że nikt... że wszyscy w mojej kompanii to homoseksualiści? Oprócz mnie?

–Williamie, wszyscy mieszkańcy Ziemi są homoseksualistami. Poza garstką weteranów i zatwardziałych konserwatystów.

–Ach tak.

Co miałem powiedzieć?

–To chyba dość drastyczny sposób rozwiązania problemu przeludnienia?

–Możliwe. W każdym razie sprawdza się; ludność Ziemi nie przekracza jednego miliarda. Kiedy ktoś umiera lub opuszcza planetę, na jego miejsce zostaje wylęgnięty nowy obywatel.

–Nie „urodzony”.

–Urodzony, owszem, ale nie w staromodny sposób. Dawniej określano to mianem „dzieci z próbówki”, jednak, oczywiście, wcale nie używa się do tego próbówek.

–No, to już coś.

–Częścią każdego takiego procesu jest sztuczna macica, zajmująca się człowiekiem przez pierwsze osiem lub dziesięć miesięcy po wylęgnięciu. To, co nazwałby pan narodzinami, trwa kilka dni; nie jest takim gwałtownym, bolesnym procesem jak niegdyś.

Dzielny nowy świat, pomyślałem.

–Żadnego wstrząsu poporodowego. Miliard doskonale przystosowanych homoseksualistów.

–Doskonale przystosowanych według dzisiejszych ziemskich standardów. Panu i mnie mogliby wydać się trochę dziwni.

–To ogromne niedopowiedzenie. – Dopilem resztę piwa.

–A pan sam, hmm... czy jest pan homoseksualistą?

–Och, nie – odparł. Odetchnąłem. – Jednak nie jestem już heteroseksualistą.

Klepnął się w biodro, które wydało dziwny dźwięk.

–Zostałem ranny i okazało się, że mam rzadką chorobę układu limfatycznego – nie można mnie regenerować. Od pasa w dół nic, tylko plastik i metal. Posługując się pańskim określeniem, jestem cyborgiem.

Totalny odlot, jak mawiała moja matka.

–Hej, szeregowy! – zawołałem do kelnera. – Przynieście mi tego czegoś z Antaresa!

Siedzę sobie w barze z aseksualnym cyborgiem, który jest pewnie jedynym, oprócz mnie, normalnym człowiekiem na całej tej cholernej planecie.

–I proszę podwójną porcję!

2. Wyglądali zupełnie normalnie, kiedy następnego dnia weszli do auli, w której mieli odbyć pierwsze zajęcia z musztry.

Większość z nich wyszła ze żłobka zaledwie siedem lub osiem lat wcześniej. Żłobek był kontrolowanym, odizolowanym środowiskiem, do którego mieli dostęp jedynie nieliczni specjaliści – głównie pediatrzy i nauczyciele. Kiedy ktoś opuszcza żłobek w wieku dwunastu lub trzynastu lat, wybiera sobie imię (nazwisko otrzymuje po przodku-dawcy z najlepszą pulą genową) i staje się dorosłym na okres próbny, z wykształceniem równym temu, jakie zdobyłem po pierwszym roku szkoły średniej. Większość rozpoczyna bardziej specjalistyczne studia, lecz niektórzy dostają przydział i rozpoczynają pracę.

Są bardzo uważnie obserwowani i każdy, kto wykazuje jakies oznaki socjopatii, takie jak inklinacje heteroseksualne, zostaje wysłany do zakładu poprawczego. Tam albo go wyleczą, albo pozostawią do końca życia.

W wieku dwudziestu lat wszyscy zostają powołani do SZ ONZ.

Większość siedzi przez pięć lat za biurkiem, a potem wraca do cywila. Nielicznych szczęśliwców, mniej więcej jednego na osiem tysięcy, zachęca się do odbycia przeszkolenia bojowego. Odмова jest „socjopatyczna”, chociaż oznacza pozostanie w wojsku przez kolejne pięć lat. A szansa przeżycia tych dziesięciu lat jest

tak niewielka, że bliska zeru; nikomu się to nie udało. Jedyna nadzieja w tym, że wojna skończy się przed upływem tych dziesięciu (rzeczywistych) lat służby. I może dylatacja czasu przedzieli wszystkie bitwy jak największą liczbą lat.

Ponieważ na jeden rok czasu rzeczywistego przypada mniej więcej jedna bitwa, którą przeżywa około 34 procent uczestników, łatwo można obliczyć szansę przetrwania dziesięciu lat wojny. To prawdopodobieństwo wynosi około dwie tysięczne procenta. Równie dobrze możesz wziąć staromodny sześciostrowiec, załadować go czterema nabojami i zagrać w rosyjską ruletkę. Jeśli uda ci się zrobić to dziesięć razy pod rząd, nie ochlapując ścian – moje gratulacje! Przeszedłeś do cywila.

Ponieważ SZ ONZ liczyły około dziesięciu tysięcy żołnierzy liniowych, należało oczekiwać, że 1,2 żołnierza przeżyje te dziesięć lat. Wcale nie oczekiwałem, że to ja będę tym szczęśliwcem, chociaż miałem już za sobą połowę tego okresu.

Ilu z tych młodych żołnierzy wchodzących do auli wiedziało, że są zgubieni? Próbowałem dopasować twarze do akt, które przeglądałem przez cały ranek, jednak przychodziło mi to z trudem. Wszyscy zostali wybrani ze względu na ten sam zestaw cech i wyglądali tak samo: wysocy, ale nie za wysocy; muskularni, lecz nie powolni; inteligentni, ale nie posepni... Pod względem rasowym Ziemia była znacznie bardziej jednorodna niż w czasach mojej młodości. Większość mieszkańców wyglądała na Polinezyjczyków. Tylko dwoje z nich, Kayibanda i Lin, wyglądało zdecydowanie na reprezentantów innych ras. Zastanawiałem się, czy spotykali się z niechęcią pozostałych.

Większość kobiet nie olśniewała urodą, chociaż w mojej sytuacji pewnie nie powinienem krytykować. Od ponad roku, od chwili rozstania z Marygay, żyłem w celibacie.

Zastanawiałem się, czy któraś nie zdradza choćby śladów atawizmu albo chciałaby spróbować ekscentrycznych rozkoszy ze swoim dowódcą. Oficerowi nie wolno wchodzić w związki seksualne z podwładnymi. Jakiż miły sposób ujęcia sprawy. Pogwałcenie tego przepisu powoduje konfiskatę wszystkich funduszy i degradację do stopnia szeregowca lub – jeśli taki związek wpływa na obniżenie zdolności bojowej oddziału -podlega karze śmierci. Gdyby wszystkie punkty regulaminu SZ ONZ były łamane tak jak ten, mielibyśmy totalne rozprężenie.

Nie podobał mi się żaden z chłopców. Chociaż nie byłem pewien, co będzie po jeszcze jednym roku celibatu.

–Baa-czność!

To porucznik Hilleboe. Fakt, że nie zerwałem się na równe

nogi, najlepiej świadczył o mojej zimnej krwi. Wszyscy pozostali stanęli na baczność.

–Nazywam się porucznik Hilleboe i jestem waszym szefem kompanii.

Przedtem było to stanowisko sierżanta. Najlepszym dowodem skostnienia armii jest nadmierna liczba oficerów.

Hilleboe zachowywała się jak twardy, zawodowy żołnierz.

Zapewne każdego ranka wyrzaskiwała rozkazy do lustra – przy goleniu. Jednak widziałem jej akta i wiedziałem, że tylko raz była w akcji, w dodatku jedynie kilka minut. Straciła rękę oraz nogę i została awansowana, tak samo jak ja, w wyniku testów, jakim poddali ją w klinice regeneracyjnej.

Do diabła, może przedtem była bardzo miłą osobą; wystarczająco bolesne było odrastanie jednej kończyny.

Sprzedawała im typową gadkę sierżanta, twardą-ale-szczerą: nie zwracajcie mi głowy duperelami, obowiązuje hierarchia służbowa, większość problemów rozwiązywać na poziomie piątego szczebla drabiny służbowej.

Pożałowałem, że wcześniej nie znalazłem chwili czasu, żeby z nią porozmawiać. Dowództwo popędzało – nazajutrz mieliśmy wejść na pokład statku – i zdążyłem zamienić tylko kilka słów z moimi oficerami.

To za mało, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że Hilleboe i ja mieliśmy zdecydowanie odmienne poglądy na to, jak należy kierować kompanią. To prawda, że kierowanie należało do niej; ja tylko dowodziłem. Jednak to ona tworzyła opinię „dobry-zły facet”, używając linii służbowej, aby odizolować się od podległych jej mężczyzn i kobiet. Ja nie zamierzałem być tak obojętny i chciałem przeznaczyć codziennie godzinę na wysłuchiwanie żołnierzy, którzy zechcieliby zwrócić się do mnie ze skargami lub wnioskami, bez pozwolenia swoich zwierzchników.

Podczas trzytygodniowego kursu oficerskiego oboje nas nakarmiono tymi samymi informacjami. Zadziwiająco, że doszliśmy do krańcowo odmiennych konkluzji co do sposobu dowodzenia. Na przykład taka polityka „otwartych drzwi” dała doskonałe rezultaty w „nowoczesnych” armiach Australii i Ameryki. I zdawała się szczególnie odpowiednia w naszej sytuacji, kiedy przez całe miesiące, a może nawet lata, mieliśmy tłoczyć się na niewielkiej przestrzeni. Stosowaliśmy ten system na „Sangre y Victoria”, moim poprzednim statku, na którym dobrze się sprawdzał.

Trzymała ich na spocznij, omawiając te organizacyjne bzdety; wkrótce postawi ich na baczność i przedstawi mnie. O czym będę mówił? Zamierzałem powiedzieć tylko kilka komunałów, wyjaś-

nić moją politykę otwartych drzwi i przekazać pałeczkę komandor Antopol, która powie coś o „Masaryku II”. Jednak lepiej poczekać z tym do czasu, aż porozmawiam z Hilleboe; prawdę mówiąc, najlepiej będzie, jeśli to ona wyjaśni ludziom zasadę otwartych drzwi, żeby nie wyglądało na to, że skaczymy sobie do gardeł. Uratował mnie zastępca – kapitan Moore. Wypadł z bocznych drzwi – zawsze przemykał jak pulchny meteor – szybko zsalutował i podał mi kopertę zawierającą nasze rozkazy operacyjne. Zamieniłem szeptem kilka zdań z komandor Antopol, która zgodziła się, że mogę wyjawić wszystkim cel naszej misji, chociaż rozkazy nie zobowiązywały mnie do informowania o tym podwładnych.

Jedyną rzeczą, o jaką nie musieliśmy martwić się podczas tej wojny, byli nieprzyjacielscy agenci. Pokryty dostatecznie grubą warstwą farby

Taurańczyk mógł ewentualnie uchodzić za sprzęt

laboratoryjny. Musiałby budzić podejrzenia.

Hilleboe postawiła ich na baczność i posłusznie opowiadała im, jakim będę dobrym dowódcą; że brałem udział w tej wojnie od początku i jeśli chcą przeżyć do końca służby, powinni brać ze mnie przykład. Nie wspomniała o tym, że jestem kiepskim żołnierzem z talentem do unikania kuł. Ani o tym, że wystąpiłem z wojska przy pierwszej nadarzającej się okazji i wróciłem tylko dlatego, że życie na Ziemi okazało się nie do zniesienia.

–Dziękuję, poruczniku – powiedziałem i zająłem jej miejsce na podium. – Spocznij.

Rozłożyłem kartkę papieru, na której napisano nasze rozkazy, i podniosłem ją.

–Mam kilka wiadomości – dobrych i złych.

Żart sprzed pięciu wieków teraz stał się zwykłym stwierdzeniem faktu.

–Oto nasze rozkazy operacyjne do kampanii Sade-138. Dobra wiadomość polega na tym, że zapewne nie będziemy walczyć, a przynajmniej nie od razu.

Przy tych słowach lekko poruszyli się, ale nikt nie odezwał się ani nie oderwał ode mnie oczu. Zdyscyplinowani. A może to tylko fatalizm; nie wiedziałem, na ile realistyczny jest ich obraz przyszłości. A właściwie jej braku,

–Mamy rozkaz... odnaleźć największą planetę przejścia orbitującą wokół kolapsara Sade-138 i wybudować tam bazę. Potem strzec bazy, aż do przybycia zmiany. To zapewne zajmie nam dwa do trzech lat. W ciągu tego czasu niemal na pewno zostaniemy zaatakowani. Jak zapewne wiecie, dowództwo odkryło pewną prawidłowość w przemieszczaniu się nieprzyjaciela z kolapsara

na kolapsar. Mają nadzieję, że w końcu uda im się prześledzić te skomplikowane zależności czasoprzestrzenne i znaleźć ojczystą planetę Taurańczyków. Obecnie możemy jedynie wysłać oddziały przechwytyjące, żeby zapobiec ekspansji wroga. Ogólnie rzecz biorąc, właśnie to mamy robić. Będziemy jednym z kilku tuzinów oddziałów biorących udział w takiej blokadzie wzdłuż granicy wrogiego terytorium. Znaczenia tej misji nie da się przecenić -jeśli SZ ONZ zdoła powstrzymać ekspansję wroga, może uda nam się go okrążyć. I wygrać wojnę.

Najlepiej, zanim wszyscy będziemy nieboszczykami.

–Jedno chcę wam wyjaśnić: możemy zostać zaatakowani już podczas lądowania albo okupować planetę latami i spokojnie wrócić do domu.

Akurat.

–Cokolwiek się zdarzy, wszyscy musimy przez cały czas utrzymywać stan podwyższonej gotowości bojowej. W czasie transportu będą przeprowadzane regularne treningi i szkolenia. Szczególnie w zakresie stawiania budowli, ponieważ mamy jak najszybciej zbudować tam bazę i urządzenia obronne.

Boże, zaczynałem nawijać jak prawdziwy oficer.

–Są jakieś pytania? – Nie było żadnych. – A więc przedstawiam komandor Antopol. Komandorze?

Komandor nie ukrywała znużenia, przedstawiając wyposażenie i możliwości „Masaryka II” bandzie szczurów lądowych. Większość z tego, co mówiła, dowiedziałem się na kursie, ale zwróciłem uwagę na jej ostatnie słowa.

–Sade-138 będzie najdalej leżącym kolapsarem, do jakiego dotarł człowiek. Właściwie nie leży już w naszej galaktyce, lecz jest częścią Wielkiego Obłoku Magellana, odległego o 150 000 lat świetlnych. Nasza podróż wymaga czterech skoków kolapsarowych i potrwa cztery miesiące czasu pokładowego. Zanim dotrzemy do Sade-138, manewry w polach kolapsarowych przesuną nas o trzysta lat względem kalendarza Stargate.

Kolejne kilkaset lat diabli wezmą – o ile dożyję powrotu.

Chociaż to i tak niczego nie zmieni; Marygay równie dobrze mogłaby być martwa, a nie było nikogo innego, kto cokolwiek dla mnie znaczył.

–Jak już powiedział major, nie pozwólcie zwieść się tym liczbom. Wróg również kieruje się na Sade-138; może dotrze tam równocześnie z nami. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji trudno obliczyć, ale wierzcie mi: to będzie zacięty wyścig.

–Majorze, czy chciałby pan coś dodać?

Zacząłem podnosić się z fotela.

–No cóż...

–Baa-czność! – wrzasnęła Hilleboe.

–Tylko to, że za kilka minut chcę spotkać się z kadrą oficerską od czwartego szczebla wzwyż. Dowódcy plutonów odpowiadają za doprowadzenie swoich oddziałów w rejon zgrupowania 67, jutro rano o 4.00. Do tego czasu ogłaszam zajęcia własne. Rozejść się.

Zaprosiłem całą piątkę oficerów do mojej kwatery i postawiłem butelkę francuskiego koniaku. Kosztowała mój dwumiesięczny żołd, ale co miałem zrobić z pieniędzmi? Inwestować? Rozdałem kieliszki, ale Alsever, lekarz, odmówiła. Zamiast tego złamała szyjkę małej kapsułki i podsunęła ją sobie pod nos, wdychając głęboko. Potem bez powodzenia usiłowała ukryć euforię.

–Zacznijmy od jednego podstawowego problemu – powiedziałem, nalewając. – Czy wszyscy wiecie, że nie jestem homoseksualistą?

Nierówny chór „tak, sir” i „nie, sir”.

–Czy sądzicie, że to skomplikuje moją sytuację jako dowódcy? Wobec kadry i żołnierzy?

–Sir, ja nie... – zaczął Moore.

–Bez tytułowania – powiedziałem. – Nie w naszym ścisłym gronie. Cztery lata temu mojego czasu byłem jeszcze szeregowcem. Kiedy w pobliżu nie ma żołnierzy, jestem po prostu William lub Mandella.

Mówiąc to, czułem, że popełniam błąd.

–Proszę dalej.

–No cóż, Williamie – podjął. – To mogłoby być problemem sto lat temu. Wiesz, jakie wtedy było nastawienie.

–Prawdę mówiąc, nie wiem. Moje jedyne wiadomości z okresu od dwudziestego pierwszego wieku do dziś obejmują wyłącznie historię wojskowości.

–Och. No więc, to było... hmm... jak to powiedzieć? – Zamachał rękami.

–Przestępstwem – podsunęła lakonicznie Alsever. – Właśnie wtedy Komisja Eugeniki zaczęła oswajać ludzi z ideą powszechnego homoseksualizmu.

–Komisja Eugeniki?

–Agenda SZ ONZ. Działa wyłącznie na Ziemi.

Głęboko wciągnęła gaz z otwartej kapsułki.

–Chodziło o powstrzymanie ludzi przed płodzeniem dzieci w tradycyjny sposób. Ponieważ: a) ludzie wykazują pożałowania godny brak rozsądku w doborze genetycznego partnera i b) Ko-

misja stwierdziła, że różnice rasowe są przyczyną niepotrzebnych podziałów w społeczeństwie. Posiadając całkowitą kontrolę nad procesem poczęcia, w ciągu kilku pokoleń mogli stworzyć populację zunifikowaną rasowo.

Nie wiedziałem, że posunęli się tak daleko. Jednak zapewne było to logiczne.

–Aprobujesz to? Jako lekarz.

–Jako lekarz? Nie jestem pewna.

Wyjęła z kieszeni następną kapsułkę i obracała ją między kciukiem a palcem wskazującym, patrząc nie widzącym wzrokiem. A może widziała coś, czego my nie mogliśmy dostrzec.

–Pod pewnymi względami to znacznie ułatwia mi pracę.

Wiele chorób po prostu przestało istnieć. Jednak wydaje mi się, że oni nie wiedzą o genetyce aż tyle, ile im się wydaje. To nie jest nauka ścisła; mogą popełniać poważne błędy, których skutki ujawnią się po kilkuset latach.

Złamała kolejną kapsułkę i dwukrotnie wciągnęła nosem powietrze.

–Jednak jako kobieta jestem całkowicie za tym.

Hilleboe i Rusk energicznie kiwnęły głowami.

–Ponieważ nie ma potrzeby męczyć się przy porodzie?

–Między innymi. – Zrobiła komicznego zeza, patrząc na kapsułkę, po czym powąchała ją jeszcze raz. – A głównie dlatego, że... nie muszę mieć... mężczyzny. W sobie. Rozumiesz. To obrzydliwe.

Moore roześmiał się.

–Diano, jeżeli nigdy nie próbowałaś, to nie możesz...

–Och, zamknij się! – Żartobliwie rzuciła w niego pustą kapsułką.

–Przecież to zupełnie naturalne – protestowałem.

–Tak samo jak życie na drzewach lub wykopywanie korzeni zaostrzonym kijem. Postęp, majorze, postęp.

–W każdym razie – powiedział Moore – uważano to za przestępstwo tylko przez pewien czas. Potem uznano za... hm... uleczalną...

–Chorobę – podpowiedziała Alsever.

–Dziękuję. A teraz występuje tak rzadko... Wątpię, czy ktokolwiek z mężczyzn i kobiet na pokładzie ma na ten temat sprecyzowane poglądy.

–Rodzaj dziwactwa – powiedziała wielkodusznie Diana.

–Nie traktują cię tak, jakbyś pożerał dzieci.

–Zgadza się, Mandella – dodała Hilleboe. – To nie ma żadnego znaczenia.

–Cię... cieszę się.

Wspaniale. Właśnie doszedłem do wniosku, że nie mam zielonego pojęcia, jak powinienem zachowywać się jako dowódca. Tak wiele moich „normalnych” odruchów opierało się na niepisanych przepisach seksualnej etykiety. Czy mam traktować mężczyzn jak kobiety i vice versa? Czy też uważać wszystkich za siostry i braci? To było bardzo niepokojące.

Skończyłem drinka i odstawiłem szklankę.

–No cóż, dzięki za słowa pocieszenia. Głównie o tym chciałem z wami porozmawiać. Jestem pewien, że macie dużo roboty, musicie pożegnać się z bliskimi i tak dalej. Nie będę was zatrzymywał.

Wyszli wszyscy oprócz Charliego Moore'a. Postanowiliśmy razem ruszyć na gigantyczny ochłaj, odwiedzić wszystkie bary i kluby oficerskie w okolicy. Zaliczyliśmy dwanaście i pewnie nie skończylibyśmy na tym, ale postanowiłem przespać się kilka godzin przed załadunkiem.

Charlie przystawiał się do mnie tylko raz i to bardzo delikatnie. Mam nadzieję, że moja odmowa była równie delikatna – zrozumiałem, że będę miał wiele okazji, żeby ją przećwiczyć.

3. Pierwsze gwiazdoloty SZ ONZ charakteryzowały się pajęczą, delikatną urodą. Jednak wraz z różnymi technologicznymi ulepszeniami wytrzymałość konstrukcji stała się ważniejsza od pojemności (stary statek złożyłby się jak akordeon, gdyby ktoś próbował wykonać nim manewr przy przeciążeniu 24 g), co znalazło odbicie w wyglądzie: przysadzistym, potężnym, funkcjonalnym. Jediną ozdobą był napis „Masaryk II” namalowany niebieskimi literami na czarnej burcie.

Nasz prom przepłynął wzdłuż tej nazwy po drodze do ładowni; z góry widzieliśmy maleńkie postacie ludzi krzątające się przy kadłubie. Widząc ich, stwierdziliśmy, że napis ma dobre sto metrów wysokości. Statek mierzył ponad kilometr długości (1036,5 metra, podpowiedziała mi wpojona wiedza) i jedną trzecią kilometra szerokości (319,4 metra).

To wcale nie oznaczało, że będziemy mieli mnóstwo miejsca. W trzewiach statku kryło się sześć dużych myśliwców z napędem tachionowym oraz pięćdziesiąt rakiet samosterujących. Piechota została upchnięta po kątach. Wojna polega na ścieraniu się – powiedział Chuck von Clausewitz; przeczuwałem, że sprawdzimy to osobiście. Mieliśmy około sześciu godzin, zanim wejdziemy do zbiorników przeciwprzeciążeniowych. Wrzuciłem walizkę do maleńkiej kabiny, która miała stać się moim domem na najbliższe dwadzieścia miesięcy, i poszedłem na obchód.

Charlie ubiegł mnie; pierwszy znalazł mesę i sprawdził jakość kawy podawanej na „Masaryku II”.

Końskie szczynty – stwierdził.

–Przynajmniej nie z soi – powiedziałem, ostrożnie pociągając pierwszy łyk. Uznałem, że po tygodniu mogę zatęsknić za soją. Mesa oficerska była kajutką trzy na cztery metry, z metalowymi ścianami i podłogą, z automatem do kawy i terminalem bibliotecznym. Sześć twardych krzeseł i stół z maszyną do pisania.

–Przyjemne miejsce? – Charlie niedbale wcisnął na terminalu przycisk indeksowania. – Mnóstwo teorii wojskowości.

–To wspaniale. Odświeży nasze wspomnienia.

–Zgłosiłeś się na kurs oficerski?

–Ja? Nie. Wysłali mnie.

–Przynajmniej masz wymówkę. – Wdusił przycisk wyłącznika i patrzył, jak zielony ekran gaśnie. – Ja zgłosiłem się sam. Nie powiedzieli mi, że to tak wygląda.

–Taak. – Nie mówił o żadnych subtelnym problemach, takich jak brzemień odpowiedzialności. – Mówią, że to przechodzi z czasem.

Wszystkie te informacje, jakie w ciebie wmuszają; nieustanny, cichy szept.

–Ach, tu jesteście.

Hilleboe weszła do kabiny i przywitała się z nami. Obrzuciła pomieszczenie badawczym spojrzeniem i widać było, że zaaprobowała jego spartański wystrój.

–Zechcecie powiedzieć coś do ludzi przed wejściem do zbiorników?

–Nie, nie sądzę, aby to było... konieczne.

O mało co powiedziałbym „pożądane”. Ustawianie podwładnych na właściwym miejscu to cała sztuka. Wiedziałem, że będę musiał wciąż przypominać Hilleboe, że to nie ona tu dowodzi. Mógłbym też zamienić się z nią na szarże. Niechby posmakowała radości dowodzenia.

–Zbierz, proszę, dowódców wszystkich plutonów i przypomnij im procedurę zanurzania. Potem zrobimy ćwiczenia na szybkość. Na razie ludziom przyda się kilka godzin odpoczynku. Jeśli mają takiego kaca jak ich dowódca.

–Tak jest, sir.

Odwróciła się i wyszła. Trochę urażona, gdyż to, co kazałem jej zrobić, należało do obowiązków Rilanda lub Rusk. Charlie usadowił swoje pulchne cielsko na twardym krześle i westchnął.

–Dwadzieścia miesięcy w tym ciasnym pudle. Z nią. Niech to szlag.

–No, jeśli będziesz miły, nie umieszczę was oboje w jednej kabinie.

–Świetnie. Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem. Począwszy od przyszłego piątku. – Zerknął do kubka i postanowił nie dopijać kawy do końca. – Mówię poważnie: będą z nią kłopoty. Co zamierzasz z nią zrobić?

–Nie wiem.

Oczywiście Charlie też był niesubordynowany. Jednak jako mój zastępca nie musiał zbyt przejmować się hierarchią. Poza tym potrzebowałem choć jednego przyjaciela.

–Może dotrze się, kiedy nas przycisną.

–Jasne.

W zasadzie już byliśmy przyciśnięci, pełnąc z prędkością 1 g w kierunku kolapsara Stargate. Robiliśmy to tylko dla wygody załogi; trudno zamknąć luki w stanie nieważkości. Prawdziwa podróż zacznie się dopiero wtedy, gdy będziemy w zbiornikach.

Mesa działała na nas przygnębiająco, więc razem z Charliem wykorzystaliśmy pozostałe godziny na dokładną lustrację statku. Mostek wyglądał jak każde centrum komputerowe; pozwolili sobie na luksus dużych ekranów. Trzymaliśmy się z daleka, gdy Antopol i jej oficerowie sprawdzali aparaturę po raz ostatni przed wejściem do zbiorników i powierzeniem naszego losu maszynom. W sterówce na dziobie był prawdziwy wizjer – bańka z grubego plastiku. Porucznik Williams nie był zajęty, ponieważ większość czynności całkowicie zautomatyzowano, tak więc chętnie pokazał nam wszystko.

Postukał palcem w szybę.

–Mam nadzieję, że tym razem nie będziemy musieli tego użyć.

–Dlaczego? – spytał Charlie.

–Posługujemy się tym tylko wtedy, kiedy się zgubimy. –

Jeśli kąt wejścia w pole kolapsarowe odchyli się o jedną tysięczną radiana, może nas znieść na drugi koniec galaktyki. – Możemy ustalić naszą przybliżoną pozycję, analizując widma najbliższych gwiazd. Sprawdź ich „odciski palców”. Jeśli zidentyfikujemy trzy, możemy wytyczyć pozycję.

–A potem znaleźć najbliższy kolapsar i wrócić na kurs – dodałem.

–W tym cały problem. Sade-13 8 jest jedynym znanym nam kolapsarem w Obłoku Magellana. Znaleźliśmy go wyłącznie dzięki danym zdobytym na nieprzyjaciela. Nawet gdybyśmy zdołali odkryć inny kolapsar, to – zakładając, że zabłądziliśmy w Obłoku – nie wiedzielibyśmy, jak wejść w jego pole.

–Wspaniale.

–Tak naprawdę to wcale nie bylibyśmy zagubieni – powiedział z krzywym uśmiechem. – Moglibyśmy wejść do zbiorników, skierować statek ku Ziemi i ruszyć z pełną prędkością. Dotarlibyśmy na Ziemię po trzech miesiącach czasu pokładowego.

–Pewnie – powiedziałem. – Ale 150 000 lat później.

Przy 25 g w niecały miesiąc uzyskujesz dziewięć dziesiątych prędkości światła. Później wpadasz w objęcia świętego Alberta.

–No, to rzeczywiście mankament – stwierdziłem. – Jednak przynajmniej dowiedzielibyśmy się, kto wygrał wojnę.

Człowiek zaczynał zastanawiać się, ilu żołnierzy wypadło w ten sposób z gry. Czterdzieści dwa oddziały zaginęły gdzieś bez wieści. Możliwe, że wszystkie wlokły się przez normalną przestrzeń z prędkością zbliżoną do świetlnej i jeden po drugim pojawiają się na Stargate w nadchodzących stuleciach.

Dogodna okazja odskoku na lewiznę, ponieważ po kilku skokach kolapsarowych nie da się wytropić uciekiniera. Niestety, sekwencja skoków jest z góry zaprogramowana przez dowództwo; nawigator wkracza do akcji jedynie wtedy, gdy błąd w obliczeniach kieruje was do niewłaściwej „dziury”, w wyniku czego wyskakujecie w jakimś przypadkowym rejonie kosmosu.

Poszliśmy z Charliem przeprowadzić inspekcję sali gimnastycznej, wystarczająco dużej, żeby pomieścić tuzin ludzi jednocześnie. Poprosiłem go, żeby sporządził grafik, według którego każdy mógłby ćwiczyć przynajmniej godzinę dziennie, kiedy już wyjdziemy ze zbiorników przeciwprzeciążeniowych.

Jadalnia była tylko odrobinę większa od sali gimnastycznej – nawet przy podziale na cztery zmiany posiłki będą spożywane w ścisku – a mesa szeregowych wyglądała jeszcze bardziej przygnębiająco od oficerskiej. Przed upływem tych dwudziestu miesięcy na pewno będę miał problemy z utrzymaniem właściwego morale moich ludzi.

Zbrojownia była większa od sali gimnastycznej, jadalni i obu mes razem wziętych. Musiała taka być ze względu na ogromną różnorodność broni używanej przez piechotę. Podstawowym orężem pozostawał skafander bojowy, chociaż znacznie ulepszony w porównaniu z pierwszym modelem, do jakiego wciskałem się przed kampanią na Alephie-0.

Porucznik Riland, zbrojmistrz, nadzorował czworo podwładnych, po jednym z każdego plutonu, którzy ostatni raz sprawdzali zamocowania broni. Chyba najważniejsza czynność na całym statku, zważywszy, co mogłoby stać się z tonami materiałów wybuchowych i radioaktywnych przy przeciążeniu 25 g.

Odpowiedziałem na jego służbisty salut.

–Wszystko w porządku, poruczniku?

–Tajest, oprócz tych przeklętych mieczy.

Używano ich w obrębie pola.

–W żaden sposób nie możemy ich ułożyć tak, żeby nie wyginały się. Miejmy nadzieję, że nie pękną.

Nie byłem w stanie pojąć reguł rządzących polem; przepaść między obecną wiedzą z dziedziny fizyki a wiadomościami, jakie zdobyłem, robiąc doktorat, była równie wielka jak między czasami Galileusza a Einsteina. Jednak znałem skutki.

W mającym kształt półkuli (w przestrzeni kulistym) polu o średnicy około pięćdziesięciu metrów nic nie mogło poruszać się z prędkością większą od 16,3 m/s. Wewnątrz nie istniało coś takiego jak promieniowanie elektromagnetyczne; żadnej elektryczności, magnetyzmu czy światła. Tkwiąc w skafandrze, mogłeś

ogłądać upiornie monochromatyczne otoczenie: zjawisko to po-
bieżnie wyjaśniono mi jako „fazowy transfer przecieku quasi-
–energii z przyległej rzeczywistości tachionowej” – cokolwiek
miało to oznaczać.

Jednak w rezultacie wszelkie konwencjonalne rodzaje broni
były bezużyteczne. Nawet bomba typu „nova” była pod kopułą
tylko kawałkiem metalu. A każda istota, człowiek czy Taurań-
czyk, znajdująca się w polu bez odpowiedniego skafandra, ginęła
w ułamku sekundy.

Z początku wydawało się, że znaleźliśmy broń, która roz-
strzygnie losy wojny. W pięciu starciach całe taurańskie bazy
zostały starte w proch bez ofiar własnych. Wystarczyło przetrans-
portować pole w pobliże pola (przy silnym ziemskim ciężeniu
mogło tego dokonać czterech krzepkich żołnierzy) i patrzeć, jak
tamci giną, usiłując prześlizgnąć się przez matową ścianę kopuły.
Ludzie niosący generator byli bezpieczni oprócz krótkich okre-
sów, kiedy wyłączali go, żeby zorientować się w sytuacji.

Jednak za szóstym razem Taurańczycy byli już przygotowani.
Nosili skafandry ochronne i mieli ostre dzidy, którymi pozabijali
obsługę generatora. Od tej pory obsługa była uzbrojona.

Raporty donosiły o trzech takich bitwach, chociaż posłano do
walki tuzin oddziałów wyposażonych w pole. Te pozostałe nadal
walczyły lub podążały do celu albo zostały doszczętnie rozbite.

Okazuje się to dopiero po ich powrocie. A nie zachęcano ich do
powrotu, jeśli Taurańczycy nadal kontrolowali przydzieloną im
przestrzeń – sugerowano, że byłaby to „dezercja w obliczu
wroga”, co oznaczało egzekucję wszystkich oficerów (jakkol-
wiek plotka głosiła, że po prostu robiono im pranie mózgow,

programowano i znów posyłano do walki).

–Czy będziemy używać pola, sir? – spytał Riland.

–Zapewne. Nie od razu, chyba że Taurańczycy już tam są. Niechętnie myślę o tkwieniu całymi dniami w skafandrze. Równie niechętnie myślałem o użyciu miecza, włóczni czy noża; obojętnie ile elektronicznych duchów posłałem za ich pomocą do Walhalli.

Spojrzałem na zegarek.

–No, lepiej chodźmy do zbiorników, kapitanie. Trzeba sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane.

Mieliśmy około dwie godziny do rozpoczęcia skoku.

Pomieszczenie, w którym znajdowały się zbiorniki, przypominało wielką fabrykę chemiczną; miało dobre sto metrów średnicy i było zagracone ciężkimi aparatami pomalowanymi na monotonną, szarą barwę. Osiem zbiorników stało niemal symetrycznie wokół centralnego dźwigu; symetrię psuł tylko jeden, dwukrotnie większy od innych. Ten miał być dla dowództwa – dla wszystkich oficerów i specjalistów.

Sierżant Blazynski wyszedł zza jednego ze zbiorników i zasalutował. Nie oddałem mu honorów.

–Co to jest, do diabła?

W tym wszechświecie szarości ujrzałem plamę innego koloru.

–To kot, sir.

–Co ty powiesz.

W dodatku wielki i pręgowany. Wyglądał śmiesznie, usadowiony na ramieniu sierżanta.

–Zapytam inaczej: co, do diabła, robi tutaj ten kot?

–To maskotka sekcji obsługi, sir.

Kot uniósł łeb, żeby prychnąć na mnie bez entuzjazmu, po czym ponownie zapadł w drzemkę. Spojrzałem na Charliego, który wzruszył ramionami.

–To chyba trochę okrutne – powiedział. A do sierżanta rzekł: – Nie będziecie mieli z niego wiele pożytku. Przy 25 g zostanie z niego kupka futra i flaków.

–Och nie, sir! Sirs. – Technik rozgarnął futro między łopatkami zwierzęcia. Zobaczyłem zawór do doprowadzenia fluorowęgla, taki sam, jaki miałem na biodrze. – Kupiliśmy to w sklepie na Stargate i zmodyfikowaliśmy. Koty są teraz na wielu statkach, sir. Komandor podpisała zezwolenie na wywóz.

No, to wszystko w porządku. Sekcja obsługi podlegała nam obojgu. A to jej statek.

–Nie mogliście zabrać psa?

Boże, nienawidzę kotów. Zawsze podkradają się do człowieka.

–Nie, sir, one nie przystosowują się. Nie znoszą nieważkości.

–Czy musieliście wykonać jakieś specjalne przeróbki?

W zbiornikach? – spytał Charlie.

–Nie, sir. Mieliśmy dodatkowe miejsce. – Wspaniale; to oznaczało, że będę dzielił zbiornik ze zwierzęciem. – Musieliśmy tylko skrócić pasy. Potrzebuje innego środka wzmacniającego ściany komórkowe, ale to było uwzględnione w cenie. Charlie podrapał zwierzę za uchem. Kot zamruczał, ale nie poruszył się.

–Wygląda na ogłupiałego. Mówię o zwierzęciu.

–Podaliśmy mu wcześniej środek usypiający. – Nic dziwnego, że był taki spokojny; lek spowalnia metabolizm do poziomu ledwie podtrzymującego funkcje życiowe organizmu. – Będzie łatwiej go przywiązać.

–Myślę, że to w porządku – powiedziałem. Może to poprawi morale załogi. – Jednak jeśli zacnie plątać się pod nogami, osobiście wrzucę do recyklizera.

–Tak jest! – zawołał sierżant z wyraźną ulgą, sądząc, że nie mógłbym tego zrobić takiej sympatycznej kulce futra. Poczekaj no, koleś.

I tak sprawdziliśmy wszystko. Po tej maszynowni została tylko olbrzymia ładownia, w której czekały myśliwce i rakiety, unieruchomione w potężnych chwytakach przed rozpoczęciem przyspieszania. Zeszliśmy z Chariiem, żeby na nie spojrzeć, ale po tej stronie śluzę nie było wizjera. Wiedziałem, że w następnym pomieszczeniu jest jeden, ale tę sekcję już ewakuowano i nie warto było przeprowadzać nużącej procedury napowietrzania i ogrzewania tylko po to, żeby zaspokoić naszą ciekawość.

Poczułem się zupełnie zbędny. Wywołałem Hilleboe, która zameldowała, że wszystko jest w porządku. Została nam jeszcze godzina. Wróciliśmy do mesy i nakłonili komputer, żeby zagrał z nami w „Kriegspieler”. Kiedy gra zaczynała robić się ciekawa, usłyszeliśmy sygnał dziesięciominutowego ostrzeżenia.

„Średni okres bezawaryjnej pracy” zbiorników wynosił pięć tygodni; tak więc miało się pięćdziesiąt procent szans na przetrwanie w zanurzeniu przez pięć tygodni, zanim w wyniku pęknięcia jakiegoś zaworu lub rury człowiek zostanie zgnieciony jak owad. W praktyce jedynie stany najwyższego zagrożenia usprawiedliwiały przebywanie w zbiornikach dłużej niż dwa tygodnie. Na tym etapie podróży mieliśmy spędzić w nich nie więcej niż dziesięć dni.

Jednak, o ile chodzi o pobyt w zbiornikach, pięć tygodni czy pięć godzin to jedno i to samo. Kiedy ciśnienie ustali się na

odpowiednim poziomie, człowiek traci poczucie czasu. Ciało i mózg zmieniają się w beton. Żaden ze zmysłów nie dostarcza bodźców i można godzinami zabawiać się, usiłując przeliterować swoje nazwisko.

Dlatego wcale mnie nie zdziwiło, że wydawało się, iż upłynęła ledwie sekunda od wejścia do zbiornika, a już byłem suchy, a ciało mrowiło mnie od wracającego czucia. Pomieszczenie wyglądało jak zjazd astmatyków na środku łąki; trzydzieści dziewięć osób i jeden kot kaszlało i kichało, żeby pozbyć się resztek fluowęglanu. Kiedy odpinałem pasy, otwarły się boczne drzwi, zalewając kabinę oślepiającym blaskiem. Kot wyszedł pierwszy, zostawiając w tyle zbity tłum ludzi. Chcąc zachować godność, czekałem, aż wszyscy wyjdą.

Przeszło sto osób kręciło się na zewnątrz, rozprostowując kończyny i rozmasowując kurtki. Godność! Otoczony akrami młodych kobiecych ciał, patrzyłem na ich twarze i rozpaczliwie usiłowałem rozwiązywać równanie różniczkowe trzeciego stopnia, aby opanować neodparty impuls. Poskutkowało na chwilę wystarczająco długo, abym zdołał dotrzeć do windy.

Hilleboe wykrzykiwała rozkazy, ustawiając ludzi w szeregu, i kiedy drzwi zamykały się, zauważyłem, że jeden pluton ma jednakowy siniak pod oczami. Dwadzieścia podbitych oczu! Będę musiał porozmawiać o tym z obsługą zbiorników i z lekarzem. Potem ubrałem się.

4. Zostaliśmy na I g przez trzy tygodnie, czasami przechodząc w nieważkość, dla sprawdzenia kursu, podczas gdy „Masaryk II” wykonywał długą, ciasną pętlę z kolapsara Resh-10 i z powrotem. Ten okres minął bez sensacji, załoga szybko przywykła do trybu życia na statku. Dawałem im jak najmniej roboty, a maksimum zajęć szkoleniowych i gimnastyki – wyłącznie dla ich dobra, chociaż nie byłem aż tak naiwny, żeby uważać, że oni też tak sądzą.

Po tygodniu na I g szeregowiec Rudkoski (pomocnik kuchacza) założył bimbrownię, w której produkował jakieś osiem litrów czystego, 95 procentowego alkoholu. Nie chciałem mu tego rekwirować – życie było wystarczająco smutne. Nie miałem nic przeciwko temu, dopóki ludzie przychodzili na wartę trzeźwi, ale byłem cholernie ciekawy, jak zdołał wydębić substraty z zamkniętego obiegu materii na statku i czym ludzie płacili mu za gorzałę. Posłałem zapytanie po linii służbowej, prosząc Alsever, żeby dowiedziała się tego. Ona spytała Jarvil, a ten Carrerasa, który siedział koło Orbana – kuchacza. Okazało się, że to był pomysł Orbana, który pozostawił najgorszą robotę Rudkoskiemu

i palił się, żeby pochwalić się komuś godnemu zaufania. Gdybym jadał posiłki z żołnierzami, może zorientowałbym się, że dzieje się coś dziwnego. Jednak oficerowie nie byli wtajemniczeni.

Przy pomocy Rudkoskiego Orban stworzył na statku gospodarkę opartą na alkoholu. Przebiegało to tak:

Do każdego posiłku był jeden bardzo słodki deser – budyń, krem lub ciasto – który mogłeś zjeść, jeśli zniosłeś jego kleisty smak. Jeżeli jednak deser stał na twojej tacy, kiedy podchodziłeś z nią do okienka recyklizera, Rudkoski dawał ci kwit na dziesięć centów i wrzucał słodką masę do kadzi fermentacyjnej. Miał dwie dwudziestolitrowe kadzie -jedna „pracowała”, kiedy napełniał drugą. Na tych dziesięciocentowych kwitach opierał się cały system, dzięki któremu mogłeś kupić pół litra alkoholu (o wybranym smaku) za pięć dolarów. Pięciosobowa grupka nie jedząca wcale deserów mogła kupić litr na tydzień; dosyć na wesoły wieczór, ale za mało, żeby miało to być poważniejszym problemem. Diana przyniosła mi tę wiadomość razem z butelką Pędzonki Rudkoskiego, nieudolnie zaprawionej środkiem zapachowym. Bimber dotarł do mnie przez wiele rąk, ale brakowało tylko kilku centymetrów.

Ciecz miała koszmarny smak truskawek zmieszanych z kminem. Nieoczekiwanie, w sposób typowy dla osób rzadko pijących alkohol, bardzo posmakowała Dianie. Kazałem przynieść trochę lodu i po godzinie zupełnie się ugrzała. Ja nalałem sobie tylko jeden kieliszek i nie dopiłem go.

Kiedy była już na najlepszej drodze do całkowitego zapomnienia, mamrocząc coś uspokajająco do swojej wątroby, nagle uniosła głowę i obrzuciła mnie dziecięco otwartym spojrzeniem.

–Masz duży problem, majorze Williamie.

–Nawet w połowie nie tak duży, jak ty będziesz miała jutro rano, poruczniku doktorze Diano.

–Och, nic mi nie będzie. – Pijackim gestem machnęła ręką.

–Trochę witamin, trochę glu... kozy i ociupinkę adre... naiiny, jeśli nic innego nie pomoże. Ty... ty... masz... duży... problem.

–Słuchaj, Diano, może zaprowadzę cię...

–Powinieneś... umówić się z tym ładnym kapralem Valdezem. Valdez był męskim seksuologiem.

–On ma tyle zrozumienia. Jego praca. Zrobiłby...

–Rozmawialiśmy już o tym, pamiętasz? Chcę pozostać taki, jaki jestem.

–Jak my wszyscy. – Otarła łzę, która zapewne zawierała jeden procent alkoholu. – Wiesz, że nazywają cię Starą Cnotą.

Nie, to nie tak.

Wbiła wzrok w podłogę, a potem w sufit.

–Starą Ciotą – o, właśnie.

Spodziewałem się gorszych przydomków, jednak nie tak szybko.

–Mało mnie to obchodzi. Dowódca zawsze ma jakieś przezwisko.

–Wiem. – Nagle wstała i zachwiała się. – Za dużo wypilałam. Muszę się położyć.

Odwróciła się do mnie tyłem i przeciągnęła tak energicznie, że zatrzeszczały jej kości. Potem zaszemrał zamek i tunika opadła na podłogę; Diana wyszła z niej i powoli podeszła do mojej koi. Usiadła i poklepała materac.

–Chodź, Williamie. Jedyna okazja.

–Rany boskie, Dianio. To nie byłoby w porządku.

–Wszystko w porządku – zachichotała. – Przecież jestem lekarzem. Mogę potraktować cię jak pacjenta; nic mi nie będzie. Pomóż mi z tym.

Minęło pięćset lat, a zapięcia biustonoszy nadal umieszczali z tyłu.

Dżentelmen jednej szkoły pomógłby jej rozebrać się, a potem wyszedłby po cichu. Dżentelmen wyznający inną szkołę rzuciłby się do drzwi. Nie będąc dżentelmenem, zabrałem się do dzieła. Na szczęście straciła przytomność, zanim poczyniliśmy jakieś postępy. Przez długą chwilę cieszyłem się widokiem i dotykiem jej ciała, czując się jak osioł, zanim zdołałem wziąć się w garść i ubrać ją. Podniosłem ją z łóżka – słodki ciężar – a potem zdałem sobie sprawę z tego, że jeśli ktoś zobaczy, jak taszczę ją na jej kwaterę, dziewczyna będzie na językach wszystkich do końca kampanii. Wywołałem Charliego, powiedziałem mu, że mieliśmy trochę gorzały, która nie posłużyła Dianie, i poprosiłem go, żeby przyszedł na drinka i pomógł mi zataścić dobrą panią doktor do domu.

Zanim zapukał do drzwi, leżała niewinnie w fotelu, cicho chrapiąc. Uśmiechnął się.

–Lekarzu, lecz się sam.

Podaliśmy mu butelkę, ostrzegając przed zawartością. Powąchał i skrzywił się.

–Co to jest, politura?

–Nie, to robota naszych kucharzy. Próżniowa księżycówka.

Odstawił ją ostrożnie, jakby mogła eksplodować przy wstrząśnięciu.

–Przepowiadam gwałtowne zmniejszenie się kręgu odbiorców. Będą zgony w wyniku zatrucia. Ona naprawdę to piła?

–No cóż, kucharze przyznają, że ten eksperyment niezbyt im się udał; inne gatunki są podobno lepsze. Taak, bardzo jej posmakowało.

–No cóż... – Roześmiał się. – Do licha! No i co, ty weźmiesz ją za nogi, a ja za ręce?

–Nie, lepiej chwycimy ją za ramiona. Może zdołamy ją poprowadzić.

Kiedy podnosiliśmy ją z fotela, jęknęła, otworzyła jedno oko i powiedziała:

–Cześć, Charlie.

Potem znów zamknęła oko i dała się zaciągnąć na kwaterę.

Nikt nas nie widział po drodze, ale w kabinie zastaliśmy jej współlokatorkę, Laasonen, która siedziała i czytała książkę.

–Ona rzeczywiście piła to świństwo? – Laasonen z niepokojem spojrzała na przyjaciółkę. – Czekajcie, pomogę wam.

We trójkę ułożyliśmy Dianę na koi. Laasonen odgarnęła jej włosy z czoła.

–Powiedziała, że zamierza przeprowadzić eksperyment.

–Jest bardziej oddana nauce niż ja – rzekł Charlie. – I ma zdrowszy żołądek.

Wszyscy wolelibyśmy, żeby tego nie mówił.

Diana ze wstydem przyznała, że nie pamięta niczego, co

nastąpiło po wypiciu pierwszego kieliszka, i rozmawiając z nią zrozumiałem, że przypuszcza, iż Charlie był z nami przez dłuższy czas.

Oczywiście, tym lepiej, że tak myśli. Ach, Dianko, moja

śliczna utajona heteroseksualistko, postawię ci butelkę dobrej szkockiej, kiedy zawiniemy wreszcie do portu. Co nastąpi za jakieś siedemset lat.

Wróciliśmy do zbiorników, żeby przeczekać skok z Resh-10 do Kaph-35. Dwa tygodnie przy 25 g; potem kolejne cztery tygodnie rutynowych zajęć przy 1 g.

Zapowiedziałem, że będę prowadził politykę otwartych drzwi, ale praktycznie nikt z niej nie skorzystał. Nieczęsto widywałem żołnierzy i głównie w sytuacjach uniemożliwiających bliższy kontakt: przy sprawdzaniu znajomości instrukcji, udzielaniu nagan lub podczas sporadycznych wykładów. A oni rzadko mówili zrozumiałym językiem, chyba że odpowiadali na zadane pytanie. Większość z nich znała angielski jako ojczystą mowę albo drugi język, lecz w ciągu 450 lat angielszczyzna zmieniła się tak drastycznie, że ledwie mogłem ich zrozumieć i to tylko wtedy, gdy nie mówili szybko. Na szczęście w ramach podstawowego szkolenia nauczono ich angielskiego z początku dwudziestego pierwszego wieku; ten język, czy też dialekt, służył jako czasowa

lingua franco, za pomocą którego żołnierz z dwudziestego piątego wieku mógł porozumieć się z kimś, kto urodził się dziewiętnaście pokoleń wcześniej.

Myślałem o moim pierwszym dowódcy, kapitanie Stottcie – którego nienawidziłem równie serdecznie jak reszta kompanii – i usiłowałem wyobrazić sobie, jak czułbym się, gdyby był zbrojcem, a mnie kazano nauczyć się obcego języka dla jego wygody.

Tak więc, oczywiście, mieliśmy problemy z dyscypliną. Cud, że w ogóle była jakaś dyscyplina. Było to zasługą Hilleboe; chociaż niezbyt ją lubiłem, muszę przyznać, że umiała utrzymać ludzi w ryzach.

Większość graffiti na ścianach statku dotyczyła niewiarygodnych ekscesów seksualnych szefowej kompanii z dowódcą.

Z Kaph-35 skoczyliśmy na Samk-78, stamtąd na Ayin-129 i w końcu na Sade-138. Większość przejść nie przekraczała kilkuset lat świetlnych, ale ostatnie liczyło ich 140 000 – podobno najdłuższy skok wykonany przez statek z ludzką załogą.

Czas spędzony w dziurze między jednym kolapsarem a drugim był zawsze taki sam, niezależnie od ich odległości. Kiedy ja studiowałem fizykę, uważano, że czas trwania przejścia kolapsarowego wynosi dokładnie zero. Jednak kilkaset lat później przeprowadzili skomplikowany eksperyment z przewodzeniem fal, który wykazał, że skok jednak trwa ułamek nanosekundy. To nie wydaje się wiele, ale odkrycie przejścia kolapsarowego wyróciło do góry nogami całą fizykę; teraz, kiedy okazało się, iż przebycie drogi z punktu A do B zabiera jednak trochę czasu, musieli znów ją przerabiać. Fizycy wciąż kłócili się o to.

My jednak mieliśmy ważniejsze problemy, kiedy wypadliśmy z pola kolapsarowego Sade-138 z prędkością trzech czwartych prędkości światła. Nikt nie wiedział, czy Taurańczycy nie wyprzedzili nas. Odpaliliśmy odpowiednio zaprogramowaną sondę, która miała wyhamować przy 300 g i rozejrzeć się wokół. Ostrzegłaby nas, gdyby wykryła obecność innych statków lub ślady Taurańczyków na którejś z planet.

Wysławszy sondę, weszliśmy do zbiorników i komputery rozpoczęły trzytygodniową serię uników połączonych z wytracaniem prędkości. Nie było żadnych problemów, tyle że trzy tygodnie zamrożenia w zbiornikach to piekielnie długo; potem przez kilka dni wszyscy poruszaliśmy się jak banda staruszków.

Gdyby sonda zawiadomiła nas, że wróg już jest w tym układzie, natychmiast przeszlibyśmy na 1 g i wysłali myśliwce oraz samosterujące „trutnie” uzbrojone w głowice „nova”. Albo mo-

glibyśmy nie zdążyć tego zrobić; czasem Taurańczykom udawało się zniszczyć statek kilka godzin po tym, jak pojawił się w układzie. Śmierć w zbiorniku nie należy do najprzyjemniejszych. Potrzebowaliśmy miesiąca, aby powrócić do Sade-138 na odległość kilku AU, gdzie sonda znalazła planetę odpowiadającą naszym wymaganiom.

To była dziwna planeta, trochę mniejsza od Ziemi, ale o większej masie. Nie zastaliśmy na niej głębokiego, kriogenicznego zimna panującego na większości planet przejść, zarówno z powodu temperatury jądra, jak i obecności Doradusa S – najjaśniejszej gwiazdy Obłoku Magellana – znajdującego się w odległości niecałego roku świetlnego.

Najdziwniejszą cechą planety był jej brak zróżnicowania geograficznego. Z kosmosu wyglądała jak lekko porysowana kula bilardowa. Nasz fizyk pokładowy, porucznik Gim, wyjaśniła ten stosunkowo dziewiczy stan tym, że niezwykle wydłużona, najczęściej spotykana u komet orbita wskazuje, że prawdopodobnie planeta przez długi czas dryfowała samotnie przez międzygwiazdową pustkę. Nigdy nie trafił jej większy meteor, aż zawędrowała we włości Sade-138, gdzie została pochwycona i zmuszona do dzielenia przestrzeni z innym kosmicznym śmieciem krążącym wokół kolapsara.

Zostawiliśmy „Masaryka II” na orbicie (mógł wylądować, ale to pogorszyłoby jego możliwości wykrywania wroga i zdolność szybkiej ucieczki) i sześcioma myśliwcami przewieźliśmy materiały budowlane na powierzchnię planety.

Dobrze było wydostać się ze statku, chociaż planeta nie należała do gościnnych. Atmosfera była lodowatą mieszaniną wodoru i helu, nawet w południe zbyt zimną, aby jakakolwiek inna substancja mogła istnieć w formie gazu.

„Południe” było wtedy, gdy mieliśmy nad głowami Doradusa S – maleńką, jaskrawo świecącą iskierkę. W nocy temperatura powoli opadała z dwudziestu pięciu stopni Kelvina do siedemnastu – co sprawiało kłopoty, ponieważ tuż przed świtem wodór zaczynał skraplać się w powietrzu i wszystko stawało się tak śliskie, że najrozsądniej było usiąść i przeczekać. O świcie nikła, pastelowa tęcza stanowiła jedyną odmianę w monotonii czarnobiałego krajobrazu.

Grunt był zdradliwy, pokryty drobnymi, paciorkowatymi kawałkami zamrożonego gazu, które powoli poruszały się w słabych podmuchach wiatru. Trzeba było wolno brnąć przez nie, aby ustać na nogach; z czworga ludzi, którzy zginęli przy budowie bazy, troje poniosło śmierć w wyniku upadku.

Oddział nie był zachwycony moją decyzją zbudowania stanowisk obrony przeciwlotniczej i umocnień na obwodzie pola przed postawieniem kwater. Jednak było to zgodne z przepisami i mieli dwa dni odpoczynku na pokładzie statku za każdy „dzień” spędzony na powierzchni, co – przyznaję – nie było zbyt wiele, gdyż dzień pokładowy liczył 24 godziny, a planetarny 38,5 godziny od świtu do świtu.

Bazę postawiono w niecałe cztery tygodnie i wykonano przy tym kawał solidnej roboty. Pole o średnicy jednego kilometra było strzeżone na obwodzie przez dwadzieścia pięć gigawatowych laserów, mogących automatycznie wycelować i strzelić w jednej tysięcznej sekundy. Reagowały na ruch odpowiednio dużych obiektów między krawędzią pola a horyzontem. Czasem, kiedy wiatr wiał z odpowiedniej strony i ziemia wilgotniała od wodoru, lodowe granulki zlepiały się w dużą kulę, która zaczynała toczyć się. Nie toczyły się długo.

Pierwszą linią obrony, sięgającą aż za horyzont, było ogromne pole minowe otaczające bazę. Zakopane miny miały wybuchnąć pod wpływem odkształcenia ich lokalnych pól grawitacyjnych; pojedynczego Taurańczyka wykrywały z dwudziestu metrów, a niewielki kosmolot zdetonowałby ładunek, znalazłszy się już w odległości kilometra. Było ich 2800, głównie 100 mikrofonowych bomb nuklearnych. Pięćdziesiąt min zawierało ładunki tachionowe o potwornej sile, rozmieszczone nieregularnie w kręgu ciągnącym się od zasięgu rażenia laserów aż pięć kilometrów.

Wewnątrz bazy mieliśmy ręczne lasery, granaty mikrotonowe i nigdy jeszcze nie wypróbowane w walce wyrzutnie raket o napędzie tachionowym, po jednej na pluton. Jako ostatni bastion obrony, pole zostało umieszczone tuż przy żołnierskich kwaterach. Pod jego matowoszarą kopułą, oprócz zapasu paleolitycznej broni wystarczającego do odparcia Złotej Ordy, schowaliśmy mały myśliwiec, na wypadek gdybyśmy w trakcie zwycięskiej bitwy

stracili wszystkie jednostki latające. Dwanaście osób zdoła nim wrócić na Stargate.

Lepiej nie myśleć o tym, że pozostali będą musieli siedzieć i czekać na ratunek lub śmierć.

Kwaterny i pomieszczenia administracji mieściły się pod ziemią, ukryte przed bronią bezpośredniego rażenia. To nie wpływało dodatnio na morale oddziału; przygotowano listy kandydatów do kolejnego wyjścia na powierzchnię, niezależnie od tego, jak ryzykowne czy męczące było to zadanie. Nie chciałem, żeby oddziały w wolnym czasie wychodziły na powierzchnię zarówno ze względu na związane z tym niebezpieczeństwo, jak i na pro-

blemy administracyjne związane z nieustannym sprawdzaniem sprzętu i listy obecności.

W końcu musiałem ustąpić i na kilka godzin tygodniowo wypuszczać ludzi na górę. Nie było tam niczego do oglądania oprócz monotonnej równiny i nieba (zdominowanego w dzień przez Doradusa S, a w nocy przez ogromny, mroczny owal galaktyki), jednak zawsze to lepsze od wpatrywania się w ściany i sufit z topionej skały.

Ulubionym sportem było podchodzenie do obwodu i rzucanie przed laser kulami lodu; żeby zobaczyć jak duża kula jeszcze uruchomi broń. Wydawało mi się, że ten sposób spędzania czasu niczym nie różnił się od oglądania ciekącego kranu, jednak przynajmniej był nieszkodliwy, ponieważ lasery mogły strzelać wyłącznie do przodu, a energii mieliśmy pod dostatkiem.

Przez pięć miesięcy wszystko szło doskonale. Nasze problemy administracyjne były podobne do tych, jakie napotykałszy na pokładzie „Masaryka II”. Ponadto, przynajmniej do czasu pojawienia się wroga, byliśmy w mniejszym niebezpieczeństwie jako bierni troglodyci, niż wędrując od kolapsara do kolapsara. Udawałem, że nie widzę, kiedy Rudkoski znów uruchomił swoją bimbrownię. Wszelka odmiana w monotonnym życiu garnizonu była pożądana, a te typki nie tylko dostarczały żołnierzom wodę, ale także jakiś cel. Interweniowałem tylko w dwóch wypadkach: nikt nie mógł wyjść na zewnątrz, jeśli nie był zupełnie trzeźwy, i nie było wolno sprzedawać usług seksualnych. Może wyłączył ze mnie purytanin, ale i to było zgodne z przepisami. Zdania ekspertów były podzielone. Porucznik Wilber, psychiatra, zgadzał się ze mną; seksuolodzy Kajdi i Valdez – nie. Jednak ci dwaj zapewne liczyli na zyski, będąc miejscowymi „zawodowcami” w tej dziedzinie.

Pięć miesięcy przyjemnie nudnej rutyny, a potem pojawił się szeregowy Graubard.

Z oczywistych względów do kwater nie pozwalano zabierać broni. Żołnierze byli tak wyszkoleni, że nawet zwykła bójka na pięści mogła zamienić się w walkę na śmierć i życie, a wszyscy chodzili podenerwowani. Setka zwykłych ludzi pewnie pozabijałaby się po tygodniu spędzonym w naszych jaskiniach, jednak ci żołnierze zostali specjalnie przeszkoleni ze względu na zdolność bytowania w ciasnych pomieszczeniach.

Mimo to zdarzały się bójki. Graubard prawie zabił byłego kochanka, Schona, kiedy ten wykrzywił się do niego w kolejce do kotła. Dostał tydzień karceru (Schon również, za sprowokowanie), wizyty u psychiatry i drobne prace porządkowe. Ponadto przenieśliśmy go

do czwartego plutonu, żeby nie widywał codziennie Schona. Kiedy pierwszy raz mijali się w korytarzu, Graubard przywitał Schona potężnym kopniakiem w gardło. Diana musiała wszczepić biedakowi nową krtań. Graubard rozpoczął nową turę karceru, wizyt i prac porządkowych – do diabła, nie mogłem przenieść go do innej kompanii – po której przez dwa tygodnie był spokojny jak baranek. Ustawiłem ich pory posiłków i zajęć tak, żeby nigdy nie znaleźli się w tym samym pomieszczeniu. Jednak spotkali się na korytarzu i tym razem wynik zbliżył się do remisów: Schon miał dwa złamane żebra, a Graubard naderwane jądro i cztery wybite zęby.

Gdyby tak dalej poszło, wkrótce miałbym jedną gębę mniej do wyżywienia.

Zgodnie z Uniwersalnym Wojskowym Kodeksem Karnym mogłem nakazać egzekucję Graubarda, ponieważ teoretycznie prowadziliśmy działania wojenne. Może powinienem to zrobić od razu. Jednak Charlie zaproponował bardziej humanitarne wyjście i zaakceptowałem je.

Nie mieliśmy dość miejsca, żeby wiecznie trzymać Graubarda w odosobnieniu, co wydawało się jedynym zarówno humanitarnym, jak i praktycznym rozwiązaniem, ale na pokładzie krążącego w górze po geostacjonarnej orbicie „Masaryka II” mieli mnóstwo pustych pomieszczeń. Wezwałem Antopol, która zgodziła się wziąć Graubarda na pokład. Dałem jej zezwolenie na wykopanie drania w kosmos, jeśli sprawi jej jakiegokolwiek kłopoty. Zrobiliśmy zbiórkę, żeby wyjaśnić sytuację i żeby wszyscy dobrze zapamiętali lekcję. Właśnie zacząłem mówić, stojąc na kamiennym podium przed frontem kompanii, a za plecami mając oficerów i Graubarda – kiedy ten wariat postanowił mnie zabić.

Tak jak każdy, Graubard przez pięć godzin w tygodniu ćwiczył pod kopułą pola. Pod ścisłym nadzorem żołnierze zabijali mieczami, włóczniami i tym podobnym orężem kukły Taurańczyków. Graubard zdołał jakoś przemyścić na dół broń – hinduską szakrę, która jest krążkiem metalu o zewnętrznej krawędzi ostrej jak brzytwa. To trudna broń, ale jeśli ktoś wie, jak jej użyć, może być o wiele skuteczniejsza od zwykłego noża do rzucania. Graubard był ekspertem.

W ułamku sekundy obezwładnił ludzi stojących obok – uderzając Charliego łokciem w skroń i rozbijając kopniakiem kolano Hilleboe – po czym jednym płynnym ruchem wyszarpnął szakrę spod munduru i rzucił we mnie. Ostrze było już w połowie drogi do mojego gardła, zanim zareagowałem.

Instynktownie machnąłem ręką, żeby odbić ostrze i niewiele brakowało, żebym stracił cztery palce. Ostra krawędź rozcięła mi dłoń, ale udało mi się zmienić jej kierunek lotu. Graubard rzucił się na mnie, szczerząc zęby w grymasie, jakiego mam nadzieję już nigdy więcej nie oglądać.

Może nie zdawał sobie sprawy, że „Stara Ciota” jest tylko pięć lat starszy od niego; że „Stara Ciota” ma odruchy nabyte w walce i doświadczenie wyniesione z trzytygodniowego treningu kinestetycznego. W każdym razie okazało się to tak łatwe, że prawie było mi go żal.

Zaczął obracać prawą stopę; wiedziałem, że zrobi jeszcze krok i wyskoczy w powietrze. Zmniejszyłem dzielący nas dystans krótką ballestrą i w chwili gdy obie jego nogi oderwały się od podłogi, z półobrotu silnie kopnąłem go w splot słoneczny. Stracił przytomność, zanim runął na ziemię.

Gdyby miał pan zabić człowieka – powiedział Kynock – nie jestem pewien, czy potrafiłby pan to zrobić. Ponad 120 osób stłoczonych w małym pomieszczeniu, a jedynym dźwiękiem było kapanie kropel krwi z mojej zaciśniętej ręki. Chociaż z pewnością zna pan tysiące sposobów zabijania. Gdybym kopnął go kilka centymetrów wyżej i pod nieco innym kątem, zabiłbym go na miejscu. Jednak Kynock miał rację: nie miałem instynktu zabójcy. Gdybym po prostu zabił go w samoobronie, moje kłopoty skończyłyby się, zamiast zwielokrotnić.

Zwykłego świra dowódca może zamknąć i zapomnieć o sprawie. Jednak nie niedoszłego zabójcę. I nie musiałem ogłaszać referendum, żeby wiedzieć, że rozstrzelanie go nie przysporzy mi popularności wśród żołnierzy.

Zdałem sobie sprawę, że Diana klęczy obok mnie, usiłując rozewrzeć mi palce.

–Zajmij się Charliem i Hilleboe – mruknąłem, a do oddziału rzuciłem krótkie: – Rozejść się.

5. – Nie bądź dupkiem – powiedział Charlie. Przykładał sobie mokrą szmatę do sińca z boku głowy.

–Chyba nie uważasz, że powinienem go rozstrzelać?

–Przestań się wiercić! – Diana usiłowała zewrzeć brzegi mojej rany, żeby zamknąć ją koagulantem. Od nadgarstka w dół dłoń wydawała się sztywna jak bryła lodu.

–Na pewno nie osobiście. Możesz kogoś wyznaczyć. Losowo.

–Charlie ma rację – poparła go Diana. – Każ wszystkim ciągnąć losy z dzbanka.

Byłem rad, że Hilleboe mocno śpi na sąsiedniej pryczy. Nie miałem ochoty wysłuchiwać jej opinii.

–A jeśli tak wybrana osoba odmówi?

–Ukarzesz ją i wybierzesz następną – rzekł Charlie. –

**Niczego nie nauczyłeś się od oficerów? Nie powinienes nadwe-
ręzać swojego autorytetu, wykonując publicznie zadanie, jakie
ewidentnie należy komuś zlecić.**

**–Na pewno, w każdym innym przypadku. A jednak... żaden
z nich jeszcze nigdy nikogo nie zabił. Wyglądałoby to tak, jakbym
kazał komuś odwalać moją brudną robotę.**

**–Jeżeli to takie cholernie skomplikowane – powiedziała
Diana – to dlaczego nie staniesz przed oddziałem i nie wyjaśnisz,
jaki to złożony problem. A potem każesz im ciągnąć losy. Prze-
cież nie są dziećmi.**

**Była już armia, w której robiono takie rzeczy, podsunęła mi
quasi-pamięć. Marksistowska milicja POUM podczas wojny
w Hiszpanii, na początku dwudziestego wieku. Słuchali rozkazu
tylko wtedy, jeśli został dokładnie wyjaśniony; odmawiali wyko-
nania, jeśli uznali go za bezsensowny. Oficerowie pili ze zwykły-
mi żołnierzami, nikomu nie salutowano i nie używano stopni.
Przegrali wojnę. Jednak przeciwna strona nie miała tyle frajdy.**

**–Skończyłam. – Diana ułożyła bezwładną dłoń na moim
podołku. – Nie próbuj posługiwać się nią przez najbliższe pół
godziny. Kiedy zaczniesz cię boleć, możesz jej używać.
Obejrzałem ranę z bliska.**

–Brzezi nie zeszły się ze sobą. Nie żebym narzekał.

**–Nie powinienes. Według wszelkich reguł, powinien ci
zostać tylko kikut. A po tej stronie Stargate nie ma urządzeń do
regeneracji.**

**–Kikut to miałbyś zamiast szyi – rzekł Charlie. – Nie
rozumiem, dlaczego masz jakieś skrupuły. Powinienes rozwalić
drania na miejscu.**

–Wiem o tym, do cholery!

Oboje, Diana i Charlie, podskoczyli, słysząc mój wybuch.

–Przepraszam, cholera. Słuchajcie, zostawcie to mnie.

–Może dla odmiany porozmawialibyście o czymś innym.

–Diana wstała i sprawdziła zawartość swojej torby lekarskiej.

**–Mam do zbadania innego pacjenta. Spróbujcie nie denerwować
się wzajemnie.**

–Graubarda? – zapytał Charlie.

**–Zgadza się. Muszę upewnić się, że o własnych siłach
wejdzie na szafot.**

–A jeśli Hilleboe...

**–Nie ocknie się jeszcze przez pół godziny. Na wszelki
wypadek przyśle tu Jarvila – rzuciła już zza drzwi.**

–Szafot...

Nie zastanawiałem się nad tym.

–Jak, do licha, mamy przeprowadzić egzekucję? Nie możemy tego zrobić wewnątrz, ze względu na morale ludzi. Pluton egzekucyjny byłby ponurym widowiskiem.

–Wypchnij go przez służbę powietrzną. Nie musisz ceregie-lić się z takim świrem.

–Pewnie masz rację. Nie myślałem o nim. – Zastanawia-łem się, czy Charlie kiedykolwiek widział ciało osoby, która umarła w taki sposób. – Może po prostu powinniśmy wepchnąć go do spalarki śmieci. Znalazłby się na swoim miejscu. Charlie roześmiał się.

–Dobra myśl.

–Musielibyśmy go trochę rozdrobnić. Drzwiczki nie są zbyt szerokie.

Charlie wpadł na kilka ciekawych pomysłów rozwiązania tego problemu. Jarvil wszedł i starał się nas ignorować. Nagle drzwi izby chorych otworzyły się z trzaskiem. Jakiś pa-cjent na wózku pchanym przez szeregowca; Diana biegnąca obok, uciskająca klatkę piersiową leżącego. Za nimi szli jeszcze dwaj żołnierze, lecz przystanęli w progu.

–Tam, pod ścianę – rozkazała.

To był Graubard.

–Próbował się zabić – wyjaśniła Diana, zupełnie niepo-trzebnie. – Zatrzymanie akcji serca.

Powiesił się na pasie, który wciąż luźno otaczał mu szyję. Na ścianie wisiały dwie duże elektrody z gumowymi rączka-mi. Diana złapała je jedną ręką, a drugą rozerwała tunikę pacjenta.

–Zabrać ręce od wózka!

Odsunęła elektrody od siebie i przycisnęła je do piersi Grau-barda. Wydały cichy pomruk, a jego ciało zadrgało i zatrzepotało. Woń spalonego mięsa.

Diana potrząsała głową.

–Przygotuj go do otwarcia – powiedziała Jarvilowi. – Ściągnij Doris.

Ciało bulgotało, ale to był mechaniczny dźwięk, jak w rurach wodociągowych.

Diana kopnięciem wyłączyła zasilanie i puściła elektrody, zdjęła pierścionek z palca i przeszła przez pokój, żeby włożyć ręce do sterylizatora. Jarvil zaczął smarować klatkę piersiową Grau-barda jakimś paskudnie cuchnącym płynem.

Między dwoma oparzeniami po elektrodach zauważyłem ma-ły, czerwony ślad. Dopiero po chwili rozpoznałem, co to takiego.

Jarvil stał znak środkiem dezynfekcyjnym. Podszedłem bliżej i dotknąłem szyi Graubarda.

–Odejdź stąd, Williamie, nie jesteś sterylny.

Diana wymacała obojczyk, przesunęła rękę trochę w dół i wykonała nacięcie biegnące do samego dołu klatki piersiowej. Popłynęła krew i Jarvil podał Dianie instrument wyglądający jak wielkie, chromowane nożyce do cięcia drutu. Odwróciłem wzrok, ale i tak słyszałem, jak narzędzie z chrzęstem przecina żebra. Zażądała haków, tamponów i tak dalej, podczas gdy ja powędrowałem z powrotem na poprzednie miejsce. Kątem oka widziałem, jak pracowała w otwartej klatce piersiowej, wykonując bezpośredni masaż serca.

Charlie wyglądał tak, jak ja się czułem. Zawołał słabym głosem

–Hej, tylko nie przepracuj się, Diano!

Nie odpowiedziała. Jarvil przytoczył sztuczne serce i podał jej dwie rurki. Diana wzięła skalpel i znów odwróciłem oczy.

Pół godziny później był wciąż martwy. Wyłączyli aparat i nakryli ciało prześcieradłem. Diana zmyła krew z rąk i powiedziała:

–Muszę się przebrać. Wracam za minutę.

Wstałem i poszedłem do jej kabiny, tuż obok. Musiałem wiedzieć. Podniosłem rękę, żeby zapukać, ale nagle zapiekła mnie, jakby ktoś nakreślił na niej ognistą linię. Zapukałem lewą i Diana natychmiast otworzyła drzwi.

–Czego... och, chcesz jakiś środek przeciwbólowy?–Była półnaga i półprzytomna. – Poproś Jarvila.

–Nie, nie o to chodzi. Co się stało, Diano?

–Och. No cóż. – Wkładała tunikę przez głowę, więc jej głos był trochę zduszony. – To chyba moja wina. Zostawiłam go na chwilę samego.

–A on próbował powiesić się.

–Właśnie.

Usiadła na łóżku i zaproponowała mi krzesło.

–Wyszłam do sterówki, a kiedy wróciłam, nie żył. Wcześniej odesłałam Jarvila, ponieważ nie chciałam, żeby Hilleboe za długo pozostała bez opieki.

–Diano... na jego szyi nie ma śladów po pętli. Żadnego otarcia, nic.

Wzruszyła ramionami.

–Nie umarł w wyniku powieszenia. Miał atak serca.

–Ktoś zrobił mu zastrzyk. Prosto w serce.

Spojrzała na mnie dziwnie.

–Ja to zrobiłam, Williamie. Adrenalina. Rutynowe postępo-

wanie.

Taka czerwona plama wybroczyny powstaje, jeśli ktoś odsuwa się od automatycznej strzykawki w momencie zastrzyku. Inaczej płyn przechodzi przez skórę, nie zostawiając śladu.

–Nie żył już, kiedy robiłaś mu zastrzyk?

–Taką postawiłam diagnozę.

Twarz nieruchoma, jak maska.

–Brak pracy serca, pulsu, czynności oddechowych. W wielu przypadkach występują takie objawy.

–Taak, rozumiem.

–Czy coś... O co chodzi, Williamie?

Albo miałem niewiarygodne szczęście, albo Diana była bardzo dobrą aktorką.

–Nie, nic. No tak, lepiej wezmę coś na tę rękę.

Otworzyłem drzwi.

–W ten sposób uniknąłem wielu kłopotów.

Popatrzyła mi prosto w oczy.

–To prawda.

Właściwie zamieniłem jeden kłopot na inny. Mimo że zejście Graubarda widziało kilku niezainteresowanych świadków, rozeszła się plotka, że poleciłem dr Alsever wykończyć go – ponieważ sam spaprałem sprawę, a nie chciałem kłopotów związanych ze zwoływaniem sądu polowego.

Tymczasem, zgodnie z Uniwersalnym Kodeksem Wojskowej „Sprawiedliwości”, Graubard nie zasługiwał na żaden proces. Wystarczyło mi powiedzieć: „Ty, ty i ty. Wyprowadźcie tego człowieka i zabijcie go”. I biada żołnierzowi, który odmówiłby wykonania tego rozkazu.

Moje stosunki z podwładnymi poprawiły się – w pewnym sensie. Przynajmniej pozornie traktowali mnie z większym szacunkiem. Jednak podejrzewałem, że choć częściowo jest to tani respekt, jaki budzi każdy drań, który udowodnił, że jest niebezpieczny i nieobliczalny.

Tak więc teraz miałem nowy przydomek – „Zabójca”. A już zacząłem się przyzwyczajać do „Starej Cioty”.

Baza szybko wróciła do rutyny ćwiczeń i oczekiwania. Nie-mai nie mogłem doczekać się Taurańczyków; chciałem, żeby wszystko rozstrzygnęło się, tak czy inaczej.

Żołnierze radzili sobie z tą sytuacją znacznie lepiej niż ja – z oczywistych względów. Mieli konkretne obowiązki i sporo wolnego czasu na zwykłe żołnierskie sposoby leczenia nudy. Moje obowiązki były bardziej urozmaicone, ale dawały niewiele satysfakcji, ponieważ problemy, przed jakimi stawałem, były

trudne do rozwiązania; tymi łatwymi i przyjemnymi zajmowały się niższe szarże.

Nigdy nie przepadałem za sportem czy grami, ale stwierdziłem, że poświęcam im coraz więcej czasu, traktując jako rodzaj zaworu bezpieczeństwa. Po raz pierwszy w życiu, w tym ciasnym, wywołującym klaustrofobię otoczeniu, lektura ani nauka nie przynosiły mi odprężenia. Tak więc ćwiczyłem z innymi oficerami szermierkę na pałki i szable, trenowałem do krańcowego znużenia na przyrządach, a nawet w swoim gabinecie zawiesiłem linę do wspinania. Większość oficerów grała w szachy, ale zazwyczaj ogrywali mnie – a jeśli wygrałem, miałem wrażenie, że chcą mi poprawić humor. Słowne gry były zbyt trudne, ponieważ mój język był archaicznym dialektem, którym oni posługiwali się z trudnością. Natomiast mnie brakowało czasu i zdolności, aby opanować „współczesny” angielski.

Przez jakiś czas Diana podawała mi psychostymulanty, jednak ich dawki kumulowały się w organizmie – stopniowo i niemal niezauważalnie popadałem w uzależnienie – więc przestałem je brać. Potem próbowałem psychoanalizy u porucznika Wilbera. To okazało się nieporozumieniem. Chociaż z czysto naukowego punktu widzenia wiedział wszystko o moich problemach, nie mówiliśmy tym samym językiem kulturowym; jego rady dotyczące miłości i seksu brzmiały tak, jakbym to ja tłumaczył czternastowiecznemu chłopu pańszczyźnianemu, jak ma radzić sobie z panem i plebanem.

I właśnie na tym polegał mój problem. Byłem pewny, że poradziłem sobie z napięciami i frustracjami związanymi z dowodzeniem, jak również z tym, że jestem zamknięty w jaskini z ludźmi,

którzy czasami wydawali się tylko odrobinę mniej obcy niż nieprzyjaciół, a nawet z graniczącym z pewnością przekonaniem, iż wszystko to zakończy się męczeńską śmiercią w niesłusznej sprawie – gdybym tylko mógł mieć przy sobie Marygay. To uczucie narastało w miarę upływu miesięcy.

Wilber potraktował to bardzo surowo, oskarżając mnie o romantyczne pozerstwo. Powiedział, że wie, co to miłość: sam był kiedyś zakochany. Zróżnicowanie seksualne partnerów nie ma tu nic do rzeczy – w porządku, mogłem się z tym zgodzić; takie idee były modne jeszcze w czasach moich rodziców (choć w moim pokoleniu napotkały pewien, łatwy do przewidzenia, opór). Jednak miłość, powiedział, miłość to delikatny kwiat; miłość to kruchy kryształ; miłość to niestabilne połączenie o ośmioletnim okresie półtrwania. Bzdury, odparłem, i oskarżyłem go o noszenie kulturowych kłapek na oczy. Trzydzieści wieków

przedwojennego społeczeństwa nauczyło nas, że miłość jest jedyną rzeczą, jaka może trwać po sam grób, a nawet jeszcze dłużej, i gdyby urodził się, a nie wykuł, nie musiałbym mu tego wyjaśniać! W tym momencie Wilber zrobił kwaśną, wyrozumiałą minę i uznał, że jestem ofiarą własnych seksualnych frustracji i romantycznych złudzeń.

Patrząc na to z perspektywy czasu sędzę, że obaj mieliśmy przy tym świetną zabawę. Jednak nie zdołał mnie wyleczyć. Zyskałem nowego przyjaciela, który przez cały czas siedział mi na kolanach. Był nim kot, który miał niezwykle talent do unikania ludzi, którzy lubią koty, natomiast czepiał się osób cierpiących na katar sienny albo nie znoszących sprytnych małych zwierząt. Jednak mieliśmy ze sobą coś wspólnego, gdyż – o ile wiedziałem – był jedynym oprócz mnie heteroseksualnym samcem w tych okolicach. Oczywiście był wykastrowany, ale w tych okolicznościach nie robiło to większej różnicy.

6. Minęło dokładnie 400 dni od dnia, gdy rozpoczęliśmy budowę. Siedziałem przy biurku, nie patrząc na nowy wykaz służb sporządzony przez Hilleboe. Kot leżał na moich kolanach, głośno mrużąc, chociaż wcale go nie głaskałem. Charlie rozparł się na krześle, przeglądając coś w czytniku. Zadzwoił telefon i usłyszałem głos komandor Antopol.

–Są tutaj.

–Co?

–Powiedziałam, że są tu. Taurański kosmolot właśnie wyszedł z pola kolapsarowego. Prędkość 0,8 c. Deceleracja trzydzięści g. Mniej więcej.

Charlie pochylał się nad moim biurkiem.

–Co jest?

Zepchnąłem kota z kolan.

–Jak długo? Kiedy ruszysz w pościg? – zapytałem.

–Jak tylko się rozłączysz.

Przerwałem połączenie i podszedłem do komputera taktycznego, bliźniaczej kopii tego, który znajdował się na pokładzie „Masaryka II” i miał z nim bezpośrednią łączność. Podczas gdy próbowałem wydusić z niego jakieś dane, Charlie majstrował przy wyświetlaczu.

Był to hologram o powierzchni około metra kwadratowego i grubości pół metra, zaprojektowany tak, aby ukazywał pozycję Sade-138, naszej planety oraz paru innych kawałków kamienia w tym sektorze. Zielone i czerwone punkciki pokazywały odpowiednio nasze i taurańskie jednostki.

Komputer orzekł, iż minimalny czas potrzebny Taurańczy-

kom na decelerację i powrót na tę planetę to trochę ponad jednaście dni. Oczywiście pod warunkiem stosowania maksymalnych przyspieszeń i hamowań -jednak wtedy moglibyśmy ich wytłucjak muchy. Dlatego, tak samo jak my, będą losowo zmieniać kierunek lotu i stopień przyspieszenia. Opierając się na kilkuset zapisach wykonanych podczas dotychczasowych spotkań z wrogiem, komputer zdołał podać nam tabelę prawdopodobieństwa:

Chyba że Antopol i jej banda wesołych piratów zdołają załatwić wroga. Od elektronicznego pudła dowiedziałem się, że szansa takiego rozwiązania wynosi nieco mniej niż pięćdziesiąt procent.

Jednak obojętnie, czy zajmie to 28.9554 dni, czy dwa tygodnie, my tutaj, na planecie, mogliśmy tylko siedzieć i czekać. Jeśli Antopol poszczęści się, nie będziemy musieli walczyć do czasu, gdy zmienią nas regularne oddziały garnizonowe i przeniesiemy się do następnego kolapsara.

–Jeszcze nie odlecieli.

Charlie zmniejszył ekran do minimum; planeta była białą kulą wielkości sporego melona, a „Masaryk II” był zieloną plamką o kilka melonów na prawo; nie można było zobaczyć obydwu jednocześnie. Kiedy patrzyliśmy na wyświetlacz, od plamki statku oderwał się mały zielony punkcik i odpłynął w bok. Tuż przy nim pojawiła się blada cyfra 2, a plansza wyświetlona w dolnym lewym rogu identyfikatora pokazała rozpoznanie: 2 – truteń przechwytyjący. Inne cyfry na wyświetlaczu rozpoznawały go jako „Masaryka II” – planetarnego niszczyciela obronnego z czter-nastoma planetarnymi „trutniami” obrony. Te szesnaście statków leciało za blisko siebie, aby utworzyć oddzielne plamki.

Kot ocierał mi się o nogę. Podniosłem go i pogłaskałem.

–Powiedz Hilleboe, niech zarządzi zbiórkę całej załogi.

Przy okazji może powiadomić wszystkich o sytuacji.

Ludzie nie najlepiej przyjęli wiadomość i nie mogłem ich za to winić. Wszyscy oczekiwaliśmy, że Taurańczycy zaatakują znacznie wcześniej, a kiedy wciąż się nie zjawiali, powoli doszliśmy do wniosku, że dowództwo Oddziałów Uderzeniowych popełniło błąd i nieprzyjaciel nie zjawi się wcale.

Chciałem, żeby całe to towarzystwo poważnie zajęło się szkoleniem ogniowym; od prawie dwóch lat nie używali żadnej broni o dużej sile rażenia. Tak więc odblokowałem ich ręczne lasery i rozdałem granatniki oraz wyrzutnie rakiet. Nie mogliśmy ćwiczyć wewnątrz bazy, w obawie przed uszkodzeniem czujników zewnętrznych, a tym samym laserowego pierścienia obrony. Tak więc wyłączyliśmy połowę kręgu bewawatowych laserów i na

zmianę z Charliem wyprowadzaliśmy po jednym plutonie na odległość klika przed pozycje obrony. Rusk dyżurowała przy ekranach systemu wczesnego ostrzegania. Gdyby cokolwiek zaczęło się do nas zbliżać, wystrzeliłaby flarę i pluton musiałby wrócić pod kopułę, zanim to coś pojawi się na horyzoncie i lasery obronne włączą się automatycznie. Oprócz strącenia nieznanego napastnika usmażyłyby pluton w niecałe 0,02 sekundy.

Nie mieliśmy w bazie żadnego zbędnego wyposażenia, które moglibyśmy użyć jako cel, ale okazało się, że to żaden problem. Pierwsze wystrzelone przez nas rakiety tachionowe wyrwały dziurę długości dwudziestu metrów, szeroką na dziesięć i głęboką na pięć; grudy dostarczyły nam rozmaitych celów, dwukrotnie większych od człowieka lub mniejszych.

Żołnierze byli niezli, o wiele lepsi niż z prymitywnym orężem pod kopułą Pola. Najlepszym ćwiczeniem w strzelaniu z lasera okazało się coś, co przypominało strzelanie do rzutków; z dobrych parami ludzi jeden stał za plecami drugiego i w nieregularnych odstępach czasu rzucał kamieniami. Strzelający musiał przewidzieć trajektorię lotu kamienia i trafić go, zanim spadł na

ziemię. Ich koordynacja oka i ręki naprawdę robiła wrażenie (może Kontrola Eugeniczna choć raz zdołała coś zrobić dobrze). Strzelając nawet do drobnych kamyków, większość z nich trafiała nie mniej niż dziewięć razy na dziesięć. Ja, nie ulepszany bioinżynieryjnie staruszek, osiągałem najwyżej siedem na dziesięć, a miałem od nich znacznie większą praktykę.

Równie sprawnie przewidywali trajektorię pocisków z granatnika, który obecnie stał się bronią bardziej wszechstronną niż kiedykolwiek. Zamiast wystrzeliwać jednomikrotonowe bomby za pomocą standardowego ładunku miotającego, były cztery różne ładunki oraz ładunki jedno-, dwu-, trzy- i czteromikrotonowe –do wyboru. A w walce na naprawdę krótki dystans, kiedy użycie lasera byłoby ryzykowne, można było odłączyć lufę granatnika i założyć magazynek ładunków „śrutowych”. Każdy pocisk rozpadał się na chmurę tysiąca małych strzałek, które niosły śmierć wszystkiemu w promieniu pięciu metrów, a po sześciu zmieniały się w nieszkodliwy gaz.

Wyrzutnia rakiet tachionowych nie wymagała żadnych umiejętności. Musiałeś jedynie uważać, żeby w momencie strzału nikt nie stał ci za plecami; płomień odrzutu tryskał na kilka metrów od wylotu. Upewniwszy się, że można strzelać, łapałeś cel w nitki celownika i naciskałeś spust. Nie trzeba było martwić się o trajektorię; rakietka leciała prosto do celu.

Morale żołnierzy bardzo podbudowało to, że mogli sobie

wyjść i przemeblować krajobraz swoimi nowymi zabawkami. Tyle że krajobraz nie odpowiadał ogniem. Obojętnie, jak wielkie wrażenie robiła ta broń, jej skuteczność zależała od tego, co rzuca na nas Taurańczycy. Grecka falanga musiała robić spore wrażenie, jednak nie spisałyby się najlepiej przeciw jednemu facetowi z miotaczem płomieni.

Podobnie jak w innych starciach, dylatacja czasu sprawiła, że nie sposób było przewidzieć, jakim uzbrojeniem będzie tym razem dysponować nieprzyjaciel. Może wcale nie słyszeli o Polu, a może wystarczy im powiedzieć krótkie zaklęcie, żebyśmy zniknęli. Byłem na zewnątrz z czwartym plutonem, ostrzeliwując skały, kiedy odezwał się Charlie, wzywając mnie natychmiast do bazy. Przekazałem dowodzenie Heimoffowi.

–Jeszcze jeden?

Tym razem skala hologramu była taka, że nasza planeta miała wielkość ziarnka grochu i znajdowała się pięć centymetrów od X oznaczającego położenie Sade-138. Wokół widniało czterdzieści jeden czerwonych i zielonych punkcików, porzucanych bez ładunku i składu. Komputer zidentyfikował czterdziestą pierwszą jako TAURAŃSKI KRAŻOWNIK (2).

–Wezwałś Antopol?

–Taak. – Przewidział moje następne pytanie. – Sygnał będzie szedł tam i z powrotem prawie cały dzień.

–Tego jeszcze nie było – powiedziałem, ale Charlie dobrze o tym wiedział.

–Może ten kolapsarjest dla nich szczególnie ważny.

–Możliwe.

Tak więc było niemal pewne, że walka będzie toczyć się również na powierzchni planety. Nawet gdyby Antopol zdołała załatwić pierwszy krążownik, nie miałyby pięćdziesięciu procent szans z drugim. Za mało „trutni” i myśliwców.

–Nie chciałbym teraz być na miejscu Antopol.

–Po prostu oberwie wcześniej niż my.

–No, nie wiem. Jesteśmy w bardzo dobrej formie.

–Zachowaj taką gadkę dla żołnierzy.

Zmienił skalę hologramu, który teraz pokazywał tylko dwa obiekty: Sade-138 i nowy, czerwony punkt, wolno przesuający się ku nam.

Przez następne dwa tygodnie obserwowaliśmy, jak plamki gasną. A jeśli wiedziałeś, kiedy i gdzie patrzeć, mogłeś wyjść na zewnątrz i zobaczyć to na własne oczy – ten jaskrawy rozbłysk białego światła, gasnący w ułamku sekundy.

W czasie tej sekundy energia wyzwolona przez bombę typu

**„nova” milion razy przewyższała moc gigawatowego lasera. Two-
rzyła miniaturową gwiazdę o średnicy pół klika, równie gorącą jak wnętrze słońca.
Pochłaniała wszystko, czego dotknęła. Pro-**

**mieniowanie bliskiej eksplozji nieodwracalnie niszczyło elektro-
nikę statku – dwa myśliwce, jeden nasz i dwa ich, najwidoczniej
spotkał taki los; pozbawione napędu, ze stałą prędkością cicho
zdryfowały z systemu.**

**Na początku wojny używaliśmy silniejszych bomb „nova”,
lecz ich materiał wybuchowy w dużych ilościach był zbyt niesta-
bilny. Bomby miały tendencję do wybuchania jeszcze na pokła-
dach statków. Najwidoczniej Taurańczycy mieli ten sam problem
–albo w ogóle skopiowali tę broń od nas – ponieważ również
ograniczyli się do ładunków o masie nie przekraczającej stu
kilogramów. I używali ich bardzo podobnie jak my: głowica
bojowa, uderzając w cel, rozpadała się na dziesiątki kawałków,
z których tylko jeden zawierał bombę.**

**Kiedy wykończą „Masaryka II” z jego flotyllą myśliwców
i „trutni”, zapewne zostanie im jeszcze sporo bomb. Tak więc być
może tylko marnowaliśmy czas i energię na szkolenie ogniowe.**

**W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że mógłbym wziąć
jedenastu ludzi i obsadzić myśliwiec, który ukrywaliśmy pod
osłoną Pola. Był zaprogramowany na powrót do Stargate.**

**Złapałem się na tym, że w myślach usiłuję zestawić listę
jedenastu osób, które znaczą dla mnie więcej niż inni. Okazało
się, że sześciu musiałbym wybrać na chybił trafił.**

**Jednak odepchnąłem od siebie tę myśl. Naprawdę mieliśmy
szansę, może nawet cholernie dużą – nawet przeciw silnie uz-
brojonemu krążownikowi. Nie będzie im łatwo zrzucić „nova”
dostatecznie blisko, aby objęło nas jej pole rażenia.**

**A poza tym i tak rozwaliliby mnie za dezercję. Po co miałbym
zadawać sobie tyle trudu?**

**Nastroje poprawiły się, kiedy jeden z „trutni” Antopol znisz-
czył pierwszy taurański krążownik. Nie licząc statków pozosta-
wionych do obrony planety, nadal miała osiemnaście „trutni”
i dwa myśliwce. Wciąż atakowane przez piętnaście nieprzyjaciel-
skich jednostek, zawróciły stawić czoło drugiemu krążownikowi,
odległemu o kilka godzin świetlnych.**

**Jeden z taurańskich „trutni” trafił „Masaryka II”. Jednostki
pokładowe Antopol usiłowały kontynuować atak, jednak szybko
poszły w rozsypkę. Jeden myśliwiec i trzy „trutnie”, nie ścigane
przez wroga, opuściły pole walki, z maksymalnym przyspiesze-
niem omijając planetę w płaszczyźnie ekliptyki. Patrzyliśmy na
to z niezdrowym zaciekawieniem, podczas gdy nieprzyjacielski**

krażownik powoli cofał się, by nas zaatakować. Ostatni myśliwiec kierował się z powrotem na Sade-138, uciekał. Nikt nie miał mu tego za złe. Prawdę mówiąc, wysłaliśmy im depeszę, życząc szczęścia. Oczywiście nie odpowiedzieli, zamknięci w swoich zbiornikach przeciwprzeciążeniowych. Jednak komputery zarejestrują wiadomość.

Powrót do planety i dogodne ulokowanie się na orbicie stacjonarnej nad drugą półkulą zajęły nieprzyjacielowi pięć dni. Przygotowaliśmy się do nieuniknionej pierwszej fazy walki, która miała toczyć się w powietrzu: ich „trutnie” przeciw naszym laserom. Umieściłem w Polu oddział złożony z pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet, na wypadek gdyby któryś z „trutni” zdołał przedrzeć się przez naszą obronę. Pusty gest, doprawdy: wróg mógł po prostu otoczyć Pole i czekać, aż je wyłączą, po czym w mgnieniu oka usmażyć ich ogniem laserów.

Charlie wpadł na niesamowity pomysł, na który prawie przystałem.

–Moglibyśmy zastawić pułapkę.

–Co masz na myśli? Całe to miejsce w promieniu dwudziestu pięciu klików to jedna wielka pułapka.

–Nie, nie mówię o minach i tak dalej. Mówię o samej bazie, a właściwie ojej podziemiach.

–Mów dalej.

–W tym myśliwcu są dwie bomby „nova”. – Wskazał w gor?> gdzie za kilkusetmetrową warstwą skały znajdowało się Pole. – Możemy wtoczyć je tutaj, uzbroić, a potem ukryć wszystkich w Polu i czekać.

Pod pewnymi względami była to kusząca myśl. Uwolniłbym się od odpowiedzialności za podjęte decyzje, pozostawił wszystko przypadkowi.

–Nie sądzę, żeby coś z tego wyszło, Charlie.

Wyglądał na urażonego.

–Na pewno by wyszło.

–Nie, słuchaj. Żeby się udało, musiałbyś mieć wszystkich Taurańczyków w zasięgu pola rażenia bomby przed jej wybuchem – a przecież oni nie wpadną tutaj wszyscy, jak tylko przełamią naszą obronę. A już na pewno nie wtedy, jeśli baza będzie wyglądała na opuszczoną. Podejrzewaliby coś, wysłali oddział zwiadowczy. A po eksplozji bomb...

–Znaleźlibyśmy się znowu w punkcie wyjścia. Tylko bez bazy. Przepraszam.

Wzruszyłem ramionami.

–Zawsze to jakiś pomysł. Myśl dalej, Charlie.

Ponownie zwróciłem uwagę na wyświetlacz, gdzie trwała nierówna kosmiczna bitwa. Całkiem logicznie, przed zaatakowaniem bazy, wróg chciał zniszczyć nasz jedyny myśliwiec. Właściwie mogliśmy tylko patrzeć na czerwone kropki pełzające wokół planety i usiłujące go trafić. Do tej pory pilotowi udało się zniszczyć wszystkie „trutnie”; nieprzyjaciel jeszcze nie wysłał przeciw niemu myśliwców.

Przekazałem pilotowi kontrolę nad pięcioma laserami naszego pierścienia obrony. Niewiele mogło mu to pomóc. Gigawatowy laser emituje miliard kilowatów na sekundę – na odległość stu metrów. Jednak po tysiącu klików strumień energii redukuje się do dziesięciu kilowatów. Może wyrządzić jakieś szkody, jeśli trafi w czujnik optyczny. Przynajmniej narobi zamieszania.

–Przydałby się jeszcze jeden myśliwiec. Albo sześć.

–Wykorzystuj „trutnie” – powiedziałem.

Oczywiście, mieliśmy myśliwiec i przydzielonego obiboka, który miał go pilotować. Mógł się okazać naszą ostatnią szansą, gdyby zamknęli nas w Polu.

–Jak daleko jest ten drugi facet? – zapytał Charlie, myśląc o pilocie myśliwca, który zwał z pola walki. Zmniejszyłem skalę i po prawej stronie wyświetlacza pojawił się zielony punkcik.

–Okolo sześć godzin świetlnych stąd.

Stracił jednego, osłaniając swój odwrót, więc zostały mu dwa „trutnie”, lecące zbyt blisko, aby były widoczne jako oddzielne plamki.

–Już nie przyspiesza, ale leci na 0,9 g.

–Nie zdoła nam pomóc, nawet gdyby chciał.

Potrzebowałyby prawie miesiąca, żeby wytracić szybkość.

W tej niemiłej chwili światełko oznaczające nasz ostatni myśliwiec zniknęło.

–Cholera!

–Dopiero teraz zacznie się zabawa. Czy mam powiedzieć ludziom, żeby szykowali się do wyjścia na górę?

–Nie... Każ im założyć skafandry na wypadek dehenetyzacji bazy. Jednak sądzę, że chwilę potrwa, zanim rozpoczną atak naziemny.

Znów podkręciłem skalę. Cztery czerwone punkciki już pełzły wokół planety, w naszym kierunku.

Założyłem skafander i wróciłem do Administracji, aby obejrzeć fajerwerki na ekranach monitorów.

Lasery działały bez zarzutu. Wszystkie cztery „trutnie” skierowały się na nas jednocześnie: zostały namierzone i zniszczone.

Wszystkie bomby „nova” oprócz jednej eksplodowały za hory-

zontem (wprawdzie dla nas horyzont znajdował się jakieś dziesięć kilometrów dalej, ale lasery były zamontowane wyżej i mogły wykryć dowolny obiekt z dwukrotnie większej odległości). Bomba, która wybuchła na horyzoncie, wytopiła w nim półkolistą wyrwę, przez kilka minut jarzącą się jaskrawą bielą. Godzinę później wciąż żarzyła się pomarańczowo, podnosząc temperaturę gruntu na zewnątrz do pięćdziesięciu stopni Kelvina, topiąc większość śniegu i odsłaniając nierówną, ciemnoszarą powierzchnię.

Następny atak również skończył się w ułamku sekundy, ale tym razem nadleciało osiem „trutni” i cztery z nich dotarły na

odległość dziesięciu klików. Promieniowanie z jarzących się kraterów podniosło temperaturę do prawie 300 stopni. Już przekraczało punkt wrzenia wody, więc zacząłem się martwić. Skafandry bojowe wytrzymały ponad tysiąc stopni, ale szybkość działania laserów zależała od niskotemperaturowych nadprzewodników. Spytałem komputer o graniczną temperaturę działania laserów i otrzymałem wydruk NR 398-734-009-265 „Niektóre aspekty przystosowania układów krionicznych w środowisku o relatywnie wysokiej temperaturze”, w którym znalazłem mnóstwo dobrych rad, jak można zaizolować broń, jeśli ma się pod ręką specjalistyczny warsztat rusznikarski. Raport przypominał, że czas reakcji automatycznych urządzeń celowniczych wydłużał się ze wzrostem temperatury, a po przekroczeniu pewnej „temperatury krytycznej” lasery w ogóle przestaną celować. Jednak nie informował, jak przewidzieć zachowanie poszczególnych urządzeń, jedynie podawał, że najwyższa zarejestrowana temperatura krytyczna wynosiła 790, a najniższa 420 stopni.

Charlie obserwował wyświetlacz. Jego głos w radiotelefonie skafandra był wyprany z emocji.

–Tym razem szesnaście.

–Dziwisz się?

Jedną z niewielu rzeczy, jakie wiedzieliśmy o Taurańczykach, było ich dziwne upodobanie do pewnych liczb – szczególnie pierwszych i potęgi z dwóch.

–Miejmy nadzieję, że nie zostało im jeszcze 32.

Zapytałem o to komputer: wiedział jedynie, że do tej pory krążownik wystrzelił 44 pociski i że niektóre krążowniki przenoszą ich do 128.

Mieliśmy ponad pół godziny do następnego ataku „trutni”.

Mogłem ewakuować wszystkich pod osłonę Pola, gdzie byłibyśmy chwilowo bezpieczni, gdyby jakaś „nova” upadła w pobliżu. Bezpieczni, ale w pułapce. Ile trzeba czasu, żeby ostygł krater po wybuchu trzech czy czterech bomb – nie mówiąc już o szesna-

stu? Nie można tkwić w nieskończoność w skafandrze bojowym, chociaż z bezlitosną wydajnością przerabia wszystko w obiegu zamkniętym. Tydzień wystarczy, żeby cię całkiem umęczyć. Dwa to samobójstwo. Trzech tygodni w skafandrze, w warunkach polowych, nikt jeszcze nie wytrzymał.

Ponadto, jako pozycja obronna, Pole mogło stać się śmiertelną pułapką. Ponieważ jego kopuła jest nieprzezroczysta, wróg miał pełną swobodę działania; jedyny sposób, aby sprawdzić, co tamci robią, to wystawić głowę. Nie musieli nawet wkraczać z jakąś prymitywną bronią do środka, chyba że bardzo im się spieszyło. Mogli trzymać kopułę pod ogniem laserów i czekać, aż wyłączycie generator. A w tym czasie uprzykrzać nam życie, zasypując dzidami, kamieniami czy strzałami – moglibyśmy odpowiadać ogniem, ale byłoby to strzelanie na oślep.

Oczywiście, gdyby ktoś pozostał w bazie, inni mogliby przeczekać te pół godziny pod osłoną Pola. Gdyby po tym czasie nie przyszedł, wiedzieliby, że na zewnątrz nadal jest gorąco. Wybrałem kombinację dostrajającą mnie do częstotliwości odbiorników żołnierzy wyższych stopni.

–Tu major Mandella.

W dalszym ciągu brzmiało to jak kiepski żart.

Krótko nakreśliłem im sytuację i poleciłem, aby przekazali swoim ludziom wiadomość, że kto chce, może schronić się pod osłoną Pola. Ja zostanę tutaj i zawiadomię ich, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Oczywiście, z mojej strony wcale nie był to jakiś szlachetny gest: przedkładałem ryzyko wyparowania w ciągu nanosekundy nad niemal pewną powolną śmierć pod szarą kopułą Pola. Wybrałem częstotliwość Charliego.

–Ty też możesz iść. Zajmę się tu wszystkim.

–Nie, dzięki – odparł powoli. – Wolę... Hej, spójrz na to!

Krażownik odpalił kolejną czerwoną kropkę, kilka minut za poprzednimi. Komputer zidentyfikował ją jako kolejny pocisk samosterujący.

–Dziwne.

–Przesądne dranie – rzekł beznamiętnie Charlie.

Okazało się, że tylko jedenaście osób postanowiło dołączyć do pięćdziesiątki odkomenderowanej wcześniej do kopuły. Nie powinno mnie to dziwić, jednak zdziwiło.

Kiedy „trutnie” zbliżały się do nas, Charlie i ja gapiliśmy się w monitory, starannie unikając spoglądania na holograficzny obraz wyświetlacza, milcząco uznając, że lepiej nie wiedzieć, kiedy są w odległości minuty, trzydziestu sekund... A potem, tak jak poprzednio, zanim zorientowaliśmy się, że się zaczęło, było

już po wszystkim. Ekran płonąca bielą, ryk zakłóceń w słuchawkach, a my wciąż byliśmy żywi.

Jednak tym razem na horyzoncie – albo bliżej! – pojawiło się piętnaście nowych kraterów, a temperatura rosła tak szybko, że ostatnia cyfra na wyświetlaczu czujnika zlała się w bezkształtną plamę. Odczytana wartość znacznie przekroczyła 800 Kelwinów, a potem powoli zaczęła się zmniejszać.

Nigdy nie dostrzegliśmy żadnego z pocisków, nie w tym krótkim ułamku sekundy, w jakim lasery zdążyły wycelować i strzelić. Jednak teraz nad horyzontem przeleciał siedemnasty, zygzakując jak szalony, i zatrzymał się bezpośrednio nad nami. Przez moment zdawał się wisieć w powietrzu, a potem runął w dół. Większość laserów wykryła go i otworzyła ogień ciągły, jednak niecelny; wszystkie były zablokowane na poprzednich namiarach.

Połykiwał spadając, w lustrzanych burtach wąskiego kadłuba odbijał się biały blask kraterów i upiorne błyski ciągłego, niecelnego ognia laserów. Usłyszałem, jak Charlie wstrzymuje oddech. Pocisk opadł tak nisko, że można było dostrzec pajęcze taurańskie cyfry namalowane na kadłubie i przezroczysty luk na dziobie – nagle błysnął płomieniami odrzutu i zniknął.

–Co, do diabła? – spytał spokojnie Chanie.

Luk na dziobie.

–Może to rozpoznanie.

–Tak sądzę. A zatem nic nie możemy im zrobić, a oni o tym wiedzą.

–Chyba że odblokują się lasery.

Mało prawdopodobne.

–Lepiej wyślijmy wszystkich pod kopułę. My też chodźmy. Rzucił krótkie słowo, którego brzmienie zmieniło się przez wieki, ale znaczenie pozostało wciąż zrozumiałe.

–Nie ma pośpiechu. Zobaczymy, co zrobią.

Czekaliśmy kilka godzin. Temperatura na zewnątrz ustaliła się przy 690 Kelvinach – trochę poniżej punktu topnienia cynku, co przypomniałem sobie zupełnie bez sensu. Próbowałem ręcznie kierować laserami, ale wciąż były zablokowane.

–Nadlatują – powiedział Charlie. – Znowu osiem.

Ruszyłem do wyświetlacza.

–Chyba powinniśmy...

–Czekaj! To nie są pociski.

Komputer rozpoznał w nich legendarne TRANSPORTOWCE

PIECHOTY.

–Sądzę, że chcą zdobyć bazę – powiedział. – Nietkniętą.

Tak, albo chcą wypróbować nowe rodzaje broni lub taktyki.

–Niewiele ryzykują. Zawsze mogą wycofać się i rzucić nam na głowy następną „nową”.

Wezwałem Brill i kazałem jej wziąć wszystkich, którzy są w Polu, po czym wraz z resztkami jej plutonu sformować linię obrony w północno-wschodnim i północno-zachodnim sektorze.

Ja z resztą ludzi będę bronił drugiej połowy kręgu.

–Zastanawiam się – rzekł Charlie. – Może nie powinniśmy wysyłać na górę wszystkich. Przynajmniej dopóki nie wiemy, ilu jest tam Taurańczyków.

Miał rację. Trzymać odwody, niech nieprzyjaciel błędnie szacuje nasze siły.

–Dobra myśl... W tych ośmiu transportowcach może ich być tylko 64.

Albo 128 lub 256. Szkoda, że nasze satelity szpiegowskie nie mają lepszej rozdzielczości. Jednak trudno upchać więcej do urządzenia wielkości winogrona.

Zdecydowałem, że tych siedemdziesięciu żołnierzy Brill będzie naszą pierwszą linią obrony, i kazałem im obsadzić okopy, które wykopaliśmy wokół bazy. Pozostali mieli zostać na dole do chwili, gdy będą potrzebni.

Jeśli powstrzymanie Taurańczyków, ze względu na ich przewagę liczebną lub technologiczną, okaże się niemożliwe, rozkażę moim ludziom, aby schronili się pod osłoną Pola. Pomieszczenia mieszkalne są połączone z kopułą tunelem, którym można bezpiecznie przedostać się tam z podziemi. Ci z okopów będą musieli wycofać się pod ostrzałem. Jeśli ktoś pozostanie przy życiu w chwili, gdy wydam ten rozkaz.

Wezwałem Hilleboe, polecając jej i Charliemu pilnowanie laserów. Jeśli odblokują się, ściągnę Brill i jej ludzi z powrotem. Potem znów włączę systemy automatycznego kierowania ogniem, usiądę i popatrzę na pokaz. Jednak nawet z zablokowanymi celownikami lasery mogły być użyteczne. Charlie zaznaczył na monitorach kierunki poszczególnych promieni; razem z Hilleboe będą ręcznie prowadzić ogień, jeśli coś znajdzie się na linii strzału.

Mieliśmy około dwudziestu minut. Brill obsadzała okopy swoimi ludźmi, przydzielając stanowiska poszczególnym drużynom, wyznaczając zazębiające się sektory ognia. Włączyłem się i poprosiłem o ustawienie ciężkiej broni tak, aby kierowała atakującego nieprzyjaciela pod ogień laserów.

Niewiele więcej mogliśmy zrobić poza czekaniem. Poprosi-

łem Charliego, aby mierzył tempo posuwania się wroga i spróbował wyliczyć dokładny czas rozpoczęcia ataku. Potem siadłem za biurkiem i wyciągnąłem notes, żeby naszkicować pozycje Brill i sprawdzić, czy nie da się czegoś ulepszyć.

Kot wskoczył mi na kolana, miaucząc żałośnie. Najwidoczniej nie potrafił odróżnić jednej postaci w skafandrze od drugiej. Jednak nikt inny nie siadał przy tym biurku. Zeskoczył, kiedy próbowałem go pogłaskać.

Pierwsza narysowana przeze mnie kreska przecięła cztery kartki papieru. Minęło trochę czasu, od kiedy ostatni raz wykonywałem w skafandrze jakieś delikatne prace. Przypomniałem sobie, jak na treningach uczono nas kontrolować obwody wzmacniające siłę. Podawaliśmy sobie jajka z ręki do ręki. Okropność. Zastanawiam się, czy na Ziemi zostały jeszcze jakieś jajka.

Ukończywszy rysunek, nie dostrzegłem niczego, co wymagałoby ulepszenia.

Przez głowę przelatywały mi rozmaite teorie, jakimi napchano mi umysł; mnóstwo wskazówek taktycznych odnośnie do otaczania i okrążania – tylko z niewłaściwego punktu widzenia. Jeśli to ciebie mają okrążyć, nie masz większego wyboru. Musisz trzymać się i walczyć. Szybko reagować na koncentrację sił przeciwnika, reagować elastycznie, żeby wróg nie osłabił pierścienia obrony pozorowanym atakiem. W pełni wykorzystać osłonę z powietrza i kosmosu – to zawsze dobra rada. Chowaj łeb, zaciskaj zęby i módl się o kawalerię. Trzymaj pozycję i nie myśl za dużo o Dien Bien Phu, Alamo oraz bitwie pod Hastings.

–Jeszcze osiem transportowców – powiedział Charlie. –

Za pięć minut będzie tu pierwsza ósemka.

A zatem zamierzali zaatakować w dwóch rzutach. Co najmniej. Co zrobiłbym na miejscu taurańskiego dowódcy? To nie było zbyt trudne do przewidzenia: Taurańczycy nie mieli zdolności taktycznych i zwykle kopiowali nasze metody.

Pierwsza fala będzie spisana na straty, samobójczy atak, żeby nas zmiękczyć i rozpoznać naszą obronę. Drugi będzie bardziej metodyczny i dokończy dzieło. Albo odwrotnie; pierwszy rzut okopie się w ciągu dwudziestu minut, a drugi przeskoczy nad ich głowami i uderzy wszystkimi siłami w jeden punkt – przełamując naszą obronę i opanowując bazę.

A może wysłali dwa oddziały, ponieważ dwójka to ich magiczna liczba. Albo mogą posyłać tylko osiem transportowców naraz (co byłoby fatalne, gdyż świadczyłoby, że transportowce są duże – przy innych okazjach używali pojazdów zabierających od 4 do 128 żołnierzy).

–Trzy minuty.

Wpatrywałem się w rząd monitorów ukazujących różne sektory pola minowego. Jeśli dopisze nam szczęście, wylądują na nim albo przelecą dostatecznie nisko, żeby zdetonować miny.

Miałem dziwne poczucie winy. Siedziałem bezpiecznie w mojej norze, nic nie robiąc, gotów wydawać rozkazy. Co tych siedemdziesiąt ofiarnych owieczek myśli o swoim nieobecny dowódcy?

Potem przypomniałem sobie, co sam myślałem o kapitanie Stottcie podczas pierwszej misji, kiedy wolał zostać bezpiecznie na orbicie, a my wykrwawialiśmy się na powierzchni. Przyływ dawnej nienawiści był tak silny, że z trudem opanowałem mdłości.

–Hilleboe, możesz sama zająć się laserami?

–Czemu nie, sir.

Rzuciłem pióro i wstałem.

–Charlie, przejmiesz dowodzenie; poradzisz sobie z tym równie dobrze jak ja. Idę na górę.

–Nie radziłabym, sir.

–Daj spokój, Williamie. Nie bądź głupi.

–Nie pytam o radę. Daję róż...

–Nie przeżyjesz tam nawet dziesięciu sekund – rzekł Charlie.

–Będę miał takie same szansę jak każdy.

–Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Zabiją cię!

–Żołnierze? Bzdury. Wiem, że niezbyt mnie lubią, ale...

–Nasłuchiwałeś na ich częstotliwościach?

Nie, rozmawiając między sobą, nie mówili mój ą angielszczyzną.

–Myślą, że wysłałeś ich na linię za karę, za tchórzostwo. Po tym, jak powiedziałaś, że wszyscy mogą wejść pod kopułę.

–To dlatego, sir? – spytała Hilleboe.

–Za karę? Nie, oczywiście, że nie. – W każdym razie nie świadomie. – Po prostu byli pod ręką, kiedy potrzebowałem...

Czy porucznik Brill powiedziała im coś?

–Nie słyszałem – odparł Charlie. – Może była zbyt zajęta.

Albo zgadzała się z nimi.

–Lepiej...

–Tam! – krzyknęła Hilleboe.

Na jednym z monitorów pola minowego pojawił się pierwszy transportowiec; następne zjawyły się po sekundzie. Nadleciały z różnych kierunków, w nieregularnych odstępach. Pięć na północnym wschodzie i tylko jeden na południowym zachodzie.

Przekazałem tę wiadomość Brill.

Dobrze przewidzieliśmy ich sposób rozumowania; wszystkie lądowały na polu minowym. Jeden znalazł się dostatecznie nisko,

żeby zdetonować tachionowy ładunek. Wybuch poderwał rufę jednostki o dziwnie opływowych kształtach, obrócił ją w powietrzu i cisnął dziobem o ziemię. Boczne luki otwały się i wypełzli z nich Taurańczycy. Tylko dwunastu; czterej pewnie zostali w środku. Jeśli tamte transportowce również przenoszą po szesnastu żołnierzy, to mają nad nami tylko nieznaczną przewagę liczebną. W pierwszym rzucie.

Pozostałe siedem statków wylądowało bez przeszkód i rzeczywiście w każdym było szesnastu Taurańczyków. Widząc koncentrację sił nieprzyjaciela, Brill przegrupowała kilka drużyn i czekała.

Ruszyli szybko przez pole minowe, maszerując miarowo jak krzywonogie, masywne roboty, nie zwalniając kroku, gdy któryś został rozerwany na kawałki przez minę, co zdarzyło się jedenaście razy.

Kiedy przekroczyli linię horyzontu, wyjaśnił się powód nierównomiernej liczebności grup: uprzednio przeanalizowali, które drogi podejścia zapewnią im najlepszą osłonę z gładów porozrzucanych wybuchami „trutni”. Dotarli na odległość paru kilometrów od bazy, zanim mogliśmy wziąć ich na cel. Ich skafandry miały obwody wspomagania podobne do naszych, więc mogli przejść kilometr w niecałą minutę.

Brill natychmiast rozkazała otworzyć ogień, chyba bardziej dla dodania ducha niż w nadziei zadania strat przeciwnikowi. Zapewne trafili paru, chociaż trudno powiedzieć ilu. W każdym razie rakiety tachionowe efektownie rozwalają gładzy w pył.

Taurańczycy odpowiedzieli ogniem jakiejś broni podobnej do naszych rakiet tachionowych – może nawet dokładnie takimi samymi rakietami. Jednak rzadko trafiali w cel; nasi ludzie byli dobrze okopani i jeśli pocisk nie uderzył w coś, miał sobie tak lecieć po wieki wieków, amen. Mimo to zniszczyli jeden z naszych bewawatowych laserów i wstrząs, który dotarł aż do nas, był dostatecznie silny, żebym pożałował, iż nie zakopaliśmy się głębiej niż na dwadzieścia metrów.

Gigawaty w niczym nam nie pomagały. Taurańczycy musieli wcześniej rozpoznać ich linie ognia i ominęli je z daleka. I dobrze się stało, ponieważ dzięki temu Charlie na chwilę oderwał wzrok od monitorów stanowisk laserowych.

–Co, do licha?

–O co chodzi, Charlie?

Ja nie odrywałem oczu od monitorów. Czekałem, aż coś się zdarzy.

–Statek... ten krążownik... zniknął.

Spojrzałem na wyświetlacz holograficzny. Miał rację; pozostały jedynie czerwone punkciki oznaczające transportowce piechoty.

–Gdzie się podział? – zdziwiłem się głupio.

–Puśćmy to jeszcze raz.

Zaprogramował wyświetlacz na kilkuminutowe cofnięcie projekcji i ustawił skalę tak, że hologram ukazywał zarówno planetę, jak i kolapsar.

Pojawił się krążownik, a przy nim trzy zielone kropki.

Nasz „tchórz” atakował krążownik, mając tylko dwa „trutnie”!

Jednak miał po swojej stronie prawa fizyki.

Zamiast wejść w kolapsar, prześlizgnął się wokół jego pola, używając go jak katapulty. Wyszedł z prędkością dziewięciu dziesiątych prędkości światła ze swymi „trutniami”, o dziewięć setnych szybszymi, prosto na nieprzyjacielski krążownik. Nasza planeta znajdowała się o tysiąc sekund świetlnych od kolapsara, więc Taurańczycy mieli zaledwie dziesięć sekund na wykrzyki i powstrzymanie „trutni”. A przy tej prędkości nie ma różnicy, czy trafiła cię „nova”, czy kropla śliny.

Pierwszy pocisk zamienił krążownik w chmurę gazu, a drugi, lecący 0,01 sekundy za nim, poszybował w kierunku planety. Myśliwiec ominął ją o kilkaset kilometrów i śmignął w przestrzeń, wytracając prędkość z maksymalnym przeciążeniem 25 g. Wróci za parę miesięcy.

Jednak Taurańczycy nie zamierzali czekać. Podeszli wystarczająco blisko do naszych linii, aby otworzyć ogień z laserów, ale także znaleźli się w zasięgu naszych granatników. Większe głazy, mogły ich osłonić przed promieniami laserów, ale granatniki i rakiety zbierały obfite żniwo.

Z początku żołnierze Brill mieli przygniatającą przewagę; ukrytym w okopach mógł zaszkodzić tylko przypadkowy, szczęśliwy strzał albo wyjątkowo dobrze wycelowany granat (którymi Taurańczycy potrafili rzucać na odległość kilkuset metrów). Brill straciła czterech ludzi, ale wyglądało na to, że Taurańczyków nie została nawet połowa.

Po chwili grunt był tak rozryty wybuchami, że Taurańczycy zaczęli kryć się w lejach. Walka zmieniła się w szereg indywidualnych pojedynków, sporadycznie przerywanych hukem cięższej broni. Jednak używanie rakiet tachionowych przeciw pojedynczemu Taurańczykowi nie było zbyt mądre, skoro za parę minut miały przybyć kolejne oddziały o nieznanym sile.

Coś mnie niepokoiło w tym holograficznym obrazie. Teraz, kiedy walka przygasła, zrozumiałem co.

Kiedy ten drugi „truteń”, pędząc z prędkością światła, uderzy

w planetę, jakie spowoduje zniszczenia? Podszedłem do komputera i wprowadziłem dane; dowiedziałem się, ile energii wyzwoli się przy zderzeniu, i porównałem to z informacjami geologicznymi w pamięci maszyny.

Dwadzieścia razy więcej niż podczas największego zarejestrowanego dotychczas trzęsienia ziemi. Na planecie o jedną czwartą mniejszą od Ziemi.

Na ogólnej częstotliwości:

–Wszyscy na górę! Natychmiast!

Rąbnąłem w guzik uruchamiający i otwierający służbę oraz tunel prowadzący z Administracji na powierzchnię.

–Co, u diabła. Will...

–Trzęsienie ziemi!

Ile mamy czasu?

–Biegiem!

Hilleboe i Charlie gnali tuż za mną. Kot siedział na moim biurku, obojętnie czyszcząc swoje futro. Miałem irracjonalną ochotę wsadzić go za pazuchę, tak jak został przeniesiony ze statku do bazy, jednak wiedziałem, że nie wytrzymałby tam dłużej

niż kilka minut. Potem przyszedł mi do głowy bardziej sensowny pomysł, żeby zamienić go w parę strzałem z lasera, ale wtedy drzwi zasunęły się i już pięliśmy się po drabinie. Przez całą drogę na górę i jeszcze przez jakiś czas później dręczył mnie obraz bezradnego zwierzęcia, uwięzionego pod tonami głazów, zdychającego powoli w syku uciekającego powietrza.

–W okopach bezpieczniej? – zapytał Charlie.

–Nie wiem – odparłem. – Nigdy nie przeżyłem trzęsienia ziemi.

Ściany okopu też mogły runąć i zgnieść nas.

Zdziwił mnie mrok panujący na powierzchni. Doradus S prawie zaszedł; monitory automatycznie kompensowały słabe oświetlenie. Promień nieprzyjacielskiego lasera przeciął otwartą przestrzeń po lewej i trysnął deszczem iskier, uderzając o podstawę gigawatowego lasera. Jeszcze nas nie dostrzegli. Wszyscy uznaliśmy, że owszem, bezpieczniej będzie w okopach, więc trzema susami dopadliśmy najbliższego z nich.

W rowie była czwórka żołnierzy, jeden z mężczyzn ciężko ranny lub zabity. Ostrożnie zeszliśmy na dół i przestawiłem mój wzmacniacz obrazu na dwójkę, żeby przyjrzeć się współtowarzyszom. Dopisało nam szczęście; jeden z nich był grenadierem i mieli wyrzutnię rakiet. Ledwie zdołałem odczytać nazwiska na ich hełmach. Byliśmy w transzei Brill, która jeszcze nas nie zauważyła. Znajdowała się na drugim końcu okopu, ostrożnie

wyglądając nad przedpiersiem i kierując manewrem oskrzydającym wykonywanym przez dwie drużyny. Kiedy zajęły wyznaczone pozycje, zeskoczyła na dno okopu.

–To pan, majorze?

–Tak – odparłem ostrożnie. Zastanawiałem się, czy ktoś z obecnych należy do amatorów mojego skalpu.

–Co z tym trzęsieniem ziemi?

Powiedziano jej o zniszczeniu krążownika, ale nic nie wiedziała o drugim „trutniu”. Najzwięźle jak umiałem, wyjaśniłem jej naszą sytuację.

–Nikt nie wyszedł ze służby – powiedziała. – Do tej pory.

Pewnie wszyscy schronili się w Polu.

–Tak, mieli do niego równie blisko jak do wyjścia.

Może niektórzy nie potraktowali mnie serio i nadal tkwią na dole. Przeszedłem na ogólną częstotliwość, żeby to sprawdzić, gdy nagle rozpętało się piekło.

Ziemia pod nami opadła i znów wypiętrzyła się; uderzyła nas tak mocno, że wylecieliśmy z okopu w powietrze. Przelecieliśmy kilka metrów, wystarczająco wysoko, aby dostrzec masę jasnopomarańczowych i żółtych lejów znaczących miejsca trafień bomb „nova”. Wylądowałem na nogach, ale ziemia drżała i dygotała tak, że nie dało się ustać.

Z basowym zgrzytem, który poczułem przez skafander, cała oczyszczona powierzchnia nad naszą bazą rozsypała się i zapadła. Osuwający się grunt częściowo obnażył podstawę Pola, które ze spokojną gracją opadło na nowy poziom.

No cóż, jednego kota mniej. Miałem nadzieję, że wszystkim innym starczyło czasu i rozsądku, żeby schronić się pod kopułą.

Z najbliższego okopu wytoczyła się jakaś postać i z dreszczem strachu pojąłem, że to nie jest człowiek. Z tej odległości mój laser przepalił jego hełm na wylot; Taurańczyk zrobił jeszcze dwa kroki i runął na wznak. Nad krawędzią okopu pojawił się drugi hełm.

Ściąłem jego wierzch, zanim właściciel zdążył unieść broń.

Straciłem orientację. Jediną nie zmienioną rzeczą była kopuła Pola, która wyglądała z każdej strony tak samo. Wszystkie gigawatowe lasery zostały zasypane, tylko jeden włączył się samoczynnie, śląc jaskrawo migoczący promień, oświetlający skłębioną chmurę skalnego pyłu.

Najwidoczniej znalazłem się na terytorium wroga. Ruszyłem po rozedrganym gruncie w kierunku kopuły.

Nie mogłem nawiązać łączności z dowódcami plutonów. Prawdopodobnie wszyscy oprócz Brill byli pod kopułą. Złapałem

Hilleboe i Charliego; powiedziałem Hilleboe, żeby poszła do kopuły i wygarnęła wszystkich na zewnątrz. Jeżeli w następnym rzucie również zaatakuje nas 128 Taurańczyków, będziemy potrzebowali każdego żołnierza.

Drgania ustały i odnalazłem drogę do „przyjaznego” okopu –a właściwie do okopu kucharzy, ponieważ znalazłem w nim tylko Orbana i Rudkoskiego.

–Wygląda na to, że będziecie musieli gotować obiad od początku, szeregowy.

–Nic nie szkodzi, sir. Ta wątróbka i tak powinna skruszeć. Usłyszałem brzęczyk i odebrałem wiadomość od Hilleboe.

–Sir... tutaj było tylko dziesięć osób. Pozostali nie zdążyli.

–Zostali w bazie?

Wydawało się, że mieli mnóstwo czasu.

–Nie wiem, sir.

–Mniejsza o to. Policz, ilu mamy ludzi, wszystkich razem.

Ponownie spróbowałem częstotliwości dowódców plutonów, lecz znów odpowiedziało mi milczenie.

Kilka minut czekaliśmy wszyscy troje na ogień laserów nieprzyjaciela, ale nie strzelali. Zapewne czekali na posiłki.

Ponownie zgłosiła się Hilleboe.

–Mam tylko pięćdziesięciu trzech. Może jest jeszcze paru nieprzytomnych.

–W porządku. Niech siedzą cicho, dopóki...

Wtedy pojawił się drugi rzut – transportowce z rykiem przemknęły nad horyzontem, bijąc w naszym kierunku płomieniami silników, wytracając prędkość.

–Rakietami w skurwieli! – wrzasnęła Hilleboe, nie wiadomo do kogo. Jednak w tym całym zamieszaniu nikt nie zdołał utrzymać wyrzutni rakiet. Nie mieliśmy też granatników, a odległość była zbyt duża na skuteczny ogień ręcznych laserów. Te transportowce były cztery lub pięć razy większe od jednostek pierwszego rzutu. Jeden z nich wylądował około kilometra od nas i natychmiast po wysadzeniu desantu poderwał się w niebo. Żołnierzy było ponad pięćdziesięciu – zapewne 64 – co razy 8 dawało 512. W żaden sposób nie zdołamy ich zatrzymać.

–Słuchajcie wszyscy, tu mówi major Mandella.

Staralem się mówić spokojnie i wyraźnie.

–Wycofamy się teraz pod kopułę, szybko, ale bez zamieszania. Wiem, że jesteśmy piekielnie rozproszeni. Jeśli ktoś jest z drugiego lub czwartego plutonu, niech zaczeka minutę i osłania ogniem wycofujące się plutony: pierwszy, trzeci i wsparcia. Pluton pierwszy, trzeci i wsparcia zatrzymają się w połowie drogi do

kopuły, zajmą pozycje i osłonią odwrót drugiego oraz czwartego, które dojdą na skraj Pola, skąd osłonią was.

Nie powinienem używać słowa „odwrót” – w podręcznikach nie ma takiego pojęcia. Działania opóźniające.

Więcej w tym było opóźnienia niż działania. Strzelało ośmiu lub dziewięciu, a pozostali zmykali ile sił w nogach. Rudkoski i Orban zniknęli. Oddałem kilka starannie wymierzonych strzałów, bez większego efektu, po czym przebiegłem na drugi koniec okopu, wyskoczyłem na górę i pognałem do kopuły.

Taurańczycy zaczęli odpalać rakiety, ale większość pocisków przechodziła górą. Zanim przebiegłem połowę dystansu, widziałem, jak rozerwało dwóch naszych; znalazłem sobie miły, wielki głaz i ukryłem się za nim. Wyjrzałem zza niego i stwierdziłem, że tylko dwóch lub trzech Taurańczyków znajduje się w zasięgu rażenia mojego lasera i mądrzej będzie niepotrzebnie nie ściągać na siebie uwagi. Pokonałem resztę drogi do skraju Pola, zająłem pozycję i zacząłem się ostrzeliwać. Po kilku strzałach zrozumiałem, że tylko wystawiam się na cel; widziałem zaledwie jednego żołnierza biegnącego w kierunku kopuły.

Obok przemknęła rakietą, tak blisko, że mogłem jej dotknąć.

Ugiąłem kolana, odbiłem się i w ten niezbyt dystyngowany sposób wpadłem do środka.

7. Wewnątrz zobaczyłem raketę, która przeleciała mi nad uchem, a teraz powoli dryfowała w półmroku, aby po lekko unoszącym się torze przejść przez przeciwległą ścianę kopuły. Kiedy wyłoni się po drugiej stronie, natychmiast wyparuje, ponieważ cała energia kinetyczna, utracona podczas gwałtownego hamowania do prędkości 16,3 metra na sekundę, powróci do niej pod postacią ciepła.

Tuż za krawędzią Pola, twarzami do ziemi, leżało dziewięciu zabitych. To mnie nie zaskoczyło, chociaż nie była to wiadomość, jaką należało przekazać podwładnym.

Ich skafandry bojowe były nietknięte – inaczej nie dotarliby tak daleko – ale podczas trzęsienia ziemi uszkodzili specjalną warstwę izolującą, chroniącą ich przed działaniem Pola. Dlatego, jak tylko weszli pod kopułę, w ich organizmach ustały wszelkie procesy elektryczne, powodując natychmiastową śmierć. Ponadto, ponieważ żadna molekula w ciele nie mogła poruszać się z prędkością większą niż 16,3 metra na sekundę, nieszczęśnicy zamrzli na kość w temperaturze bliskiej zera absolutnego.

Postanowiłem nie odwracać żadnego z nich; identyfikacja może poczekać. Musimy zorganizować obronę, zanim Taurańczycy wejdą do kopuły. Jeżeli postanowią atakować, a nie oblegać.

Gwahownie gestykulując, udało mi się zgromadzić wszystkich na środku Pola, pod rufą myśliwca, gdzie była ułożona broń. Mieliśmy mnóstwo uzbrojenia, ponieważ przygotowaliśmy je dla trzykrotnie liczniejszej załogi. Wręczywszy każdemu tarczę i krótki miecz, napisałem na śniegu: DOBRZY ŁUCZNI-

CY, RĘKA W GÓRĘ.

Zgłosiło się pięciu ochotników, sam wybrałem jeszcze trzech, żeby wykorzystać wszystkie łuki. Po dwadzieścia strzał dla każdego łuczника. To nasza najskuteczniejsza broń dalekiego zasięgu; ciężkie strzały o śmiercionośnych grotach z twardego jak diament kryształu były niemal niewidoczne w locie.

Rozstawiłem łuczników wokół myśliwca (jego usterzenie częściowo chroniło ich przed pociskami nadlatującymi z tyłu), a między każdą parą strzelców ustawiłem czterech innych żołnierzy: dwóch oszczepników, jednego pałkarza oraz jednego uzbrojonego w topór bojowy i tuzin noży do rzucania. Taki szyk teoretycznie powinien skutecznie razić wroga na każdą odległość – od skraju Pola po bezpośrednie starcie.

Prawdę mówiąc, przy stosunku sił 600 do 42 zapewne mogli wkroczyć tu z kamieniami w rękach, bez tarcz czy jakiegoś specjalnego uzbrojenia i nakopać nam do dupy.

Oczywiście, zakładając, że wiedzą, co to Pole. Ich uzbrojenie wyglądało na dość nowoczesne.

Przez kilka godzin nic się nie wydarzyło. Byliśmy tak znudzeni, jak tylko mogą być ludzie oczekujący na śmierć. Nie można było pogadać, nie widziało się nic prócz niezmiennie szarej kopuły, szarego śniegu, szarego kosmolotu i kilku identycznie szarych żołnierzy. Słyszałeś, czułeś i wahałeś tylko swoje ciało. Ci z nas, którzy wciąż jeszcze mieli ochotę do walki, trzymali straż na skraju Pola, czekając na nadejście pierwszych Taurańczyków. Dzięki temu w mgnieniu oka pojęliśmy, co się dzieje, kiedy nastąpił atak. Przyszedł z góry, w postaci chmury wyrzuconych z katapulty strzałek, które przeszły przez kopułę jakieś trzydzieści metrów nad ziemią i leciały w kierunku centrum Pola.

Tarcze były dostatecznie duże, żeby, kucnąwszy, ukryć za nimi niemal całe ciało; ludzie, którzy zauważyli nadlatujące pociski, łatwo mogli się osłonić. Ci, którzy stali do nich tyłem albo drzemali, musieli liczyć na hit szczęścia; nie można było ostrzec ich krzykiem, a pocisk leciał od skraju Pola zaledwie trzy sekundy. Mieliśmy szczęście, straciliśmy tylko pięciu. Jednym z nich była łuczniczka Shubik. Wziąłem jej łuk i czekaliśmy dalej, spodziewając się, że zaraz nastąpi atak naziemny.

Nie nastąpił. Po półgodzinie obszedłem nasz obronny pierścień i wyjaśniłem na migi, że jeśli ktoś coś zauważy, powinien natychmiast szturchnąć sąsiada z prawej. Ten zrobi to samo i tak po całej linii obrony.

Być może to mnie ocaliło. Druga chmura strzałek, kilka godzin później, nadleciała zza moich pleców. Poczulem szturchnię-

cie, klepnąłem żołnierza z prawej, odwróciłem się i zobaczyłem nadlatujące pociski. Uniosłem tarczę nad głowę i trafiły w nią ułamek sekundy później.

Odłożyłem łuk, żeby wyrwać trzy strzałki z puklerza i w tym momencie rozpoczął się atak.

To był niesamowity, robiący wrażenie widok. Około trzystu Taurańczyków jednocześnie przekroczyło linię Pola na całym

jego obwodzie, idąc niemal ramię przy ramieniu. Maszerowali miarowo, a każdy trzymał okrągłą tarczę ledwie zakrywającą mu potężną pierś. Rzucali dziryty podobne do strzałek, jakimi zasy-pywali nas poprzednio.

Postawiłem tarczę przed sobą – miała u dołu niewielkie podpórki utrzymujące ją pionowo – i puściwszy pierwszą strza-łę, stwierdziłem, że mamy szansę. Pocisk uderzył w środek tarczy jednego z nich, przeszył ją na wylot i przebił mu skafander.

To była masakra. Pozbawione elementu zaskoczenia strzałki nie były zbyt skuteczne – jednak kiedy jedna nadleciała zza moich pleców i przeleciała mi nad głową, niemiły dreszcz prze-biegł mi po plecach.

Dwudziestoma strzałami położyłem dwudziestu Taurańczy-ków. Zwierali szereg po każdym zabitym – nie trzeba było celować. Kiedy zabrakło mi strzał, próbowałem odrzucać im ich strzałki. Jednak te lekkie tarcze zupełnie wystarczały przeciw tym lekkim pociskom.

Strzałami i oszczepami zabiliśmy ponad połowę z nich, na długo przed tym, zanim doszło do walki wręcz. Wyjąłem miecz i czekałem. Nadal mieli nad nami ponad trzykrotną przewagę. Kiedy podeszli na dziesięć metrów, nadeszła chwila żołnierzy z nożami do rzucania. Chociaż wirujący krąg był łatwo zauważal-ny i potrzebował więcej niż sekundę na pokonanie odległości między rzucającym i ofiarą, większość Taurańczyków reagowała w ten sam instynktowny sposób, podnosząc tarczę. Ostre jak brzytwa, ciężkie ostrze przebijało lekką tarczę jak piła mechani-czna tekturę.

Pierwsze potyczki wręcz stoczyli żołnierze z dzidami – mierzącymi dwa metry, metalowymi prętami, zaostrzonymi na końcach w obosieczne, ząbkowane ostrze. Taurańczycy walczyli nimi w zimnokrwisty – lub bohaterski, zależnie od punktu wi-dzenia – sposób. Po prostu chwyтали za ostrze i ginęli. A kiedy człowiek usiłował wyrwać broń ze śmiertelnego chwytu, zabijał go taurański szermierz uzbrojony w ponad metrowej długości szablę.

Oprócz szabel mieli broń podobną do bolo, składającą się z dłu-

giego elastycznego sznura zakończonego dziesięciocentymetrowym kawałkiem czegoś w rodzaju drutu kolczastego i ciężarkiem ułatwiającym rzucanie. Ten oręż był jednakowo niebezpieczny dla obu stron; po niecelnym rzucie odskakiwał w zaskakujący sposób. Jednak dość często trafiał w cel, przelatując pod tarczami i oplątując kostki.

Oparliśmy się o siebie plecami z szeregowym Eriksonem i używając mieczy, zdołaliśmy utrzymać się na nogach przez kilka następnych minut. Kiedy z Taurańczyków pozostało tylko parę tuzinów niedobitków, po prostu odwrócili się i odmaszerowali. Pożegnaliśmy ich gradem strzałek, trafiając jeszcze trzech, jednak wcale nie mieliśmy ochoty ich ścigać. Mogliby znów wykonać w tył zwrot i zacząć od nowa.

Zostało nas tylko dwudziestu ośmiu. Prawie dziesięć razy tylu martwych Taurańczyków legło na pobojuwisku, ale nie znajdowałem w tym żadnej satysfakcji.

Mogli zacząć wszystko od nowa, kolejnym rzutem trzystu wypoczętych żołnierzy. I tym razem uda im się.

Przechodziliśmy od jednego ciała do drugiego, wyjmując strzały i oszczepy, po czym znów zajęliśmy pozycje wokół myśliwca. Nikt nie fatygował się odzyskiwaniem dzid. Policzyłem swoich: Charlie i Diana wciąż żyli (Hilleboe padła pod ciosem dzidy), tak samo jak dwoje innych oficerów-Wilbera Szydłowska. Rudkoski nadal pozostał przy życiu, ale Orban dostał strzałką. Po całodniowym czekaniu wyglądało na to, że przeciwnik, zamiast bezpośrednim atakiem, postanowił załatwić nas na odległość. Strzałki nadlatywały przez cały czas, teraz już nie chmurami, ale po dwie, trzy lub dziesięć. I ze wszystkich możliwych stron. Nie mogliśmy przez cały czas czuwać, więc co trzy lub cztery godziny udawało im się kogoś trafić.

Spaliśmy kolejno, po dwie osoby, leżąc na generatorze Pola. Znajdował się bezpośrednio pod kadłubem myśliwca i był najbezpieczniejszym miejscem pod kopułą.

Od czasu do czasu na skraju Pola pojawiał się jakiś Taurańczyk, najwidoczniej sprawdzając, czy jeszcze ktoś z nas pozostał przy życiu. Czasem posyłał nam strzałę, ot tak, dla wprawy. Po kilku dniach strzałki przestały nadlatywać. Podejrzewałem, że po prostu im ich zabrakło. A może postanowili przestać, kiedy zostało nas ledwie dwudziestu.

To było bardziej prawdopodobne. Wziąłem dzidę, podszedłem na skraj Pola i wytknąłem ostrze na drugą stronę. Kiedy wciągnąłem je z powrotem, było stopione. Gdy pokazałem ją Charliemu, zakołysał się w przód i w tył (jedyny sposób, w jaki

można zakolysać się w bojowym skafandrze). Takie przypadki już miały miejsce; to jedyne, przed czym nie chroniło Pole. Po prostu obkładali je ogniem laserów, czekając, aż poszalejemy i wyłączymy generator. A sami pewnie siedzieli w swoich statkach, grając w taurańską odmianę oczka.

Usiłowałem zebrać myśli. Trudno było skupić się na czymś w tym wrogim, pozbawionym bodźców środowisku, co kilka sekund oglądając się przez ramię. Coś, co powiedział Charlie. Załedwie wczoraj. Nie mogłem sobie przypomnieć. Wówczas nie udałooby się; tylko tyle zapamiętałem. Potem nagle przypomniałem sobie.

Skrzyknąłem wszystkich i napisałem na śniegu:

**WYJĄC Z MYŚLIWCA BOMBY
„NOVA”.
PRZENIEŚĆ JE NA SKRAJ POLA.
PRZESUNĄĆ POLE.**

Szydłowska wiedziała, gdzie szukać narzędzi na statku. Na szczęście przed włączeniem Pola zostawiliśmy otwarte wszystkie drzwi; jako elektroniczne zostałyby zablokowane. Z maszynowni wzięliśmy komplet rozmaitych kluczy i przeszliśmy do sterówki. Wiedział, jak zdjąć metalową płytkę zasłaniającą wąską rurę wiodącą do komory bombowej. Popęzłem za nim metrowej szerokości rurą.

Normalnie byłoby tu ciemno jak w grobowcu, jednak Pole oświetliło ładownię tym samym słabym, nie rzucającym cienia blaskiem, jaki zalegał pod kopułą. Ładownia była za słaba dla nas obu, więc zostałem w ciasnym przejściu i patrzyłem.

Drzwi komory bombowej miały awaryjny mechanizm ręcznego otwierania, więc nie było to trudne; Szydłowska pokręcił korbką i znaleźliśmy się w środku. Uwolnienie dwóch bomb typu „nova” z uchwytów to całkiem co innego. W końcu wrócił do maszynowni i przyniósł łom. On wyjął jedną bombę, ja drugą i wytoczyliśmy je z komory bombowej.

Sierżant Anghelov zajął się nimi, zanim zdążyliśmy wyjść z myśliwca. Aby uzbroić bombę, wystarczyło odkręcić zatyczkę zapalnika na czubku i pogmerać czymś w otworze, aby zniszczyć mechanizm opóźniający i bezpieczniki.

Przenieśliśmy je szybko na skraj, po sześciu na każdą bombę, i postawiliśmy jedną obok drugiej. Potem daliśmy znak czterem żołnierzom stojącym przy generatorze Pola. Podnieśli aparat za uchwyty i przenieśli go o dziesięć kroków w przeciwnym kierunku. Bomby zniknęły, gdy przesunął się skraj Pola.

Nie było wątpliwości, że wybuchły. Przez kilka sekund na zewnątrz było gorąco jak wewnątrz gwiazdy, tak że nawet Pole zareagowało na skok temperatury: jedna trzecia kopuły przez chwilę jarzyła się ciemnoróżowo, po czym znów zszarzała. Poczuliśmy lekkie przyspieszenie, jak w kabinie windy. To oznaczało, że opadamy na dno krateru. Czy będzie twarde? A może zatoniemy w roztopionej skale i zostaniemy uwięzieni w niej jak muchy w bursztynie – lepiej nawet o tym nie myśleć. Jeśli tak się stanie, może uda nam się utorować sobie drogę gigawatowym laserem z myśliwca.

Przynajmniej dwunastu z nas.

JAK DŁUGO? – Wydrapał Charlie w śniegu u moich stóp.

To było cholernie dobre pytanie. Wiedziałem tylko, ile energii

wyzwoli się przy wybuchu obu bomb. Nie miałem pojęcia, jak wielka będzie kula ognia, od której zależała temperatura eksplozji i rozmiary krateru. Nie znałem pojemności cieplnej otaczającej nas skały ani jej punktu topnienia. Napisałem **NIE WIEM, TYDZIEŃ? MUSZĘ POMYŚLEĆ.**

Komputer pokładowy myśliwca mógłby podać mi te dane w tysięcznych sekundy, jednak nie działał. Zacząłem kreślić równania na śniegu, usiłując wyliczyć maksymalny i minimalny czas, w jakim temperatura na zewnątrz opadnie do 500 stopni. Anghelov, którego wiadomości z dziedziny fizyki były bardziej aktualne od moich, rozwiązywał te same równania po drugiej stronie statku. Według moich obliczeń miało to potrwać od sześciu godzin do sześciu dni (choć przy sześciu godzinach otaczające nas skały musiałyby przewodzić ciepło jak czysta miedź), a Anghelovowi wyszło od pięciu godzin do czterech i pół doby. Głosowałem za sześcioma dniami i nikt się nie sprzeciwiał.

Dużo spaliśmy. Chariie i Diana grali w szachy, kreśląc symbole na śniegu; ja nigdy nie byłem w stanie zapamiętać zmian pozycji. Kilkakrotnie sprawdziłem moje obliczenia i zawsze wychodziło mi sześć dni. Sprawdziłem wyniki Anghelova i również wydały mi się prawidłowe, ale obstawałem przy swoim. Nie zaszkodzi, jeśli pozostaniemy w skafandrach półtorej doby dłużej. Spieraliśmy się łagodnie, kreśląc zwięzłe stenogramy.

W dniu, kiedy zdetonowaliśmy bomby, było nas dziewiętnaścioro. Sześć dni później, kiedy położyłem rękę na wyłączniku Pola, było nas tyle samo. Co nas czekało na zewnątrz? Na pewno zabiliśmy wszystkich Taurańczyków w promieniu kilku klików od epicentrum eksplozji. Jednak gdzieś dalej mogli mieć odwody, które teraz cierpliwie wyczekiwały na krawędzi krateru. W każdym razie wystawione na zewnątrz ostrze dzidy pozostawało nie uszkodzone.

Porozstawiałem ludzi tak, żeby nie zmieciono nas jednym strzałem. Potem, gotowy natychmiast ponownie włączyć Pole, gdyby coś poszło nie tak, wcisnąłem przycisk.

8. Moje radio było nadal nastawione na ogólną częstotliwość; po ponad tygodniu ciszy nagle w moje uszy wdarła się głośna, radosna wrzawa.

Staliśmy pośrodku krateru szerokiego i głębokiego na prawie kilometr. Jego zbocza połyskiwały lśniąca czernią szkliwa porzecinaną czerwonymi szczelinami, gorącymi, ale już niegroźnymi. Półkula gruntu, na której spoczywało Pole, opadła dobre czterdzieści metrów na dno krateru, kiedy skała była jeszcze stopiona wybuchem, tak że teraz staliśmy na czymś w rodzaju

pedestału.

Ani śladu Taurańczyków.

Pognaliśmy do statku, zamknęliśmy luki, napełniliśmy wnętrze chłodnym powietrzem i wyskoczyliśmy ze skafandrów. Nie skorzystałem z przywilejów rangi, kiedy brałem prysznic; po prostu wyciągnąłem się na koi przeciwprzeciążeniowej i głęboko oddychałem powietrzem, które nie pachniało regenerowanym Mandellą. Statek był obliczony dla załogi liczącej najwyżej dwanaście osób, więc jedna siedmioosobowa zmiana musiała pozostawać na zewnątrz, żeby nie przeciążać systemów podtrzymywania życia. Kilkakrotnie posłałem wiadomość do drugiego myśliwca, który znajdował się jeszcze w odległości sześciu tygodni lotu, że cali i zdrowi czekamy, aż nas zabierze. Byłem prawie pewny, że znajdzie się na nim siedem wolnych miejsc, ponieważ załoga bojowa myśliwca zwykle liczyła trzy osoby.

Dobrze było móc znów chodzić i rozmawiać. Na czas naszego pobytu na planecie oficjalnie zawiesiłem wszystko, co wiązało się ze służbą wojskową. Kilku żołnierzy należało poprzednio do buntowniczej bandy Brill, ale teraz nie okazywali mi wrogości. Zabawialiśmy się nostalgicznymi wspomnieniami, porównując różne miejsca, jakie znaliśmy na Ziemi, zastanawiając się, jak będą wyglądać w oddalonej o 700 lat przyszłości, do której powrócimy. Nikt nie wspominał o tym, że w najlepszym wypadku wrócimy na kilkumiesięczną przepustkę, a potem zostaniemy przydzieleni do innych oddziałów i wysłani na kolejną akcję. Pewnego dnia Charrie zapytał mnie, z jakiego kraju wywodzi się moje nazwisko; wydawało mu się niezwykle. Powiedziałem mu, że nie ma go w żadnym słowniku, a wymawiane poprawnie brzmiałoby jeszcze dziwniej.

Straciłem dobre pół godziny, wyjaśniając mu wszystkie szczegóły. Zasadniczo moi rodzice byli hippisami (rodzaj subkultury istniejącej w Ameryce pod koniec dwudziestego wieku, której przedstawiciele odrzucali materializm i wyznawali przeróżne stuknięte idee), żyjącymi w małej rolniczej komunie z innymi hippisami. Kiedy moja matka zaszła w ciążę, nie zamierzali postępować konwencjonalnie i brać ślub; to wiązało się z przyjęciem przez kobietę nazwiska mężczyzny, co implikowało, że staje się jego własnością. Wszyscy nadużyli środków odurzających i wpadłszy w sentymentalny nastrój, postanowili, że oboje zmienią nazwiska na takie samo. Pojechali do najbliższego miasta, przez całą drogę kłócąc się, jakie nazwisko najlepiej symbolizuje łączącą ich miłość – niewiele brakowało, a nazywałbym się o wiele krócej –uzgodnili, że będą się nazywać Mandala.

Mandala to podobny do kręgu symbol zapożyczony przez hippisów z obcej religii, symbolizujący kosmos, kosmiczną świadomość, Boga czy co tam kto chce. Ani matka, ani ojciec nie wiedzieli, jak wymawia się to słowo, a urzędnik w magistracie napisał je tak, jak usłyszał.

Nazwali mnie William na cześć bogatego wujka, który niestety umarł bez grosza przy duszy.

Sześć tygodni upłynęło dość miło: na rozmowach, czytaniu i odpoczynku. Ten drugi myśliwiec wylądował obok naszego i rzeczywiście było na nim siedem wolnych miejsc. Przetasowaliśmy załogi tak, że na każdym statku znalazł się ktoś, kto poradziłby sobie, gdyby zawiodła zaprogramowana procedura powrotu. Wsiadłem na drugi statek w nadziei, że będą na nim jakieś nowe książki. Nie było.

Weszliśmy do zbiorników przeciwprzeciążeniowych i natychmiast wystartowaliśmy.

Większość czasu spędzaliśmy w wannach przeciwprzeciążeniowych, żeby przez cały dzień nie oglądać tych samych twarzy na zatłoczonym statku. Zsumowane okresy przyspieszeń doprowadziły nas z powrotem na Stargate po dziesięciu miesiącach czasu pokładowego. Dla hipotetycznego obserwatora z zewnątrz było to 340 lat (bez siedmiu miesięcy).

Na orbicie wokół Stargate parkowały setki krążowników. Złe wieści: przy takim natężeniu działań zapewne wcale nie dostaniemy urlopu.

I tak spodziewałem się raczej sądu polowego niż urlopu. Straciłem 88 procent stanu kompanii, z czego wielu dlatego, że nie mieli do mnie zaufania i nie usłuchali ostrzeżenia przed trzęsieniem ziemi. Ponadto, w kwestii Sade-138 wróciliśmy do punktu wyjścia: nie ma na niej Taurańczyków, ale nie ma i bazy.

Otrzymaliśmy instrukcje lądowania i zeszliśmy w dół – nie podstawili promu. W kosmoporcie czekała nas kolejna niespodzianka. Na płycie stały tuziny krążowników (nigdy dotychczas na to nie pozwalano z obawy przed atakiem na Stargate) – a między nimi dwa statki Taurańczyków. Nigdy żadnego nie udało nam się zdobyć.

Oczywiście przez te siedemset lat mogliśmy zdobyć zdecydowaną przewagę. Może nawet zaczęliśmy wygrywać.

Przeszliśmy przez służbę z napisem „Powracający”. Kiedy wymieniono powietrze i zdjęliśmy skafandry, pojawiła się piękna dziewczyna z wózkiem mundurów i doskonałą angielszczyzną oznajmiła nam, że mamy ubrać się i przejść do sali odpraw na końcu korytarza, po lewej.

Mundur był dziwny, lekki, ale ciepły. Po raz pierwszy od prawie roku nie chodziłem w skafandrze ani nago.

Sala odpraw była ze sto razy za duża dla naszego dwudziesto-dwuosobowego oddziału. Czekala na nas ta sama dziewczyna, która poprosila, żebyśmy przeszli do przodu. To było niepokojące; przysięgłbym, że poszła korytarzem w przeciwnym kierunku –a nawet byłem tego pewny. Nie mogłem oderwać wzroku od jej opiętego mundurem tyłeczka.

Do licha, może mieli przekaźniki materii. Albo teleportację.

Nie chciało jej się przejść kilku kroków.

Siedzieliśmy tak, aż po chwili na podium wszedł mężczyzna w takim samym pozbawionym dystynkcji mundurze, jaki nosiła

kobieta i my, niosąc pod każdą pachą plik grubych broszur.

Za nim szła ta kobieta, również niosąc książki.

Obejrzałem się i zobaczyłem jaw przejściu. Co jeszcze dziwniejsze, mężczyzna wyglądał jak ich brat bliźniak.

Przekartkował jedną z broszur i odchrząknął.

–Te książki mają wam pomóc – powiedział idealną angielszczyzną- i nie musicie ich czytać, jeśli nie chcecie. Nie musicie robić niczego, na co nie macie ochoty, ponieważ... jesteście już cywilami. Wojna skończyła się.

Pełna niedowierzania cisza.

–Jak przeczytacie w tej książce, wojna zakończyła się 221 lat temu. Tak więc teraz mamy rok 220. Oczywiście, według dawnego kalendarza jest rok 3138. Jesteście ostatnim powracającym oddziałem. Kiedy opuścicie StargateJa również ją opuścę. I zniszczę Stargate. Istnieje tylko jako punkt zborny powracających i pomnik ludzkiej głupoty. I wstydu. Przeczytacie o tym. Urwał i natychmiast włączyła się kobieta.

–Przykro mi, że tyle wycierpieliście, i chciałabym powiedzieć, że robiliście to w słusznej sprawie, ale -jak przeczytacie –tak nie było. Nawet majątek, jaki zgromadziliście – zaległy żołąd z procentami -jest bezwartościowy, gdyż nie używamy już pieniędzy czy kredytów. Nie istnieje już system ekonomiczny, w jakim potrzebne są te... rzeczy.

–Jak już pewnie domyśliliście się – podjął mężczyzna – jestem, jesteśmy klonami jednego osobnika. Około dwieście pięćdziesiąt lat temu nazywałem się Kahn. Teraz nazywam się Człowiek. Moim bezpośrednim przodkiem był żołnierz z waszej kompanii, kapral Lany Kahn. Przykro mi, że nie powrócił.

–Jestem ponad dziesięćmioma miliardami osobników, ale tylko jedną świadomością – powiedziała kobieta. – Kiedy przeczytacie ten tekst, spróbuję to wyjaśnić. Wiem, że trudno

będzie wam to zrozumieć. Nie produkuje się już ludzi w dotychczasowy sposób, gdyż jestem idealnym tworem. Umierające osobniki są zastępowane. Jednak istnieją planety, na których ludzie rozmnażają się w zwykły sposób, typowy dla ssaków. Jeśli moje społeczeństwo okaże się dla was obce, możecie udać się na jedną z nich. Jeżeli zechcecie uczestniczyć w akcie prokreacji, nie będę was zniechęcać. Wielu weteranów prosi mnie o zmianę ich skłonności na heteroseksualne, żeby-mogli łatwiej dostosować się do tych społeczeństw. To da się zrobić bez trudu.

Nie martw się o to, Człowieku, tylko daj mi mój bilet.

–Przez dziesięć dni będziecie moimi gośćmi na Stargate, a potem możecie udać się, dokąd zechcecie – powiedział. – W tym czasie przeczytajcie tę książkę. Nie krępujcie się zadawać dowolnych pytań i prosić o dowolne usługi.

Oboje wstali i zeszli z podium.

Charlie siedział obok mnie.

–Niewiarygodne – wykrztusił. – Oni pozwalają... zachęcają... żeby kobieta i mężczyzna znowu to robili? Razem? Kobieta-Człowiek z przejścia siedziała za nami i odpowiedziała mu, zanim zdążyłem wymyślić jakąś względnie zrozumiałą, pełną hipokryzji odpowiedź.

–Nie osądzamy waszego społeczeństwa – powiedziała, nie zauważając, że Charlie odebrał tę wiadomość bardzo osobiście.

–Uważam jedynie, iż jest to niezbędne zabezpieczenie eugeniczne. Nie ma żadnych dowodów, że jest coś złego w klonowaniu jednego idealnego osobnika, gdyby jednak okazało się to błędem, zachowamy wystarczająco dużą pulę genetyczną, żeby zacząć wszystko od nowa.

Poklepała go po ramieniu.

–Oczywiście, nie musisz lecieć na te rozplodowe planety.

Możesz zostać na jednej z moich. Nie robię różnic między stosunkiem heteroseksualnym a homoseksualnym.

Weszła na scenę, aby wygłosić długą przemowę o tym, gdzie będziemy mieszkać, jeść i tak dalej, podczas naszego pobytu na Stargate.

–Jeszcze nigdy nie byłem uwodzony przez komputer – mruknął Charlie.

Ta 1143-letnia wojna wynikła z fałszywych przesłanek i trwała tylko dlatego, że dwie rasy nie mogły się porozumieć.

Kiedy zaczęły rozmawiać, pierwszym pytaniem było: „Dlaczego zaczęliście?”, a w odpowiedzi usłyszano: „My?”

Taurańczycy od tysiącleci nie toczyli wojen i na początku dwudziestego pierwszego wieku wyglądało na to, że ludzkość również niebawem wyrośnie z tego. Jednak pozostali jeszcze

starzy żołnierze – wielu z nich na wpływowych stanowiskach. W praktyce to właśnie oni kontrolowali Siły Zbrojne ONZ, które wykorzystywały nowo odkrytą technikę skoków kolapsarowych do badania przestrzeni międzygwiazdnej.

Te pierwsze statki często miały awarie i znikaly bez śladu.

Eks-wojskowi byli podejrzliwi. Uzbroili jednostki grupy kolonizacyjnej i kiedy napotkali pierwszy taurański statek, rozwalili go. Potem odkurzyli swoje medale i cała reszta przeszła do historii. Jednak nie można za wszystko winić wojskowych. Przedstawione przez nich dowody świadczące o winie Taurańczyków były śmiesznie słabe. Nielicznych ludzi, którzy usiłowali o tym mówić, zignorowano.

Tak naprawdę, to gospodarka Ziemi potrzebowała wojny, a ta była wprost idealna. Otwierała piękną dziurę, do której można było wrzucać worki pieniędzy, a ponadto bardziej łączyła niż dzieliła ludzką rasę.

Taurańczycy znów nauczyli się walczyć – w pewnym stopniu. Nigdy nie byli w tym dobrzy i w końcu na pewno przegraliby wojnę.

Taurańczycy, jak wyjaśniała książka, nie mogli porozumieć się z ludźmi, ponieważ nie znali pojęcia jednostki; od milionów lat byli klonowani. W końcu jednak ziemskie krążowniki zostały obsadzone klonami Człowieka-Kahna i po raz pierwszy obie strony były w stanie dogadać się ze sobą.

Książka podawała to jako niezbity fakt. Poprosiłem Człowieka, żeby wytłumaczył mi, co to oznacza, cóż takiego specyficznego jest w porozumiewaniu się klonu z klonem, ale odpowiedział mi, że a priori nie jestem w stanie tego zrozumieć. Nie było na to

odpowiednich słów, a nawet gdyby były, mój umysł nie byłby w stanie przyswoić tych zagadnień.

W porządku. Brzmiało to trochę podejrzenie, ale chciałem mu wierzyć. Uwierzyłemby nawet, że czarne to białe, gdyby miało to oznaczać zakończenie wojny.

Człowiek był naprawdę troskliwym stworzeniem. Tylko dla naszej dwudziestoduosobowej kompanii zada) sobie trud wskrzeszenia małej restauracyjki, otwartej przez całą dobę (nigdy nie widziałem, żeby Człowiek jadł czy pił – pewnie jakoś umiał obchodzić się bez tego). Siedziałem w niej pewnego wieczoru, pijąc piwo i czytając ich książkę, gdy Charlie wszedł i usiadł przy moim stoliku. Bez żadnych wstępów oznajmił:

–Mam zamiar spróbować.

–Czego spróbować?

–Kobiet. Stosunków hetero... – Wzdrygnął się. – Bez urazy... jednak to niezbyt pociągająca perspektywa.

Z roztargnionym wyrazem twarzy poklepał mnie po rękę.

–Jednak alternatywa... – mówił dalej. – Próbowałeś?

–No cóż... Nie, nie próbowałem.

Kobieta-Człowiek była ucztą dla oczu, jednak w ten sam sposób jak obraz czy rzeźba. Nie byłem w stanie dojrzeć w niej ludzkiej istoty.

–Nie próbuj – poradził, nie rozwijając tematu. – Poza tym oni mówią – on, ona, ono mówi – że równie łatwo mogą doprowadzić mnie do poprzedniego stanu. Jeśli to mi się nie spodoba.

–Spodoba ci się, Charlie.

–Jasne, oni też tak mówią.

Zamówił sobie napój bezalkoholowy.

–' To po prostu wydaje mi się przeciwne naturze. W każdym razie, skoro zamierzam przestawić się, to czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym... może moglibyśmy polecieć na tę samą planetę?

–Pewnie, Charlie, byłoby wspaniale! – odparłem całkiem szczerze. – Czy wiesz, dokąd chciałbyś się udać?

–Do licha, wszystko mi jedno. Aby jak najdalej stąd.

–Zastanawiam się, czy na Heaven wciąż jest tak...

–Nie. – Charlie wskazał kciukiem na barmana. – On tam mieszka.

–W takim razie nie wiem. Pewnie mają jakąś listę.

Do tawemy wszedł Człowiek, pchając przed sobą wózek ze stertą skoroszytów.

–Major Mandella? Kapitan Moore?

–To my – odparł Charlie.

–Oto wasze akta. Mam nadzieję, że was zainteresują. Zostały przelane na papier, kiedy wasz oddział został ostatnim, który nie powrócił, ponieważ utrzymywanie normalnej sieci informacyjnej do przechowywania tak niewielu danych byłoby niepraktyczne. Zawsze przewidywali twoje pytania, nawet jeśli żadnych nie zadawałeś.

Mój skoroszyt był chyba pięć razy grubszy niż akta Charliego. Zapewne grubszy od wszystkich innych, gdyż najwidoczniej byłem jedynym żołnierzem, który zaliczył całą wojnę. Biedna Marygay.

–Ciekawe, jaki raport napisał o mnie stary Stott.

Otworzyłem teczkę.

Do pierwszej strony była przypięta karteczka. Wszystkie inne strony były dziewiczo białe, tylko ta jedna była pożółkła ze starości i kruszyła się na brzegach.

Nawet po tak długim czasie charakter pisma był mi dobrze, aż za dobrze znany. Data sprzed 250 lat.

Zamrugalem, czując, jak oślepiają mnie łzy. Nie miałem podstaw, aby oczekiwać, że ona jeszcze żyje. Jednak nie wiedziałem, że umarła, dopóki nie zobaczyłem tej daty.

–Winiarnie? Co...?

–Zostaw mnie, Charlie. Tylko na moment.

Otarłem oczy i zamknąłem teczkę. Nie powinienem czytać tej przeklętej notatki. Rozpoczynając nowe życie, powinienem pozostawić za sobą demony przeszłości.

Jednak nawet list z za grobu to jakaś forma kontaktu. Ponownie otworzyłem skoroszyt.

11 października 2878

Winiarnie!

To wszystko jest w twoich aktach osobowych. Jednak znając cię, wiem, że możesz je po prostu cisnąć do kosza. Dlatego posyłam ci ten list.

Jak widać, przeżyłam. Może ty też. Spotkajmy się.

Z raportów wynika, że j jesteś w Sade-13 8 i nie wrócisz wcześniej jak za parę wieków. Żaden problem.

Lecę na planetę zwaną Middle Finger, piątą w układzie Mizara. To dwa skoki kolapsarowe stąd – dziesięć miesięcy czasu pokładowego. Middle Finger to coś w rodzaju azylu dla heteroseksualnych. Nazywają ją „podstawą kontroli eugenicznej”.

Mniejsza z tym. Ja i pięciu innych weteranów wydaliśmy wszystkie nasze pieniądze, ale kupiliśmy od ONZ stary krążownik i używamy go jako maszynę czasu.

Tak więc jestem na promie relatywistycznym, czekając na ciebie. Wystarczy odlecieć na pięć lat świetlnych od Middle Finger, a potem powrócić z pełną prędkością. Przez każde dziesięć lat starzeję się mniej więcej o miesiąc. Tak więc, jeśli wrócisz zgodnie z planem i żywy, będę miała dopiero dwadzieścia osiem lat, kiedy tu przybędziesz. Pospiesz się!

Nie znalazłam sobie nikogo innego i nikogo innego nie chcę. Nie obchodzi mnie, czy masz dziewięćdziesiąt lat, czy trzydzieści. Jeżeli nie będę mogła być twoją kochanką, będę twoją pielęgniarką.

Marygay

Hej, barman!

Słucham, panie majorze?

Słyszał pan o Middle Finger? Jest tam jeszcze?

–Oczywiście. A gdzie miałyby być?

Słuszne pytanie.

–Bardzo miłe miejsce. Planeta-ogród. Choć dla niektórych za mało atrakcyjna.

–O co chodzi? – spytał Charlie.

Podąłem barmanowi pustą szklankę.

–Właśnie dowiedziałem się, dokąd lecimy.

Epilog

„New Voice”

Paxton

Middle Finger 24-6

14.02.3143

WETERAN MA PIERWORODNEGO

Marygay Potter-Mandella (24 Post Road, Paxton) w ten piątek urodziła pięknego chłopca o wadze 3,1 kilograma.

Marygay, jako urodzona w 1977 r., uważa się za drugą „najstarszą” mieszkankę Middle Finger. Brała udział w prawie całej Wiecznej Wojnie, a potem przez 261 lat czekała w promie czasowym na swego obecnego męża.

Dziecko, któremu jeszcze nie nadano imienia, przyszło na świat w domu, przy czym asystowała przyjaciółka rodziny, dr Diana Alsever-Moore.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/